

SŁAWOMIR KOPER

ŻYCIE  
ARTYSTEK  
W PRL



**Sławomir Koper**

**Życie artystek w PRL**



## Od autora

Książka, którą mają Państwo przed sobą, jest zbiorem esejów poświęconych kobietom elity artystycznej PRL. Mój dobór postaci jest całkowicie subiektywny, być może nie wszystkie bohaterki książki należały do najważniejszych artystek tej epoki, jednak zapisały się trwale w dziejach naszego kraju. Są to osoby reprezentujące różne dziedziny sztuki: poezję, plastykę, muzykę, aktorstwo, taniec czy literaturę popularną.

Gdyby jednak szukać wspólnych cech bohaterek tej książki, to bez wątpienia znaleźlibyśmy pewne podobieństwa. Wszystkie działały w czasach Polski Ludowej, były bez wyjątku niezwykle urodziwymi kobietami i żadnej z nich już nie ma pośród nas. Ponadto biografie bohaterek obfitowały w dramatyczne wydarzenia, które wywarły ogromny wpływ na ich kariery zawodowe. Poza tymi wspólnymi cechami moje bohaterki dzieliło niemal wszystko. Pochodziły z różnych środowisk, miały odmienne wykształcenie, zajmowały się bardzo odległymi od siebie dziedzinami sztuki. Ich losy stanowią jednak pewien przekrój życia kulturalnego Polski Ludowej.

Jak zwykle w moich książkach skoncentrowałem się na życiu prywatnym swoich bohaterek, ich działalność zawodową przedstawiłem w takim wymiarze, w jakim była potrzebna do zrozumienia szczegółów biografii. Nie ukrywałem żadnych faktów, nawet tych, które odbiegają od wizerunku zapisanego w naszej pamięci. Starłem się również obalać pewne stereotypy pokutujące do dnia dzisiejszego, bo w PRL upiększanie biografii artystów było zabiegiem często stosowanym, i to z różnych powodów, niekoniecznie politycznych. Czasami wystarczała plotka, aby pewne informacje zaczęły żyć własnym życiem. Z takimi sytuacjami zetknąłem się podczas pracy nad tą książką, szczególnie w odniesieniu do Anny German i Haliny Poświatowskiej.

Wydaje mi się, że czytelnicy mogą być zaskoczeni wizerunkami artystek, jakie wyłaniają się na kartach tej publikacji. Na przykład Halina Poświatowska, która przy

bliższym poznaniu okazała się nie tyle zwiewną i eteryczną poetką żyjącą w wymyślnym świecie, ile kobietą z krwi i kości, lubiącą modne, markowe ubrania, także buty i towarzystwo mężczyzn. Owszem, była chora na serce i zmarła w młodym wieku, jednak nieudana operacja odbyła się na jej życzenie, ponieważ chciała sobie ułożyć życie u boku wybranego mężczyzny. I nie przeszkadzało jej, że wybranek był żonaty.

Zdaję sobie sprawę, że niektóre przedstawione w tej książce informacje mogą być niewygodne dla członków rodzin moich bohaterek czy też dla ich wielbicieli. Ale jako historyk jestem zobowiązany przedstawiać prawdę - upiększanie faktów i życiorysów pozostawiam innym. Kieruje mną zawodowa ciekawość, lubię tropić nieścisłości, demaskować półprawdy czy też ewidentne przekłamania w relacjach świadków lub wypowiedziach samych zainteresowanych. Ale nigdy nie oceniam swoich bohaterek ani osób z nimi związanych. Czasy PRL były specyficzną epoką, a kto w niej nie funkcjonował, niech lepiej nikogo nie osądza. Przedstawiam zatem tylko fakty, ocenę pozostawiając czytelnikom.

Niemniej jednak z dużą przyjemnością prostowałem nieścisłości w relacjach matki Anny German i poszukiwałem rodowodu naszej znakomitej piosenkarki. German była bowiem Polką z wyboru, a jej koligacje rodzinne i przyczyny emigracji nad Wisłę zasługują na oddzielną książkę. W literaturze przedmiotu natomiast pokutują do dzisiaj liczne przekłamania, których źródłem była relacja Irmy Martens, matki Anny. Obfitowała ona w informacje, które nie miały wiele wspólnego z rzeczywistością, a są powtarzane bezkrytycznie przez autorów opracowań i artykułów o życiu Anny German.

Grażyna Bacewicz pochodziła natomiast z mieszanego polsko-litewskiego małżeństwa i niewiele brakowało, aby jej talent dodawał chwały kulturze naszego północnego sąsiada. Za Litwinów uważali się ojciec i brat słynnej skrzypaczki i kompozytorki, a ona również w latach dwudziestych chciała zostać na Litwie. Przypadek zdecydował, że wróciła nad Wisłę i świat poznał ją jako polską artystkę.

Podobnie skomplikowane były losy Aliny Szapocznikow. Rzeźbiarka pochodziła ze spolonizowanej rodziny żydowskiej, ale znaczną część życia spędziła na dobrowolnej emigracji artystycznej we Francji. W swojej biografii miała również epizod z czeskim obywatelstwem, nigdy jednak nie zerwała kontaktu z krajem. Słusznie zatem obok Katarzyny Kobro (rodowitej Niemki z Rosji) uważana jest za najwybitniejszą polską rzeźbiarkę XX

stulecia.

Większość moich bohaterek debiutowała już po „odwilży” 1956 roku. Niektóre jednak nie miały tego szczęścia, dlatego Alina Szapocznikow wykuwała pomnik przyjaźni polsko-radzieckiej, Mira Zimińska-Sygietyńska włączała do programów „Mazowsza” pieśni o Stalinie i planie sześcioletnim, a Agnieszka Osiecka biegała na zebrania ZMP. Jednak nawet w późniejszym okresie nie było łatwo, do obowiązków piosenkarek należało uczestniczenie w festiwalach w Kołobrzegu i Zielonej Górze, aktorki brały udział w imprezach propagandowych, a pisarki zmagaly się z cenzurą. Ale swoją sztuką artystki dawały radość milionom Polaków, co teraz, po latach, wydaje się najważniejsze.

Nikt bowiem nie wymaże rzeczywistych osiągnięć polskiej kultury epoki PRL. Bez wątplenia było to państwo wasalne wobec Kremla, ubogi kraj bez demokracji. Ale podobnej eksplozji talentów w różnych dziedzinach sztuki nasze dzieje nie notowały. I właśnie o tym jest ta książka.

Na koniec chciałem podziękować panu Michałowi Smętkowi za współpracę przy rozdziałach o Kalinie Jędrusik i Elżbiecie Czyżewskiej, a pani Marcie Czerwieniec za poszukiwania i ustalenia dotyczące pochodzenia Anny German.

Sławomir Koper

# Rozdział I.

Zamiast wstępu

## SZTUKA I POLITYKA

Komuniści, przygotowując się u schyłku drugiej wojny światowej do objęcia władzy, zadbali o dobre rozpoznanie środowisk artystycznych. Doskonale wiedzieli, kto przebywa w kraju, a kto znajduje się na emigracji, kto będzie ich sojusznikiem, a kogo można zastraszyć lub kupić. Nowi władcy kraju wytypowali listę twórców, których poparcie uznali za konieczne, i zrobili wiele, aby uzyskać ich przychylność. Zależało im na znanych i popularnych nazwiskach, na ludziach rozpoznawalnych przez społeczeństwo i uznawanych za symbole Drugiej Rzeczypospolitej.

Powracającego z USA Tuwima przyjęto z niemal królewskim splendorem, w Gdyni powitał go osobiście Jerzy Borejsza, a do Warszawy przyleciał na pokładzie rządowego samolotu. W stolicy czekała już służbowa limuzyna, duże umeblowane mieszkanie, willa w Aninie oraz prasa gotowa drukować wszystko, co tylko jej przekaże. Odpowiednio również uhonorowano zmęczoną okupacją Zofię Nałkowską, gwarantując jej egzystencję na poziomie, do jakiego przywykła. Jarosław Iwaszkiewicz i Maria Dąbrowska błyskawicznie natomiast przekonali się, czym grozi niełaska nowych władz. Brak możliwości publikacji oznaczał brak dochodów, co stało się wystarczającym powodem do kompromisu z komunistami. Tym bardziej że władze w zamian za posłuszeństwo miały dużo do zaoferowania, Iwaszkiewicz zachował nawet swoje Stawisko, chociaż majątek był jawnym anachronizmem w zmienionej sytuacji społeczno-politycznej. Ale pan Jarosław miał znane w Europie nazwisko, a Stawisko leżało w pobliżu Warszawy. Często zatem odwiedzali je goście z zagranicy, którzy na własne oczy mogli się przekonać, jak w Polsce szanuje się pisarzy.

Marzeniem niemal każdego autora jest jak najszersza popularyzacja własnej twórczości, a to akurat władze Polski Ludowej potrafiły zagwarantować. Likwidacja analfabetyzmu spowodowała bowiem niespotykany wzrost czytelnictwa i nakłady powieści

sięgnęły dziesiątków tysięcy egzemplarzy (przed wojną za sukces uważano sprzedaż kilku tysięcy). Prawdziwą nobilitacją było wprowadzenie książki na listę lektur szkolnych, co automatycznie zwielokrotniało i tak już wysokie nakłady. A to oczywiście miało przełożenie na zarobki pisarzy.

Wprawdzie komuniści uważali literaturę za bardzo ważną, ale nie zapominali o innych dziedzinach sztuki. Szczególnie cenną zdobyczą okazał się rzeźbiarz Xawery Dunikowski. Okrutnie doświadczony przez wojnę (spędził pięć lat w Auschwitz, a w chwili osadzenia w obozie miał 65 lat) otrzymał Katedrę Rzeźby na krakowskiej ASP. Po dziesięciu latach przeniósł się do stolicy, gdzie jednak nie był do końca zadowolony z warunków, jakie mu zaoferowano (profesura na ASP, duże mieszkanie, ogromna pracownia oraz obietnica własnego muzeum). Narzekał na nowe budownictwo, zażądał mieszkania w starej kamienicy, a odwiedzających go partyjnych oficjeli traktował lekceważąco, czasami wręcz wyrzucając ich za drzwi. Uchodziło mu to jednak na sucho, był bowiem władzom bardzo potrzebny.

Dunikowski mógł ignorować dostojników niższego szczebla, ale przyjął z rąk Bieruta Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski oraz Order Budowniczych Polski Ludowej. I odpłacił komunistom za splendory. W 1946 roku przygotował projekt pomnika Czynu Powstańczego na Górze Świętej Anny, prace jednak trwały aż siedem lat. Wielokrotnie bowiem zmieniano założenia, roboty opóźniały się również z powodu trudnego charakteru Dunikowskiego, który nie potrafił dojść do porozumienia z ekipami wykonawczymi, żądał przysłania robotników z Włoch (!) i co pewien czas wymuszał dla siebie podwyżkę. Zaprojektował jednak również pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej w Olsztynie (obecnie pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej) oraz warszawski pomnik Żołnierza 1. Armii Wojska Polskiego. Był bowiem realistą i wiedział, jak odwdzińczyć się władzom. A poza tym na państwowych inwestycjach doskonale zarabiał.

Nie znaleziono natomiast kompozytora mogącego stać się rzecznikiem nowego ustroju w sferze muzyki poważnej. Nie żył już bowiem Karol Szymanowski, który zapewne stałby się łatwą zdobyczą komunistów. Idealnie się do tej roli nadawał, jako twórca inspirujący się polskim folklorem (co władze wysoko ceniły) i jednocześnie człowiek potrafiący wydać każde zarobione pieniądze. Nie sprawdził się Ludomir Różycki, z którym wiązano pewne nadzieje, a najzdolniejsi kompozytorzy młodego pokolenia nie zamierzali podporządkować się wymogom nowej epoki. Grażyna Bacewicz nie napisała żadnego (!) utworu w stylu

realizmu socjalistycznego, a Witold Lutosławski ograniczył się do komponowania pod pseudonimem pieśni masowych. Znacznie lepiej układała się współpraca władz z wyjątkowo doświadczonym podczas wojny Władysławem Szpilmanem, ale pianista zdecydowanie większe sukcesy osiągał jako kompozytor muzyki rozrywkowej.

Cenną zdobyczą okazał się natomiast Grzegorz Fitelberg. Słynny dyrygent nigdy nie interesował się polityką i nie zwracał uwagi na takie drobiazgi jak ustrój państwa. Mianowany szefem orkiestry filharmonii w Katowicach stał się źródłem kapitalnych anegdot, świadczących, że muzyk żył we własnym świecie. Podróżując na przykład kiedyś po Polsce samochodem (towarzyszyło mu dwóch pracowników Urzędu Bezpieczeństwa), natknął się na procesję z okazji Bożego Ciała. Wsiadł z pojazdu, ukląkł i się przeżegnał. A gdy zauważył brak podobnej reakcji u swoich współtowarzyszy, zapytał podejrzliwie: „A panowie co, Żydzi?”.

Do legendy przeszło jednak jego zachowanie następnego dnia po śmierci Stalina. Pojawił się rano na próbie orkiestry, stanął przed zespołem i powiedział:

„Proszę wstać, dzisiaj w nocy zmarł wielki radziecki... kompozytor Sergiusz Prokofiew, mój przyjaciel. Proszę uczcić jego pamięć minutą milczenia”.

Minuta minęła, wszyscy siadają, a on odwrócił się do koncertmistrza i zapytał:

„Panie Wochniak, podobno Stalin też zmarł?”<sup>1</sup>.

Rzeczywiście, Stalin i Prokofiew zmarli tego samego dnia.

## SOCREALIZM

Za początek obowiązywania socrealizmu nad Wisłą uważane jest wystąpienie Bolesława Bieruta na Konferencji Warszawskiej PZPR w lipcu 1949 roku. W rzeczywistości doktryna obowiązywała już wcześniej, co stało się szczególnie widoczne w dziedzinie architektury. W zniszczonym wojną kraju mieli duże pole do popisu, w nowej konwencji powstawały całe miasta i dzielnice, czego najbardziej znanymi przykładami są Nowa Huta i warszawski plac Konstytucji. Nie należy zapominać również o nieco późniejszym Pałacu



Kultury i Nauki.

W dziedzinie budownictwa mieszkaniowego założenia socrealizmu były całkiem rozsądne. Nowa socjalistyczna treść zagwarantować miała użytkownikom higieniczne warunki bytowe, mieszkania budowano wprawdzie niewielkie, ale wyposażone w bieżącą wodę i kanalizację. Tam, gdzie było to możliwe, zapewniano mieszkańcom obszerne tereny zieleni miejskiej, nie zapominając o szerokich ulicach i placach. Na nich to bowiem lud pracujący miał publicznie wyrażać swoją aprobatę dla istniejącego porządku. Zapewne nie przypuszczano wówczas, że trzydzieści lat później takie założenia architektoniczne staną się zmorą dla oddziałów ZOMO rozpędzających demonstracje na terenie Nowej Huty.

Najbardziej jednak widoczną cechą architektury socrealistycznej była monumentalność gmachów użyteczności publicznej. Bezkrytycznie kopiowano sowieckie rozwiązania, dlatego otoczenie budynków zaroilo się postaciami herosów z awansu społecznego. Posągi miały zwaliste kształty, twarze nieskażone wysiłkiem umysłowym, obowiązkowo natomiast wyposażano je w atrybuty wykonywanego zawodu. Najbardziej ambitni ściskali jednak w dłoniach opasłe tomy klasyków marksizmu-leninizmu, sugerujące ich ambicje intelektualne. Zdziwiające jest jednak to, że w „produkcji” tych okropieństw brało udział grono całkiem zdolnych rzeźbiarzy, z Aliną Szapocznikow na czele.

Gwałtowne protesty zwolenników socrealizmu wywołała budowa Centralnego Domu Towarowego w Warszawie (obecny Smyk). Budynek zaprojektowano jeszcze w stylu późnego modernizmu, ukończony został już jednak w latach obowiązywania realizmu socjalistycznego. Pomimo nacisków entuzjastów nowej doktryny nie zmieniono projektu, chociaż zastosowane rozwiązania uznano za zbędne dla klasy robotniczej. Obiekt miał bowiem podziemny parking (pierwszy w Warszawie), otwarty taras z kawiarnią oraz nowoczesne urządzenia przeciwsłoneczne. Nic dziwnego, że budynek uznano za kompletnie „bezideowy”.

W styczniu 1949 roku w Szczecinie odbył się Zjazd Literatów Polskich, który zapoczątkował socrealizm w literaturze. Dla posłusznych autorów przewidziano wiele przywilejów: domy pracy twórczej, przydziały mieszkań, opiekę medyczną w rządowych klinikach, emerytury, a nawet mandaty poselskie. Rzeczywiście w Sejmie dożywotnio zasiadali Zofia Nałkowska i Jarosław Iwaszkiewicz, posłami pierwszych kadencji byli: Jerzy

Andrzejewski, Jan Dobraczyński, Jerzy Zawieyski, Stefan Kisielewski. Bohdan Czeszko (poseł w latach 1965-1980) nie miał najlepszego zdania o swoich kolegach pisarzach z czasów Sejmu V kadencji:

„[...] Był jednym z trzech pisarzy, którzy zasiadali wtedy w sejmie - wspominał Janusz Głowacki. - Opowiadał, że obaj pozostali, czyli Władysław Machejek i Wilhelm Szewczyk, przynosili wódkę w butelkach po wodzie sodowej i pod koniec każdej sesji spadali ze stołków poselskich. Jednego dnia, nie mogąc dłużej na to patrzeć, oburzeni posłowie z Katowic złożyli interpelację do łaski marszałkowskiej, że to jest skandal, że towarzyszą pisarzom się wódkę w bufecie sprzedaje, a im nie. Po interpelacji podobno przepisy złagodniały. Czeszko miał do obu pisarzy posłów stosunek niechętny: »To, że chujowo piszą i że są w dupę pijani, to mniejsza o to. Najgorsze, że pierdolą te potworne posłanki«,2.

Czeszko mógł jednak na wiele sobie pozwolić. Były żołnierz AL piękną kartę zapisał podczas powstania warszawskiego, miał autentyczny talent i nawet jego socrealistyczne Pokolenie nie było pozbawione walorów literackich. Niebawem stało się zresztą podstawą scenariusza debiutu fabularnego Andrzeja Wajdy.

Dyktatowi socrealizmu poddali się również literaci o wielkich nazwiskach: Zofia Nałkowska popełniła Medaliony, Maria Dąbrowska Na wsi wesele, wszystkich przelicytowali jednak pisarze młodszego pokolenia. Jan Wilczek opublikował Nr 16 produkuje, Aleksander Ścibor-Rylski Węgiel, a Kazimierz Brandys cztery tomy cyklu Między wojnami. Brandys poszedł zresztą dalej, w jednej z kolejnych książek, Obywatele, czarnymi charakterami uczynił deprawatora młodzieży księdza katechetę Leśniarza oraz nauczyciela Działyńca (podstępny wroga klasowego). Na szczęście groźne spiski zdemaskowali dzielni członkowie ZMP, a zakończeniem powieści był proces „pięciu bankrutów politycznych, pięciu zjadłych wrogów Polski Ludowej”.

Książki Brandysa rozchodziły się jednak w bajecznych nakładach, ale sam pisarz po latach przyznał, że stosowano niekonwencjonalne metody dystrybucji. W niektórych wiejskich sklepach każdy, kto chciał kupić wiadro, musiał obowiązkowo nabyć jedno dzieło pisarza.

Akceptację władców Polski Ludowej usiłowali również uzyskać ludzie niezwiązani

wcześniej z lewicowym światopoglądem. Magdalena Samozwaniec zasłużyła się komunistom, pisząc parodię polskiej arystokracji (Błękitna krew), dzięki czemu niebawem mogła wydać znakomitą Marię i Magdalenę. Jerzy Andrzejewski natomiast, odcinając się od swojej katolickiej przeszłości (powieść Ład serca), stworzył znakomity Popiół i diament. Inna sprawa, że powieść ta nie wzbudziła specjalnych zachwytów komunistów jako zbyt nieokreślona i niejednoznaczna w wymowie.

Chociaż większość twórców traktowała socrealizm jak konieczne zło, to jednak zdarzali się ludzie szczerze wierzący w nową doktrynę. Należeli do nich członkowie tak zwanej Grupy 49 (Tadeusz Baird, Kazimierz Serocki i Jan Krenz), kompozytorzy, którzy tworzyli zgodnie z zasadami socrealizmu. Przekaz ideologiczny najlepiej sprawdzał się w utworach wokalnoinstrumentalnych, ale również dzieła instrumentalne doskonale odnajdywały się w nowym porządku (Symfonia pokoju Andrzeja Panufnika).

Nad ideologiczną stroną polskiej muzyki czuwała osławiona Zofia Lissa, wiceprezes Związku Kompozytorów Polskich. Prezentowała wyjątkowy serwilizm wobec władz, dzielnie tropiąc „imperialistyczną zgniliznę” i utrudniając życie swoim przeciwnikom. Stefan Kisielewski (jedna z jej ofiar) uważał, że „nie była to zła kobieta, tylko jego zdaniem głupia”. A kiedy pobito ją w czasie jakiegoś napadu, stwierdził, że „metod nie pochwała, ale wybór był dobry”.

W 1947 roku na ekranach kin pojawił się pierwszy film utrzymany w konwencji socrealizmu. Był nim obraz Eugeniusza Cękałskiego Jasne łąny z udziałem Kazimierza Dejmka, Jana Kurnakowicza i Andrzeja Łapickiego. Podobnie jak w przypadku literatury wśród obrazów nakręconych w obowiązującej stylistyce zdarzały się również bardziej ambitne pozycje, jak Celuloza Kawalerowicza czy wspomniane już Pokolenie Wajdy. Ten ostatni film uważany jest zresztą za zapowiedź słynnej szkoły polskiej w kinematografii, która ostatecznie miała zerwać z zasadami sztuki socjalistycznej.

Realizując filmy typowo rozrywkowe, zastosowano metody sprawdzone w okresie międzywojennym. Nic tak bowiem nie podnosiło popularności filmu, jak komediowa konwencja ozdobiona chwytliwymi piosenkami. W Przygodzie na Mariensztacie na rywalizację dwóch ekip murarskich (damskiej i męskiej) nałożono wątek miłosny, ozdabiając go zgrabnymi piosenkami autorstwa Tadeusza Sygietyńskiego. Stały się one przebojami

(szczególnie Jak przygoda, to tylko w Warszawie), które są pamiętane do dnia dzisiejszego. Tak stało się z innymi hitami socrealizmu: Na prawo most, na lewo most, Warszawa, ja i Ty (z filmu Skarb) czy Piosenką o Nowej Hucie.

## PROBLEMY Z POETAMI

W budowę socjalizmu włączyli się również poeci. Władysław Broniewski napisał Słowo o Stalinie, a Leopold Lewin zaś Poemat o Dzierżyńskim, Pieśń partii zjednoczonych i Kantatę o Bierucie. Starał się nie pozostawać w tyle Gałczyński, a niektórymi wierszami Tuwima zachwycano się nawet na emigracji (ze względu na ich formę).

Inna sprawa, że z poetami bywały z reguły problemy, pierwszy kłopoty zaczął sprawiać Gałczyński. Pan Konstanty miał wyjątkowo niepokorny charakter, poglądy polityczne często zmieniał, a wierny pozostawał wyłącznie alkoholowi. Przed wojną miał skłonności prawicowe, ale chyba jednak niczego w życiu nie traktował poważnie. W Polsce Ludowej pisał wprawdzie w konwencji socrealistycznej, jednak jego twórczość szybko potępiono jako „drobnomieszczańską”. Adam Ważyk zażądał publicznie (podczas zjazdu Literatów w 1950 roku), aby „ukręcił łeb temu rozwydrzonemu kanarkowi, który zagnieździł się w jego wierszach”. Miało to oznaczać „oczyszczenie poezji ze smaczków i pięknostek burżuazyjnej poetyki z czasów imperializmu”.

„Cóż, kanarkowi łeb można ukręcić - zauważył przytomnie Gałczyński - ale wtedy wszyscy zobaczą klatkę. Co zrobić z klatką, koledzy?”<sup>3</sup>.

Do nowej rzeczywistości niebawem zraził się również sam Ważyk. Jak przystało na poetę, wybrał literacką formę protestu, publikując w 1955 roku na łamach „Nowej Kultury” Poemat dla dorosłych. Utwór atakował socrealizm, fałszywą propagandę i demoralizację obyczajową robotników, a zwłaszcza jedno z głównych przedsięwzięć stalinizmu w Polsce - Nową Hutę, i uzyskał wręcz nieprawdopodobny odzew społeczny. Egzemplarze tygodnika sprzedawano na bazarach po 300 złotych (pismo kosztowało złotówkę i dwadzieścia groszy), a utwór przepisywano w tysiącach egzemplarzy.

„To był wiersz - twierdził Jacek Kuroń - który rozdrapywał rany, mówił rzeczy, jakich wtedy nie chcieliśmy czy też nie mieliśmy odwagi nazwać. »Z niej się wytapia robotnicza

klasa./ Dużo odpadków, a na razie kasza« - przecież klasa robotnicza to była dla nas świętość, a tu takie słowa. Albo: »Wszystko tu stare. Stare są hycle/ od moralności socjalistycznej«. Wielu moich partyjnych przyjaciół było oburzonych. Ja uznałem jednak, że każde słowo »Poematu« to prawda, a skoro tak, to muszę ją głosić”<sup>4</sup>.

W sprawie osobiście interweniowała Wanda Wasilewska, utwór stał się tematem dziesiątków zebrań partyjnych. Ze stanowiskiem pożegnał się naczelny „Nowej Kultury”, odwołano zarząd kombinatu w Nowej Hucie, wymuszono również dymisję miejscowej organizacji partyjnej. Na terenie Nowej Huty rozpoczęto budowę sklepów i barów mlecznych, powstał także Teatr Ludowy (dotychczas działało tam tylko jedno kino). Dzieje Polski Ludowej nie zanotowały już nigdy podobnej kariery utworu literackiego.

Marzyciel Fourier uroczu zapowiadał, że w morzach będzie płynąć lemoniada.

A czyż nie płynie?

Piją wodę morską, wołają -

lemoniada!

Wracają do domu cichaczem rzygać!

rzygać!

Inną metodę kontestacji wybrał natomiast Broniewski. Wprawdzie miał wyrobione zdanie o sowieckim komunizmie (zadbało o to NKWD na Łubiance), ale chyba łudził się, że jego polska wersja okaże się „socjalizmem z ludzką twarzą”. Rozczarowany zamknął się w świecie alkoholu, a na problemy ideologiczne nałożyła się dodatkowo nigdy właściwie niewyjaśniona śmierć ukochanej córki.

„Przyjechaliśmy na miejsce w południe - wspominał Janusz Atlas wizytę w Domu Pracy Twórczej w Oborach - było bardzo ciepło i świeciło słońce. Przed czworakami stało wielu dorosłych, z ożywieniem o czymś rozmawiających. I wtedy Ojciec podniósł mnie w górę i kazał patrzeć w wybrane okno na pierwszym piętrze. Pamiętam to okno jak dziś, otwarte na oścież, wypełnione czymś, co wydawało mi się... dużą pupą. »Tak jest - przyklasnął tatuś. - Zapamiętaj, synku, to jest pupa największego polskiego poety rewolucyjnego«,<sup>5</sup>.

BURSZTYNOWY SŁOWIK

Ekipa Gomułki, która objęła władzę w 1956 roku, świetnie zdawała sobie sprawę z bankructwa idei realizmu socjalistycznego. Naród zmęczony wiecami i masowymi pieśniami pożywał rozrywki bez ideologii. Należało jakoś sprostać tym oczekiwaniom, zorganizować popularną rozrywkę, nie zapominając jednak o bardziej wymagającym odbiorcy.

„Pod polityczną »skorupą« coś silnie pulsowało - wspominał dziennikarz Cezary Prasek. - W Polsce stalinizm trwał przecież stosunkowo krótko i mimo wielu tragedii, do jakich się przyczynił w warstwie obyczajowej, nie udało mu się stłumić ludzkich potrzeb i postaw. Nawet w czasie najgłębszej stalinowskiej nocy słuchało się prywatnie jazzu i tańczyło boogie-woogie. Ba, nawet udawało się niekiedy naszym jazzmanom grać jazz na publicznych estradach. Należało tylko przekonać kogo trzeba, że jest to muzyka »czarnego amerykańskiego proletariatu ciemniejszego przez białych imperialistów«,6.

W kraju rządzonym przez komunistów dystrybucja kultury odbywała się za pośrednictwem państwa, a jej najprostszą formą była organizacja różnego rodzaju festiwali. Namnożyła się ich w epoce Gomułki całkiem pokaźna liczba: muzyczne, filmowe, teatralne, nie licząc wielu przeglądów amatorskich.

Na czoło wysunęły się festiwale muzyczne, wielbiciele najnowszych trendów w muzyce poważnej mieli Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień”, a amatorzy muzyki oratoryjnej Międzynarodowy Festiwal Oratoryjno-Kantatowy „Wratislavia Cantans”. Fanów jazzu ściągało do stolicy Jazz Jamboree, a miłośnicy muzyki ludowej odwiedzali Kazimierz Dolny. Były to festiwale na poziomie europejskim, na wschód od Łaby nie organizowano nic równie ambitnego. Jednak najważniejsze dla społeczeństwa okazały się cztery festiwale piosenki zorganizowane w latach sześćdziesiątych w: Sopocie, Opolu, Kołobrzegu i Zielonej Górze. Transmitowane przez radio i telewizję (wprawdzie często z poślizgiem) przyciągały przed odbiorniki miliony Polaków, a wydarzenia estradowe wywoływały niekończące się dyskusje w kawiarniach, biurach czy stołówkach zakładowych.

Jako pierwszy w 1961 roku zadebiutował Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie. Pomysłodawcą imprezy był Władysław Szpilman, a pierwszym konferansjerem Lucjan Kydryński. Początkowo festiwal odbywał się w hali Stoczni Gdańskiej.

Imprezę przeniesiono do Opery Leśnej w Sopocie (przed wojną wystawiano w niej opery Wagnera!), aby zapewnić komfort widzom, zamontowano nawet brezentowy dach. Pogoda w Polsce bywa kapryśna, a chłodny i deszczowy sierpień nad Bałtykiem nie jest żadną anomalią. Dlatego stałym elementem telewizyjnych transmisji był widok widzów opatulonych w ciepłe koce, najczęściej z widocznymi symbolami Funduszu Wczasów Pracowniczych.

Festiwal miał być międzynarodowy, zatem obok przedstawicieli krajów socjalistycznych zapraszano piosenkarzy z Zachodu. Byli to jednak wykonawcy, których nazwisk nie znali nawet specjaliści branży muzycznej. W Polsce wzbudzali jednak emocje, chociaż często z powodów zupełnie innych niż muzyczne. Na przykład występ ognistej Hiszpanki Conchity Bautisty (1969), który na długo zapadł w pamięci męskiej części widowni.

Nagrody otrzymywali głównie przybysze zza żelaznej kurtyny, nie mogło jednak zabraknąć wyróżnień dla reprezentantów Związku Radzieckiego. W 1963 roku główną nagrodę zdobyła Tamara Miansarowa za utwór *Zawsze niech będzie słońce*, a jej sukces po latach powtórzyli Ałła Pugaczowa i Lew Leszczenko. Pugaczowa zresztą wprowadziła organizatorów w prawdziwe osłupienie, gdy wchodząc na scenę, przeżegnała się, a następnie śmiało zaprezentowała bardzo odważne rozcięcie sukni.

Wśród laureatów byli również Polacy w 1968 roku główną nagrodę zdobyła Urszula Sipińska (*Po ten kwiat czerwony*), a cztery lata później Andrzej Dąbrowski (*Do zakochania jeden krok*). Dla Zdzisławy Sośnickiej, mało wówczas jeszcze znanej, sopocki sukces w 1977 roku okazał się przepustką do kariery.

Nadmorski festiwal wylansował w Polsce okazałą grupę wykonawców z bloku wschodniego. Dzięki występom w Sopocie popularność osiągnęli Helena Vondráčková, Karel Gott i Zsuzsa Koncz. Gott pojawiał się w Sopocie trzykrotnie w charakterze specjalnej gwiazdy festiwalu, nie ustępowała mu Vondráčková, która zresztą w 1977 roku dostała Grand Prix za *Malovaný džbánku* (wspólnie z Sośnicką). Podbiła polską publiczność talentem, urokiem, a przede wszystkim fantastyczną urodą. I niewiele już pamięta, że cztery lata wcześniej zaprezentowała na sopockiej estradzie zadziwiający performance wokalny (*Archiméde*), akompaniując sobie na bębnach.

Do festiwalowych ciekawostek należał Dzień Polski, podczas którego obcokrajowcy wykonywali polskie przeboje w swojej interpretacji. Czasami przynosiło to humorystyczne efekty, jak Zegarmistrz światła w wykonaniu Węgrów z Locomotiv GT czy też Dmuchawce, latawce, wiatr śpiewane w łamanym czesko-polskim języku przez pewną niezwykle urodziwą Czeszkę. Oczywiście żadna z interpretacji krajowych hitów nie zyskała nigdy popularności poza granicami Polski.

Duża impreza musiała obfitować w nieplanowane wydarzenia, czasami jednak zdarzały się prawdziwe dramaty. Na przykład francuska piosenkarka Nicole złamała podczas koncertu nogę.

„Była żywa jak wulkan - wspominał dyrektor BART-u Eugeniusz Terlecki. - I wbiegła z takim impetem, że pośliznęła się. Wyniesiono ją ranną, ale śpiewającą”<sup>7</sup>.

W 1977 roku imprezę przekształcono w Festiwal Interwizji, w zamierzeniu ekipy Gierka miała stać się konkurentem dla Festiwalu Eurowizji. Szef telewizji, wszechwładny Maciej Szczepański, miał praktycznie nieograniczone możliwości finansowe i dołożył wielu starań, aby nadać festiwalowi odpowiednią rangę. Oczywiście władze uczyniły z imprezy kolejny element propagandy sukcesu, a czołówka festiwalu zamieniła się w prawdziwe misterium. Prezentowano liczbę luksów oświetlenia, kamer i wykonawców, a efektownie dobrane ujęcia zapowiadały transmisję na europejskim poziomie. Inna sprawa, że festiwal faktycznie sprawiał wówczas imponujące wrażenie, a przyznawane nagrody działały na wyobraźnię (szczególnie jacht pełnomorski jako nagroda publiczności).

W charakterze gwiazd zaczęli pojawiać się tacy wykonawcy, jak: Pussycat, Demis Roussos i grupa Boney M. Występowali jednak z playbacku, a koncert Boney M. emitowano z jednodniowym opóźnieniem. Wycięto zakazaną w PRL piosenkę Rasputin, mało kto jednak pamięta, że występ na żywo transmitowało Polskie Radio i tam utwór zabrzmiał bez zakłóceń. Zachodnie gwiazdy sprawiały jednak organizatorom problemy, Demis Roussos okazywał niezadowolenie z podstawionej limuzyny i hotelowego apartamentu, inni goście natomiast nie potrafili zrozumieć festiwalowych obyczajów.

„Przed koncertem Aznavoura [w 1984 roku - S.K.] występowała mało znana Czeszka



- opowiadał Wojciech Fułek, pracownik biura prasowego festiwalu - która na scenie miała być kwadrans, a występowała 1,5 godziny. Nie można jej było w żaden sposób ściągnąć ze sceny. Koncert Aznavoura zaczął się więc z ogromnym opóźnieniem. Tymczasem w połowie występu publiczność zaczęła opuszczać operę, bo spieszyła się na ostatnią kolejkę. Artysta nie wiedział, co się dzieje”<sup>8</sup>.

Była to ta sama Czeszka, która w tak niezwykle sposób interpretowała Dmuchawce, latawce, wiatr.

Niewiele brakowało, aby katastrofą zakończył się przyjazd na festiwal Johnny’ego Casha. W hotelu Posejdon, gdzie piosenkarz zamieszkał razem ze swoją ekipą, zabrakło wody i artysta zażądał wznowienia jej dostawy w ciągu pół godziny. Nie było to realne, bo awaria okazała się poważna, ostatecznie Cash zadowolili się kontenerami z wodą mineralną.

W skandale obyczajowe obfitował natomiast występ Shirley Bassey. Artystkę irytował padający deszcz, dlatego skróciła znacznie swój recital. Była zresztą pod ciągłym wpływem alkoholu i bardziej interesowały ją awantury ze swoim partnerem niż występ w amfiteatrze. Janusz Atlas nie ukrywał zaskoczenia, gdy pierwszy raz zobaczył gwiazdę w sopockim Grand Hotelu:

„Tak sobie gaworzyliśmy o wredności kobiet, kiedy podniósł się straszny wrzask i na taras z widokiem na morze wpadła stara pękata Murzynka w dresie, a za nią dużo młodszy i dużo elegantszy Murzyn w garniturze, który bez zbędnych ceregieli wyrznął staruchę w łeb, aż się zatoczyła na ścianę. Ona jednak przyjęła cios z godnością i odbiwszy się od ściany z kopa trafiła eleganta w krocze. On się skurczył, czarną twarz wykrzywił grymas bólu i wszystko, do czego był zdolny, to do oplucia ciemnej kobiety. Usłużni kelnerzy wyprowadzili go na zaplecze. Zaraz potem wpadł spocony z emocji wysłannik »Pagartu«, żeby po angielsku przeprosić Murzynichę za pożałowania godny incydent, a ona puściła mu wiąchę przekleństw, które nawet dziecko polskie zrozumiałoby, bo wychowuje się na amerykańskich filmach”<sup>9</sup>.

Mimo że czasami poziom artystyczny imprezy pozostawiał wiele do życzenia, jednak przez kilka sierpniowych dni cała Polska żyła festiwalem. Był to jednocześnie doskonały przegląd polskiej piosenki, przez amfiteatr przewinęła się bowiem cała śmietanka krajowych wykonawców. Prezentowano utwory najlepszych autorów, a niektóre piosenki powodowały

dyskusje daleko wykraczające poza kwestie artystyczne. Gdy podczas wykonania Anny Marii przez zespół Czerwone Gitary na scenie pojawił się chórek dziecięcy, przez Polskę przetoczyła się dyskusja. Debatowano na temat obecności dzieci w amfiteatrze o późnej porze, a w polemice na łamach mediów brali udział specjaliści od spraw wychowania i lekarze.

## OPOLSKIE SKANDALE

Dwa lata po Sopocie zadebiutował Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu. W odróżnieniu od swojego nadmorskiego rywala miała to być impreza ukazująca pełny przekrój polskiej piosenki. I tak faktycznie było, chociaż czasami werdykty jury wyglądały na ustalone przed rozpoczęciem festiwalu.

„[...] Opłacało się ten festiwal wygrać - uważał Janusz Atlas - trafić w nagrodę albo nawet w dwie, bo wówczas kasa wypłacała równowartość średniej krajowej. Nie tylko. Laury opolskie otwierały przed wyróżnionymi wrota radia, telewizji, zagraniczne kontrakty »Pagartu« i krajowe - w prowincjonalnych agencjach estradowych. Dlatego było się o co bić!” 10.

Występ w Opolu automatycznie zapewniał popularność, dzięki czemu było możliwe utrzymanie zespołów towarzyszących piosenkarzom. Byt muzyków zależał bowiem od liczby imprez.

„[...] Większość występów - opisywał sytuację Maryli Rodowicz Daniel Olbrychski - była przede wszystkim po to, aby muzycy Maryli mieli z czego żyć. Dostając mniejsze od niej stawki, musieli zagrać więcej koncertów, by móc utrzymać swoje rodziny.

Na tym polegał dramat gwiazd. Nie mogą występować bez zespołu, a zespół z kolei nie może się utrzymać z dwóch, trzech recitali w miesiącu” 11.

Nagrody w Opolu przyznawano również autorom piosenek, którzy często zasiadali zresztą w jury festiwalowym. Zachodziła klasyczna sprzeczność interesów i czasami obrady gremium przypominały handel wymienny. Tym bardziej że niemal każdy znany wykonawca lub autor miał poparcie różnych czynników partyjnych. Teoretycznie jednak o wszystkim

decydowała tak zwana rada programowa.

„To był klasyczny gang - twierdził Atlas - mocny organizacyjnie. Tworzyli go tekściarze, kompozytorzy, redaktorzy muzyczni, którzy dobrali się, aby na długo przed festiwalem, w Warszawie, ale także w innych miastach, zbierać piosenki, oceniać je i kwalifikować, dobierać artystki, artystów, składać przyszłe koncerty w jedną całość i faktycznie reżyserować tę opolską śpiewogrę. [...] Każdą opolską imprezę poprzedzały »podchody« interwencyjne w KC i Ministerstwie Kultury, donosy słowne i pisemne i nawet publiczne awantury. Rada programowa nieustannie balansowała niczym akrobata na linie, podejmowała ostateczne decyzje i je zmieniała, tworząc wokół festiwalu otoczkę permanentnego skandalu” 12.

W całej Polsce plotkowano o ekscesach seksualnych, podobno artystki, które chciały otrzymać nagrodę, musiały być przygotowane do liberalnego traktowania erotycznych ofert jurorów. Do tego dochodziło jeszcze huczne życie towarzyskie, a o ilościach alkoholu spożywanego za kulisami krążyły prawdziwe legendy.

Festiwal w Opolu był jednak znacznie mniej konserwatywny od sopockiego, dlatego znajdowali tam miejsce wykonawcy młodszego pokolenia. W 1967 roku sensację wywołało pełne ekspresji wykonanie piosenki *Dziwny jest ten świat* Czesława Niemena, a muzycy spod znaku bigbitu pojawili się na estradzie już podczas pierwszej edycji imprezy.

W późniejszych latach było podobnie; w 1980 roku sensacją stał się występ startującego dopiero do wielkiej kariery zespołu Maanam (*Boskie Buenos* i *Żądza pieniądza*). Wprawdzie niektórzy uważali to za profanację „świętyni polskiej piosenki”, ale organizatorzy szli z duchem czasu. Inna sprawa, że w gorącym okresie karnawału Solidarności nie odważono się na transmisję na żywo opolskiej nocy kabaretowej. Zresztą *Obławę* Jacka Kaczmarskiego wyrzucono z koncertu laureatów.

## PIERŚCIENIE I SAMOWARY

W Opolu przyznawano Kamertony, w Sopocie Bursztynowe Słowiki, w Kołobrzegu zaś Pierścienie. Nagroda, która czytelnie nawiązywała do zaślubin Polski Ludowej z morzem, była jedną z bardziej pożądanых w polskim świecie muzycznym. Zapewniała bowiem

całkiem poważne dochody dzięki koncertom w jednostkach wojskowych. Osobiście dbali o to zarządzający festiwalem pułkownik Władysław Czuba i jego żona, piosenkarka Barbara Książkiewicz.

„Ich zyskiem były całoroczne kontrakty na występy koszarnej trupy »Echa kołobrzeskich festiwali« - twierdził Janusz Atlas. - Objeżdżała ona garnizony, dając show dla wojska i rodzin wojskowych, a dowódcy finansowali show z kas pułkowych. Musieli, bowiem z takim właśnie rozkazem GZP poruszał się pułkownik Czuba, i nie było od tego odwołania. Członkowie trupy, jak w prawdziwej komunie, musieli mieć się stale na baczności, żeby nie podpaść państwu podpułkownikostwu, bo za jeden niekontrolowany grymas można było z trupy wylecieć, z wilczym biletem i bez zapłaty za wykonaną już sztukę. Nigdy wcześniej ani nigdy później w artystycznym półświatku nie widziałem już takiego wyzysku człowieka [jak] przez pułkownika Ludowego Wojska Polskiego” 13.

Festiwal Piosenki Żołnierskiej organizowano od 1967 roku; początkowo odbywał się w Połczynie-Zdroju, a dwa lata później jego siedzibą stał się Kołobrzeg. Była to impreza o mniejszej randze niż festiwale w Sopocie czy Opolu, przeznaczona dla artystów niemających szans zaistnieć na ogólnopolskich estradach. W Kołobrzegu produkowali się również piosenkarze występujący na co dzień w zespołach wojskowych i dla nich była to jedyna szansa zdobycia popularności. Tym bardziej że koncerty transmitowała telewizja i niektóre piosenki stawały się przebojami. Doświadczył tego mało popularny dotychczas Daniel Kłosek (używający pseudonimu artystycznego „Daniel”), gdy przez dwa lata z rzędu otrzymywał Złote Pierścienie (Myśmy są wojsko i Strzelec podhalański).

Większość programu wypełniała stała grupa wykonawców koncertująca w Kołobrzegu niemal każdego roku, pomiędzy nich rozdzielano najważniejsze nagrody. Trafiali tam nawet śpiewacy z operową przeszłością, na przykład bas Adam Zwierz występował w dwudziestu (!) edycjach festiwalu. Inna sprawa, że nigdy nie dostał głównej nagrody, musiał zadowolić się Srebrnym i Brązowym Pierścieniem.

„[...] Wojskowym udawało się również prezentować na kołobrzesckiej estradzie autentyczne artystyczne dokonania, talenty i sławy - opisywał Cezary Prasek. - Do takich trzeba by pewnie zaliczyć pojawienie się tam zespołu Dwa Plus Jeden z piosenką Czerwone słoneczko, oratorium Katarzyny Gärtner i Ernesta Brylla Zagrajcie nam srebrne dzwony z

udziałem Maryli Rodowicz i śpiewającego (!) Daniela Olbrychskiego, stanowiących wówczas parę. Maryla Rodowicz występowała zresztą w Kołobrzegu niejednokrotnie, udało się jej nawet wylansować tam zgrabny przebój Powołanie, zaczynający się pamiętnymi słowami: »Gdy piosenka szła do wojska, to śpiewała cała Polska«. I rzeczywiście śpiewała! Śpiewała również z Trubadurami (Przyjedź mamie na przysięgę), z Anną Jantar (Nie żałujcie serca dziewczyny), z popularnym aktorem Józefem Nowakiem (Takiemu to dobrze)” 14.

Żołnierskie piosenki śpiewali również: Bernard Ładysz, Anna German, Halina Frąckowiak, Sława Przybylska, Halina Kunicka, grupy: Breakout, Skaldowie i Czerwono-Czarni. Od występów w Kołobrzegu zaczęły się również kariery Małgorzaty Ostrowskiej i Krystyny Giżowskiej. Piosenki komponowali twórcy tej miary co Jerzy Wasowski czy Andrzej Kurylewicz, a stałym konferansjerem był Stanisław Mikulski.

Ludowe Wojsko Polskie nie żałowało środków, aby umilić pobyt wykonawcom i dziennikarzom. Nawet w dobie braków rynkowych zaopatrzenie było znakomite („węgorze, szynka, przednie wędliny, wymyślne dania”), organizowano również wojskowe pikniki oraz wizyty w okolicznych stadninach. Do wyjątkowych atrakcji należały kilkugodzinne rejsy promem ze Świnoujścia, których celem był hazard w okrętowym kasynie i zakupy w sklepie wolnocłowym. I to bez konieczności posiadania paszportu! Nic zatem dziwnego, że niektórzy dziennikarze lubili przyjeżdżać do Kołobrzegu, zgadzając się na dyktat małżonki pułkownika Czuby.

„Kto choć raz był świadkiem publicznej, najczęściej burzliwej wymiany zdań między małżonkami, nie mógł mieć wątpliwości. Robiący wrażenie dobrodusznego pułkownik tulił uszy po sobie i było tak, jak chciała jego żona. A nie chodziło przecież o sprawy drobne, błahe, o zaśpiewanie jednej piosenki. Pani pułkownikowej organizowano prestiżowe, transmitowane w telewizji występy, recitale z towarzyszeniem wojskowych chórów, główne role w widowiskach słowno-muzycznych. Lepiej było się jej nie sprzeciwiać, z czego zdawali sobie równie sprawę pozostali uczestnicy koncertów festiwalowych” 15.

Barbara Książkiewicz, od kiedy wyszła za mąż za pułkownika, nie mogła startować w festiwalowym konkursie, jednak i tak była największą gwiazdą imprezy. Do niej należało również wykonanie piosenki zamykającej festiwal, a w 1985 roku otrzymała Złoty Pierścień za całokształt twórczości.

Udział w festiwalu w Kołobrzegu przynosił wymierne korzyści ekonomiczne, a w Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze należał już bardziej do sfery polityki. Impreza eksponująca dokonania muzyczne „wielkiego brata” musiała funkcjonować, a największe gwiazdy polskiej piosenki obowiązkowo pojawiać się na festiwalu. Nie brakowało wprawdzie „kontestatorów” śpiewających Okudżawę, Wysockiego czy Biczewską, jednak większość „odrabiała pańszczyznę”. Jurorem bywał nawet Czesław Niemen, a konferansjerkę prowadził tragicznie zmarły w katastrofie smoleńskiej Janusz Zakrzewski. Wśród wykonawców nie zabrakło Anny German, Krzysztofa Krawczyka, Sławy Przybylskiej, Bajmu, Bandy i Wandy oraz Czerwonych Gitar. Lojalność popłacała, a dzięki niej można było na przykład otrzymać paszport na doskonale płatne tournée w klubach polonijnych USA.

„[...] Festiwal też robiły osoby o sporym doświadczeniu - uważał Cezary Prasek. - Wystarczy wspomnieć, że po Stefanie Rachoniu jako dyrygent pojawił się Henryk Debich, z kolei Jerzy Milian - wcześniej jazzman, zdolny wibrafonista, który - angażując się politycznie - potrafił jednocześnie dokonać czegoś pozytywnego. [...] Po Milianie solistom amatorom akompaniowała z kolei orkiestra prowadzona przez Czesława Majewskiego, pamiętnego pana Czesia z telewizyjnego kabareciku Olgi Lipińskiej. Skoro o kabarecie mowa, to reżyserem festiwalowych koncertów w Zielonej Górze bywał również Wowo Bielicki, niegdyś współtwórca legendarnego gdańskiego Bim-Bomu” 16.

Wbrew obiegowej opinii zarówno imprezę w Kołobrzegu, jak i w Zielonej Górze oglądali praktycznie wszyscy posiadacze telewizorów. Powód był prosty, w polskiej telewizji do połowy lat siedemdziesiątych działał tylko jeden kanał, a w większości domów telewizor był włączony non stop. Dlatego festiwale cieszyły się dużą oglądalnością.

Na zielonogórskim festiwalu najbardziej wygrały miejscowe władze. Poza imponującym rozbudowaniem amfiteatru miasto otrzymywało znaczne środki na odnowienie zabytków i rozbudowę infrastruktury. Zieloną Górę odwiedzali przecież ludzie kultury zza wschodniej granicy, częstymi gośćmi były także rodziny oficerów Armii Czerwonej stacjonującej w Legnicy. Podobno goście ci zachowywali się nad wyraz poprawnie.

Laureaci festiwalu mieli zapewnione koncerty na scenach sowieckich, co bywało dość opłacalnym przedsięwzięciem. I wbrew temu, co opowiadała niedawno Helena Vondráčková,

nikt nie szlochał z powodu wyjazdu do ZSRR ani nie zabierano ze sobą konserw. Warunki faktycznie bywały czasami prymitywne, zdarzało się również, że zarobione pieniądze trzeba było wydać na miejscu. Wiadomo jednak, że Polacy nie w takich sytuacjach przywykli dawać sobie radę, kwitły zatem handel i przemysł, radzieckie złoto znajdowało licznych nabywców w Polsce, a w ZSRR zachodnia odzież szmuglowana w drugą stronę.

Absurdy polityki ekonomicznej krajów socjalistycznych nieraz bezpośrednio dotyczyły artystów. Agnieszka Osiecka otrzymała kiedyś hojne honorarium za wystawioną w Bułgarii sztukę Apetyt na czereśnie. Problem był tylko jeden, pieniędzy nie można było wywieźć do kraju, trzeba je było wydać na miejscu. Osiecka wraz z przyjaciółmi zrobili wiele, aby nad Morzem Czarnym przepuścić całą sumę.

## BASEN LEGII

Publiczność zasiadająca w amfiteatrach podczas festiwali w większości składała się z urlopowiczów korzystających z uspołecznionych form wypoczynku. Zgodnie bowiem z założeniami „przodującego ustroju” klasa robotnicza miała nie tylko wydajnie pracować, ale również odpoczywać w odpowiednich warunkach. Miał to zapewnić Fundusz Wczasów Pracowniczych, który powstał wkrótce po wojnie, w 1949 roku; podlegały mu ośrodki wypoczynkowe na terenie całego kraju.

Z czasem znaczenie FWP zmalało i jego funkcję przejęły ośrodki branżowe. Idea pozostała jednak ta sama, a organizację zbiorowego wypoczynku ułatwiała powojenna zmiana granic. Na obszarze PRL znalazły się bowiem atrakcyjne tereny rekreacyjne Pomorza, Mazur i Dolnego Śląska z nieźle rozwiniętą bazą turystyczną.

Szeroki dostęp klasy robotniczej do wypoczynku oznaczał dostosowanie jego form do poziomu odbiorców, kurorty zabudowano niemal identycznymi domami wczasowymi (ze wspólnymi łazienkami) oraz koloniami domków campingowych bez kanalizacji. Turnusy przebiegały w niemal identycznej formie, a najważniejszą osobą był człowiek odpowiedzialny za rozrywkę odpoczywających. Osobnik ten nazywany powszechnie „kaowcem” (pracownik kulturalno-oświatowy) reprezentował z reguły „typ przedwojennego birbanta i bawidamka” usiłującego „cywilizować robotniczo-chłopską klientelę FWP”. Nie było to zresztą łatwe zadanie.

„Złego słowa nie można powiedzieć na temat pań instruktorek i panów instruktorów - pisał dziennikarz Zbigniew Adrjański - którzy dwoili się i troili, aby swoim podopiecznym wczasy jakoś umilić, organizując wieczorki zapoznawcze i wieczorki pożegnalne, koncerty estradowe, wieczorki autorskie” 17.

Najczęściej nie była to jednak wyrafinowana rozrywka, ale uczestnicy zorganizowanych form wypoczynku nie oczekiwali zbyt ambitnego repertuaru. Ilustracją muzyczną wakacji z FWP pozostały znakomite piosenki: Jesteśmy na wczasach Wojciecha Młynarskiego i Wakacje z blondynką Macieja Kossowskiego. W tyle nie pozostali filmowcy, Jerzy Sztwiertnia nakręcił film Wesołych Świąt, w krzywym zwierciadle ukazując wczasowe romanse. Do dzisiaj klasą samą dla siebie pozostaje film Rejs Marka Piwowskiego, przedstawiający alternatywny rodzaj uspołecznionego wypoczynku (FWP organizowała również rejsy po Wiśle).

Ludzie z ambicjami, a głównie studenci, nie korzystali jednak z usług FWP. W tym gronie niezwykle popularne stały się Bieszczady (Zielone wzgórza nad Soliną), Mazury i Pojezierze Suwalskie (Augustowskie noce). Artyści ze Studenckiego Teatru Satyryków upodobali sobie Krzyże nad Jeziorem Nidzkim, a tamtejsze prymitywne warunki bytowe były dla nich dodatkową atrakcją. Brak prądu i bieżącej wody rekompensował kontakt z dziką przyrodą oraz niemal całkowita izolacja od zdobyczy cywilizacji. W pobliżu, w leśniczówce Pranie spędził ostatnie lata życia wyklęty w Warszawie Konstanty Ildefons Gałczyński.

Środowisko literatów i aktorów natomiast co roku odwiedzało Chałupy na Półwyspie Helskim. Bywali tam Dygatonie, Alina Janowska, Zbigniew Zapasiewicz, Wiesław Gołas, Jerzy Kamas, Aleksandra Ślaska. Kalina Jędrusik szokowała seksapilem, a Janusz Głowacki stanął przed kolegium orzekającym w Pucku, przyłapano go bowiem na grze w szachy w stroju adamowym.

„Była to starannie przygotowana akcja - wspominał. - Patrol wyczołgał się zza wydm i ruszył w naszą stronę, maskując się gałęziami jak chyba Las Birnamski w Makbecie. A wtedy czasy były takie, że opalać się u nas mogli nago tylko i wyłącznie Niemcy z NRD” 18.

Na posiedzenie kolegium zjechała cała bracia artystyczna z Chałup, pojawiła się



również kronika filmowa z Markiem Piwowskim. Głowacki i drugi „przestępca” Andrzej Markowski ze „Szpilek” zostali skazani na najwyższe możliwe grzywny, a przy okazji Głowackiemu odebrano nagrodę warszawskiej „Kultury”, co było znacznie dotkliwszą karą.

W czasach PRL na znaczeniu straciło natomiast Zakopane. Nie aspirowało już do roli „kulturalnej stolicy Polski”, z jego pejzażu zniknęli artyści stanowiący o odmienności kurortu. Nie żyli już Szymanowski, Witkacy i Wojciech Kossak, na emigracji pozostali August Zamoyski i Kazimierz Wierzyński. Zdegradowane do roli tłumnie obleganego miejsca wypoczynku klasy robotniczej powoli traciło swoją wyjątkowość.

Urlop jednak z reguły trwa znacznie krócej niż lato, zatem w stolicy również pojawiło się miejsce, gdzie wypoczywali ludzie o znanych nazwiskach. Był nim kompleks basenów Legii, w 1956 roku oddany do użytku po remoncie. Obiekt szybko uzyskał status kultowego.

„Basen »Legii« otwierano 1 maja, zaraz po pochodzie - wspominał Jerzy Gruza. - Uroczystość zaczynała się skokiem z wieży basenu »Grubego Kazia«, basenowego, który ważył sto pięćdziesiąt kilo, a może więcej. Woda występowała wtedy z brzegów i orkiestra siedząca na szczycie wieży zaczynała grać dixieland. Kazio był typem nierozzerwalnie związanym z życiem basenu na Łazienkowskiej. Można go też było oglądać w wielu polskich filmach fabularnych tego okresu. Ze względu na olbrzymi brzuch i wagę był uosobieniem krwio pijcy, kapitalisty, imperialisty i wroga ludu.

W rzeczywistości był przemiłym, sympatycznym i jowialnym facetem, oddanym porządkowi i sprawnemu funkcjonowaniu basenu od rana do nocy. Nie wiadomo było, jak i z czego żyje po sezonie” 19.

Basen Legii przyciągał ludzi z najrozmaitszych środowisk. Literatów, pisarzy, prywatniarzy, studentów. Nie brakowało pań lekkich obyczajów i zwykłych prowincjuszy poszukujących wrażeń. To tutaj Wojciech Frykowski rzucał wyzwanie trenującym zawodnikom klubu, a Roman Polański wypatrzył Jolantę Umecką, którą obsadził w Nożu w wodzie.

Na Legii wypadało bywać, najlepiej w odpowiednim towarzystwie. Obowiązywała tam bowiem specyficzna hierarchia.

„W najtajniejszym zakątku »trawy« - opisywała Agnieszka Osiecka - w cieniu pod siatką (to znaczy - pod parkanem) rozłożyły się najważniejsze dziewczyny całego zgromadzenia: półboginki, piękności i samotnice. Były wśród nich te, które »chcą być same«, te, które »chcą przeczytać ciekawą książkę«, a także te, które wiedzą, że i tak będą poderwane, chociaż skryły się w cieniu. [...] Skład klasowy tych dziewczyn bywał (choć niekoniecznie) nieco wyższy od dziewczyn spod szatni. Trafiały się rzeźbiarki z dobrych rodzin, bez żadnego makijażu, otulone w starą sukmanę stangreta, malarki uszminkowane od rana na Kleopatę [...] i studentki szkoły teatralnej, śliczne i zdrowe, prosto z malutkiego miasteczka” 20.

Najważniejszą grupą stałych bywalców basenu byli artyści i ludzie interesu. Mieszali się tam ludzie z różnych środowisk: zamożnym badylarzom czy producentom krawatów towarzyszyli literaci i filmowcy. Byli to osobnicy dysponujący z reguły znaczną gotówką, co przekładało się na ich sukcesy towarzyskie. Czasami zresztą nie wiadomo było, jaką profesję uprawiają. Tak jak legendarny bywalec basenu o pseudonimie „Wuj”.

„Krażyły o nim plotki - opowiadała Osiecka - od których włosy jeżyły się na głowie: że handluje narkotykami, że jest madonną siedmiu wywiadów (wuj! madonna!), że oszukuje w pokera, że jest zwyczajnym gangsterem i tak dalej, i tak dalej. Dla naszej jednak opowiastki jest ważne tylko to, że »Wuj« był człowiekiem przepotwornie majątnym. Poruszał się po Warszawie wściekle czerwonym mercedesem i robił przy tym tyle hałasu, co Benio Krzyk przy przejeździe przez Odessę” 21.

Inną charakterystyczną postacią Legii był aktor Adam (Duduś) Pawlikowski nazywany „epizodystą doskonałym”. Był żołnierz AK, po powstaniu warszawskim trafił do Włoch i tam rozpoczął studia medyczne. Przerwał je, aby powrócić do kraju, gdzie przez pewien czas studiował muzykologię. Uznanie przyniosły mu niewielkie role w filmach szkoły polskiej, a szczególnie u Andrzeja Wajdy. Do historii polskiego kina przeszła scena z Popiołu i diamentu, podczas której razem ze Zbyszkim Cybulskim palili alkohol w kieliszkach jak znicze za poległych kolegów.

„Zawsze miał coś ciekawego do powiedzenia - wspominał go Jerzy Gruza - czym mógł zainteresować kobietę: teorie powstania warszawskiego i jego konieczność, reguła

zakonu jezuitów, anegdota z baru w »Kameralnej«, podwójne znaczenie jakiejś litery w języku japońskim, którego się właśnie uczył. Siedział trochę z daleka od nas, bajerantów banalnych, i unosił się w rejonach, które zaskakiwały opalające się dziewczyny, że można je traktować tak poważnie” 22.

Obaj bohaterowie Legii, Pawlikowski i „Wuj”, zakończyli życie tragicznie, popełnili samobójstwo w identyczny sposób, wyskakując przez okno. Pawlikowski od lat zmagał się z chorobą psychiczną, „Wuj” natomiast stracił cały majątek i nie chciał już dłużej żyć. Nie żyje już Agnieszka Osiecka, ale dobrym zdrowiem cieszą się inni bywalcy Legii i uczestnicy tamtejszego życia towarzyskiego: Jerzy Gruza i Tadeusz Pluciński. Ten drugi dzielnie kontynuował karierę uwodziciela zapoczątkowaną przy Łazienkowskiej. Uczciwie bowiem zapracował na miano największego playboya w środowisku aktorskim.

#### OD CZYTELNIKA DO SPATIF-U

Warszawskie knajpy epoki PRL to temat zasługujący na oddzielne opracowanie. O większości wprawdzie nie warto nawet wspominać, jednak kilkanaście z nich na stałe zapisało się w dziejach polskiej kultury. Bywali w nich bowiem najwybitniejsi artyści, a ich nazwiska stały się symbolem stołecznych lokali.

Jak powszechnie wiadomo, Polacy nie potrafią żyć bez „chodzenia na kawę”, a zwyczaj ten nie ma wiele wspólnego z piciem tego napoju. Zwykle stanowi pretekst do spotkania towarzyskiego, wymiany poglądów czy flirtu towarzyskiego. Tak więc wkrótce po zajęciu miasta przez Sowieców powróciły dawne obyczaje. Były to czasy parterowej Marszałkowskiej, a w ruinach domów powstawały sklepy, lokale usługowe oraz barki kawowe tłumnie odwiedzane przez powracających do stolicy mieszkańców.

Władza ludowa nie zamierzała jednak tolerować burżuazyjnego obyczaju i w ramach „bitwy o handel” upaństwowiła większość lokali. Państwowe placówki oferowały usługi na znacznie niższym poziomie, nieskażone jednak „zachodnią dekadencją”.

Pomimo to w pejzażu gastronomicznym Warszawy przetrwało kilka miejsc, których istnienie można uznać za kontynuację tradycji Małej Ziemiańskiej. Ich legendę tworzyli stali bywalcy kultywujący tradycje cyklicznych spotkań oraz intelektualnej wymiany poglądów.

Najważniejszym tego rodzaju lokalem (zasługującym na oddzielne opracowanie) była kawiarnia działająca w podziemiach wydawnictwa Czytelnik przy ulicy Wiejskiej. Zgodnie z intencją założycieli miało to być miejsce, gdzie twórcy mogliby swobodnie porozmawiać, wypić kawę i ewentualnie zjeść śniadanie. Chyba nikt nie przypuszczał, że w ten sposób powstanie legenda.

Stworzył ją mieszkający w pobliżu Tadeusz Konwicki. Początkowo pojawiał się tam w towarzystwie Leopolda Tyrmanda, z czasem zaczął codziennie okupować lokal. Do jego stolika przysiadła się Irena Szymańska i Antoni Słonimski, stałymi partnerami kawiarnianych debat byli Stanisław Dygat, Jerzy Andrzejewski i Leszek Kołakowski. Niebawem grono bywalców rozszerzyło się o ludzi filmu (Jerzy Kawalerowicz i Gustaw Holoubek) i stolik Konwickiego stał się ważnym punktem na artystycznej mapie stolicy. Dominowały dyskusje literackie i filmowe, jednak w pobliżu „na wszelki wypadek” przesiadywali funkcjonariusze UB. Konwicki zawsze podkreślał, że dla niego jest „to impreza czysto rekreacyjna”, co chyba zraziło bardziej bojowo nastawionego Słonimskiego. Przeniósł się więc do maleńkiej kawiarni PIW-u na ulicę Foksał, gdzie znalazł środowisko bardziej zaangażowane politycznie.

Pan Antoni nazywał ją „Cafe Snob” i miał dużo racji. Lokal miał zaledwie kilka (!) stolików i od razu stał się miejscem elitarnym. Nielatwo było w ogóle do niego wejść, a dotarcie do stolika Słonimskiego graniczyło z prawdziwym cudem. To właśnie tutaj pan Antoni i Jan Józef Lipski napisali słynny „List 34” (wiele się nie natrudzili, pismo liczyło zaledwie dwa zdania), lokal odwiedzili podczas swojej warszawskiej wizyty Jean-Paul Sartre i Simon de Beauvoir.

Młodsze pokolenie wołało jednak lokale z wyszynkiem, gdzie przy wódce prowadzono „trudne Polaków rozmowy”. Przez kilka lat jedynym takim miejscem w Warszawie była unieśmiertelniona przez Hłaskę restauracja Kameralna na Foksał. A właściwie lokal składający się z baru, restauracji i klubu nocnego. Szybko uzyskał on dwuznaczną sławę, wódka lała się tam strumieniami, a bójki były codziennym widokiem.

„Była to namiastka świata wielkiego, który gdzieś podobno istniał, ale też nie na pewno - tłumaczył poeta Roman Śliwonik. - Ale jeśli nawet był, przelewał się światłami, samochodami, dobrobytem, to dla nas niewiele znaczył, był odsuwany w głąb świadomości,

bo fakt jego istnienia głęboko nas upokarzał” 23.

Wprawdzie większość gości pojawiała się wyłącznie w celu konsumpcji alkoholu, to miejscowa kuchnia uchodziła za doskonałą. Co nie przeszkadzało w tym, że goście głównie zamawiali „koniak i owoce południowe” (pół litra i ogórki). W oparach tytoniowego dymu toczono niekończące się rozmowy o życiu, polityce i literaturze. Stali bywalcy (wśród nich Hłasko) przechowywali nawet u szatniarzy marynarki i krawaty, bo bez tych części ubioru wstęp był zakazany. Do lokalu trafiali również zagraniczni goście, oczywiście o „postępowych” poglądach.

„Zjawił się kelner z otwartą już na zapleczu butelką wina - opisywał wizytę francuskich trockistów Jerzy Gruza - z korkiem wydlubanym widelcem, bo korkociąg, nie używany od lat, gdzieś się zapodział. Podeszedł do stolika i zaczął rozlewać czerwony płyn pod nazwą »wino«. [...] Jakaś pijana para w szalonym tańcu wpadła na stolik i przewróciła wszystko do góry nogami, rozbryzgując »wino marki wino« na Francuzów. A macie, żabojady! Wredni trockiści, zachciało się wam wina, w naszym budującym podstawy socjalizmu kraju!” 21.

Z końcem epoki stalinizmu Kameralna zaczęła podupadać, pojawiły się wówczas nowe lokale, które odbierały jej klientów. Na Krakowskim Przedmieściu specjalnym uznaniem sfer artystycznych cieszyła się restauracja hotelu Bristol.

„Selekcja gości była bezwzględna - opisywał Janusz Głowacki restaurację hotelu Bristol - żule ani klasa robotnicza nie mieli wstępu, zresztą było dla nich za drogo. Tu kłębili się utracjusze, niedobitki przedwojennych sfer wyższych, aferzyści, artyści, grała orkiestra, był parkiet, tańczono, a Zbyszek Cybulski rozpaczał, że go Wajda przestał brać do filmów. - Tu uwodził sławnych sportowców znakomity pisarz Jerzy Andrzejewski, tańczył przepijający pieniądze niewiadomego pochodzenia sławny rotmistrz Rzeszotarski, a za nim jak cień sunął Duduś Pawlikowski - eseista i aktor, nazywany najpiękniejszym rekwizytem polskiego filmu. I oczywiście tajniacy, prywaciarze, badylarze, synowie kuśnierza Skórki, szewców Śliwki i Filantropa, pierwsza liga prostytutek, czyli Iza Drabina, Paszcza, Paskuda, Patelnia, Pstynka, Czar Starówki” 25.

W takim miejscu nie mogło zabraknąć również tajniaków złorzeczających na fatalną

jakość aparatury podsłuchowej.

Największą jednak legendą życia towarzyskiego stolicy okazał się położony w Alejach Ujazdowskich lokal SPATiF-u (Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu). Tam faktycznie działały się czasami rzeczy, o których się filozofom nie śniło.

„»Spatif« był knajpą o tyle wyjątkową, że działającą na zasadzie klubu - wyjaśniał Janusz Atlas. - Pojawiający się tam ludzie nie byli przypadkowymi przechodniami z ulicy, najpiękniejszej zresztą w całym mieście. Do »Spatifu« nie przychodziło się też nigdy tylko w celach gastronomicznych, lecz po to, żeby być, zaistnieć, spotkać się, porozmawiać, ewentualnie upić, ale to już tylko wyłącznie przy okazji” 26.

Było to naturalne środowisko literatów, aktorów, reżyserów, dziennikarzy i sportowców. To w tym miejscu kulomiot Władysław Komar „dolewał do kury w rosole ćwiartkę wódki i ten koktajl duszkiem wypijał”, a Piwowski, Maklakiewicz i Głowacki wymyślali dialogi do kultowego Rejsu. To w SPATiF-ie po trzydziestu latach spotkali się Loda Halama i Słonimski, a Józef Prutkowski „rozprowadzał” po lokalu striptizerki z prowincji szukające w stolicy męża z mieszkaniem.

„W SPATiF-ie dyskutowało się Heideggera i aktualny kurs dolara - przyznawał Głowacki - szanse odzyskania niepodległości i napicia nierozcieńczonego jarzębiaku, zrobienia dobrego filmu i okradzenia Szweda przy barze” 27.

Przez jakiś czas w soboty grał trzyosobowy zespół (pianino, bandžo i marakasy) i zdarzało się, że goście tańczyli solo. Podobno czasami panowała atmosfera jak na Titanicu z elementami „balu u senatora” i chocholich płasów.

„Tańczyli wszyscy, aktualny kierownik wydziału kultury KC Aleksander Syczewski i polujący na każdą możliwość wywołania bójki młodzi lirycy z pisma »Współczesność«. Andrzej Brycht, przed ucieczką na Zachód ulubieniec władzy, i autorzy ostro cenzurowani. Tańczył marcowy reżyser Bohdan Poręba i pobity w marcu Stefan Kisielewski. Wschodzące gwiazdy reżyserii Janusz Kondratiuk i Janusz Zaorski oraz wszystkie kelnerki. [...] A obok, wywracając się na stoliki, w zawiązanej na głowie chustce wywijiał swoją »polkę-treblinkę« Janek Himilbach” 28.

Lokal zamykano późno w nocy, a taksówki bywały w tych czasach luksusem trudno dostępnym. Życie nie znosi jednak próżni, goście nie miewali więc specjalnych problemów z przemieszczeniem się do innego lokalu lub do domu. Epoka PRL obfitowała bowiem w niekonwencjonalne rozwiązania.

„[...] Pod knajpą ustawiał się sznur polewaczek. Kurs do otwartego dłużej Ścieku na Trębackiej kosztował sto złotych, a z polewaniem sto pięćdziesiąt. Kierowca zawsze lojalnie pytał: »Lać?«. I jeżeli człowiek chciał się poczuć albo zaimponować kobiecie, nie licząc się z kosztami, mówił »lać«, 29.

Polewaczki były z reguły domeną gości restauracyjnych, pozostali warszawiacy radzili sobie najczęściej inaczej. Kiedyś Wojciech Mann podczas Jazz Jamboree opiekował się Ornette Colemanem i również bez problemu załatwił saksofoniście niezwykle nocny transport do klubu Stodoła. Ubrany w futro muzyk był szczęśliwy, nigdy bowiem w życiu nie spotkało go coś podobnego.

„Zrobiłem więc coś, co w nocnej Warszawie nie było niczym nadzwyczajnym - wspominał Mann po latach. - Rozpaczliwie zatrzymałem jadący do zajezdni pusty autobus komunikacji miejskiej. Kierowca zaciekawiony albo rozpaczą moich gestów, albo ciemnoskórym futrzakiem, zatrzymał się potulnie obok nas. Za umówioną naprędce sumę »zrzucił tablice« i po kawaleryjsku dowiózł nas do Stodoły. Zachwyty wirtuoza saksofonu, który taczał się na zakrętach po pustym autobusie, wart był każdych pieniędzy” 30.

## Rozdział II.

Agnieszka Osiecka

SASKA KĘPA

Zapewne największy wpływ na osobowość dorastającej Agnieszki Osieckiej miał jej ojciec, Wiktor. Muzyk, pianista, mocna indywidualność, a jednocześnie człowiek nie zawsze dający sobie radę z własnym życiem.

Wiktor Osiecki urodził się w 1905 roku w Belgradzie, jego matka była Serbką, a babka Wołoszką (Rumunką). Wcześniej osierocony, przez pewien czas mieszkał w Timișoarze (Siedmiogród), a następnie przeniósł się do Lwowa. Zarabiał na życie grą w restauracji słynnego hotelu George, a po przeprowadzce do Warszawy kontynuował działalność muzyczną w kawiarni Sztuka i Moda. Poznał tam Marię Sztechman, kierowniczkę sali kawiarni Ziemiańska, i niebawem poprosił ją o rękę. Jak przystało na artystę, oświadczyły miały niekonwencjonalny charakter.

„Był typem odpowiednim dla tutejszej cyganerii - wspominała Agnieszka - i tak zresztą żył: nieodpowiedzialnie, szaleńczo, mama natomiast była cichą mieszczką. Ojciec chciał odpocząć od swoich towarzyszy z cyganerii u boku spokojnej dziewczyny.

Umówił się z moją mamą właśnie tu, na Saskiej Kępie, i powiedział: »Marysiu, albo kupię sobie psa, albo się ożenię«. Mama w lot zorientowała się, że chodzi o nią, i zgodziła się. Niedługo potem urodziłam się ja”<sup>1</sup>.

Ojcu Agnieszki zdarzały się czasami zachowania całkowicie oderwane od rzeczywistości. Gdy po zakończeniu wojny rodzina wracała do stolicy, pan Wiktor po wyjściu



z pociągu udał się na poszukiwanie dorożki.

„Zabrał ze sobą drobną sumkę - opowiadał Wojciech Solarz. - Agnieszka z matką usiadły na chodniku. Czekały na niego jak na zbawienie. Bardzo długo go nie było, aż w końcu wrócił, dzierżąc w dłoni ogromną lampę z pięknym abażurem.

- Zobaczcie, jaką piękną lampę udało mi się kupić - powiedział.

- No dobrze, ale załatwiłeś coś?

- Co miałem załatwić? - pan Wiktor niezmiernie się zdziwił.

- Jakiś transport!

- A, transport... Zobaczcie, jaka piękna lampa!”<sup>2</sup>.

Osieccy zamieszkali na Saskiej Kępie, która na całe życie stała się dla Agnieszki prywatnym azylem. Tu chodziła do szkoły, tutaj dorastała, na Saską Kępę zawsze wracała. Wspominała o niej w tekstach swoich piosenek; to było miejsce, z którym wiązały się jej najpiękniejsze wspomnienia.

Pan Wiktor uwielbiał córkę, uczył ją obcowania ze sztuką, przekazywał swoje zainteresowania. Nakłaniał do pływania, gry w tenisa, pragnął nawet, aby zajęła się szybownictwem. Córka miała stać się produktem jego pasji i ciekawości życia.

Inną osobowością była matka Agnieszki. Pani Maria bała się życia i starała się osłonić córkę przed jego okropnościami.

„Chroniła mnie, jak umiała - wspominała Agnieszka. - Taiła przykre wiadomości i telefony, podsłuchiwała złe rozmowy i czytała moje listy. Kochałam mamę i nienawidziłam jej z całego serca. Ona wyczuwała to i przeczuwała całą swoją upartą, półinteligentką wyobraźnię”<sup>3</sup>.

Maria Osiecka miała raczej chłodne usposobienie, Agnieszka nie czuła jej miłości,

matka „nigdy nie mówiła jej nic miłego”. Nie wspominała, że „była cudna jako dzidzius, że miała orzechowe oczka, że mówiła gu-gu”, co w przyszłości musiało odbić się na życiu uczuciowym pisarki. Podobnie jak rozpad małżeństwa rodziców, ukochany ojciec postanowił bowiem odejść z inną kobietą.

Agnieszka podsłuchiwała rozmowę telefoniczną i w ten sposób dowiedziała się o jego niewierności.

„[...] Był bardzo zdenerwowany - wspominał Janusz Gazda. - Jego głos był dziwnie odmieniony, takiego go Agnieszka nigdy nie słyszała. Prosił, błagał, mówił z jakimś dziwnym podnieceniem, co córka odbierała jako coś nienaturalnego i zwierzęcego. Dla Agnieszki był to potworny szok, nie tylko dlatego, że w tym momencie pojawiła się skaza na nieskalanych dotychczas wyobrażeniach o rodzicach, ale także ze względu na ten tak bardzo odmieniony ton ojca i na sposób, w jaki ojciec, jej zdaniem, poniżał się przed kimś nieznanym. Pamiętam, z jaką zazdrością, ale także ze wzruszeniem obserwowała później moich rodziców, kiedy pocałunkiem żegnali się lub witali codziennie, gdy ojciec szedł do pracy lub z niej wracał”<sup>4</sup>.

Osieccy rozwiedli się i Wiktor poślubił piosenkarkę, Józefinę Pellegrini. Jego żony ułożyły sobie względnie poprawne stosunki, ale Agnieszka nigdy nie wybaczyła ojcu porzucenia matki.

## W SZEREGACH ZMP

Artystyczna dusza nie przeszkadzała jednak Osieckiemu cenić solidnego wykształcenia. Jego marzeniem były studia ukochanej córki, najlepiej na więcej niż jednym kierunku. Dlatego rozpierała go duma, gdy w 1952 roku Agnieszka rozpoczęła naukę na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Kierunek był adekwatny do jej zainteresowań, ale czasy nie sprzyjały rozwojowi indywidualności. Trwała czarna noc stalinizmu, a wydział uchodził za najbardziej upolityczniony na uczelni.

„[...] Wyniosłam stamtąd - wspominała Osiecka - zdecydowanie złe i jakieś tępe, mulące wspomnienie. Poziom studiów był marny, a stosunki tam panujące potworne. Profesura bała się młodzieży i vice versa. Wśród studentów kwitło donosicielstwo. Może mam »skrzywioną optykę«, ale nie znoszę wszystkich kolegów i koleżanek z mojego roku, od

A do Z (oprócz Hani Żurek, oczywiście, ale ona jest na Ż)”<sup>5</sup>.

Dziewczyna z „dobrego domu”, „żywiółowa, dowcipna i ironiczna” nie pasowała do tego środowiska. Z „ostentacją obnosiła swoją inteligencję i pozorną beztroskę”, a przecież ceniono studentki „ideowe, bojowe i pryncypialne”. Musiało zatem dojść do konfliktu, co dla Osieckiej omal nie zakończyło się usunięciem z uczelni.

Przyczyna była prozaiczna. Dwóch wykładowców nie wróciło na wydział przed rozpoczęciem roku akademickiego, a kilka osób nie miało potwierdzenia obecności na ich wykładach. Janusz Gazda (kolega Agnieszki z roku i jej ówczesny chłopak) podrobił w indeksach podpisy wykładowców, fałszerstwo wykryto i sprawą zajęła się komisja dyscyplinarna. Winnych ukarano upomnieniami, zdecydowanie gorzej natomiast potoczyły się sprawy na zebraniu ZMP. Gazdę poddano surowej krytyce, okazało się jednak, że prawdziwym problemem dla działaczy jest Agnieszka Osiecka.

„Czegoż jej nie zaczęto wypominać! - wspominał Gazda po latach. - I luksusowe mieszkanie na Saskiej Kępie, choć były to zaledwie dwa pokoje z kuchnią na trzy osoby. I gosposię zatrudnioną na przychodne. I biały telefon. I nazbyt swobodny, jak uznano, sposób ubierania się. A przede wszystkim - jej inteligencja”<sup>6</sup>.

Pojawiły się również zarzuty cięższego kalibru, podobno widziano Agnieszkę śmiejącą się po śmierci Stalina, co było wyjątkową zbrodnią. Gazda otrzymał naganę, a Osiecką usunięto z ZMP. Gorliwi działacze zażądali jednocześnie skreślenia jej z listy studentów, ale na szczęście władze uczelni ten postulat zignorowały. Osiecka odwołała się zresztą do Sądu Centralnego ZMP, który na nowo przyjął ją w szeregi organizacji.

Jaśniejszą stroną studenckiego życia okazały się natomiast praktyki zawodowe w „Głosie Wybrzeża”. Agnieszka jechała wprawdzie do Gdańska z poważnymi obawami, ale przyjęto ją tam nad wyraz ciepło. W redakcji pracowali bowiem ludzie inteligentni, z poczuciem humoru, nieobojętni na urok dziewczyny marzącej o wywiadzie z Neptunem.

„Za biurkiem siedział pucołowaty pan - wspominała Osiecka - w grubych okularach i sraczkowatym garniturku. To był Sławek Sierecki. Ten człowiek sam nie wie, ile dla mnie zrobił. I on, i Kajtek Marcinkowski, i siwiutki Święcicki, wszyscy oni wiedzieli, pod jakimi

zarzutami wylewali mnie z ZMP i jak bardzo przyłgnęła do mnie opinia »wroga ludu«. W tych czasach skrajnego zidiocenia i inkwizycji normalne byłoby, gdyby zachowali w stosunku do mnie co najmniej ostrożność. Tymczasem okazali mi zaufanie. Nie zadali mi ani jednego pytania”7.

Na Wybrzeżu trafiła na właściwe dla siebie środowisko. Pisała „uczciwe, proste reportaże z hoteli robotniczych, z barek, ze stoczni”. Najważniejsze jednak okazało się polecenie dotyczące przygotowania materiału o młodej scenie teatralnej. Zainterесowała się studenckim teatrykiem Bim-Bom kierowanym przez Zbyszka Cybulskiego i Bogumiłą Kobięłę, ludzi utalentowanych, dynamicznych, ciekawych świata.

„Agnieszka całkowicie wtopiła się w ten tygiel wyobraźni - podkreślał Sławomir Sierecki. - Uwiła sobie gniazdko w wynajmowanym pokoiku od dobrej pani Anielki przy ulicy Bieruta 39. Miała bliźniętko do Klubu Artystów przy ulicy Monte Cassino, popularnie zwanej »Monciakiem«, gdzie grano Przy drzwiach zamkniętych Sartre’a - sztukę, której wystawianie teatru profesjonalne miały zakazane. Akcja rozgrywa się przecież w piekle, gdzie piekielników traktuje się jak zwykłych ludzi, a to się nie mieściło w narzucanych wówczas normach”8.

Stałym punktem trójmiejskich wędrówek Agnieszki stał się klub Rudy Kot, gdzie grał na pianinie Edmund Fetting, „mruczając pod nosem delikatne, półswingujące, półmarzące piosenki”. Uwielbiała również gdańskie mieszkanie Dygatów, Kalinę Jędrusik uważała za „śliczną”, pan domu natomiast „onieśmielał ją, ale lubiła z nim rozmawiać”.

„Agnieszka nie nadawała się na dziennikarza - wspominała Bożena Janicka. - Ten zawód wymaga zupełnie innej osobowości. To odpowiedzialna, ponura robota, gdzie jedyną szansą jest to, że człowiek nauczy się dobrze pisać, a w perspektywie ma szansę stać się uznanym dziennikarzem. Agnieszka była kolorowym ptakiem. Była poetką [podkreślenie - B.J.]. Dziennikarz musi wszystko szczegółowo sprawdzić. Poeta - nie. Agnieszka przyszła na te studia chyba tylko dlatego, że dziennikarstwo jest jakąś formą pisania. [...] Ale wtedy jeszcze nie wiedziała, że można taki wpływ osiągnąć inaczej, i że ona to osiągnie w postaci nieporównywalnie, o stokroć wspanialszej - poprzez poezję”9.

W POSZUKIWANIU WŁASNEJ DROGI

Po magisterium z dziennikarstwa Osiecka została przyjęta na wydział reżyserski Państwowej Wyższej szkoły Filmowej w Łodzi. I chociaż nigdy nie zrobiła dyplomu, to studia na tej uczelni odegrały w jej życiu ogromną rolę.

Była to elitarna placówka - kilkusobowe roczniki, znakomici wykładowcy, bieżący dostęp do najwybitniejszych osiągnięć sztuki filmowej. Nikt tam „nie marzył o przywilejach politycznych, ale jak zostać największym reżyserem na świecie”. Osiecką otaczało niezwykle utalentowane pokolenie studentów, na wyższych rocznikach naukę pobierali przyszli giganci polskiego filmu: Roman Polański, Andrzej Kondratiuk, Janusz Majewski i Andrzej Kostenko.

„Agnieszka po pierwszym filmie powiedziała, że to jest nudne i głupie - wspominała Zofia Nasierowska. - Mimo to żadna z nas nie żałowała lat spędzonych w Łodzi. To był fantastyczny okres! Owszem, chciałybyśmy robić dobre filmy, ale skoro nam nie wychodziło, to przestałyśmy się tym zajmować” 10.

Osiecka nigdy nie zapomniała wykładów Jerzego Toeplitza i Jerzego Mierzejewskiego oraz zajęć warsztatowych z Andrzejem Munkiem. Wprawdzie wiedziała już, że film nie jest jej przeznaczeniem, jednak podobnie jak w Trójmieście chłonęła atmosferę i obserwowała. Nie miała zamiaru nauczyć się reżyserii, wyżej stawiała obcowanie ze sztuką, poznawanie „metody artystycznej porządnego opowiadania historii, tak żeby było wiadomo, o co w niej chodzi”.

Porażką zakończyła się jej praca dyplomowa (etiuda o Mazurach). Jak zwykle nie potrafiła dać sobie rady z aktorami.

„Kiedy w siódmym czy dziesiątym dublu zwróciłam aktorowi uwagę, aby z większym przejściem tańczył ze swą ukochaną, on powiedział: »Ale ja czuję do niej wstręt fizyczny«. Elektrycy pokładali się ze śmiechu, aktorka płakała, ja zupełnie nie potrafiłam zapanować nad sytuacją. Nie miałam po prostu pomysłu na ten taniec. Liczyłam, że jak już zaczną tańczyć, to miłość sama będzie buchać” 11.

Uważała, że na planie filmowym „poza reżyserem i główną gwiazdą wszyscy się tam bardzo nudzą”, ale zastanawiała się nad przeniesieniem na ekran jednego ze swoich

opowiadań. Jerzy Morgenstern uznał, że są to teksty „nieprzekładalne na język kina”, co przyjęła ze zrozumieniem. Nie żałowała jednak lat spędzonych w Łodzi, poznała interesujących ludzi, których zawsze miała dobrze wspominać, przydatne okazały się również pewne techniki filmowe. Nauczyła się montażu, który później z powodzeniem wykorzystywała na scenie teatralnej. Ale świat filmu był nie dla niej.

„Człowiek tak szalenie wolny jak Agnieszka - uważał operator i reżyser Mieczysław Jahoda - nie potrafił poddać się rygorom, jakich wymaga realizacja filmu. W absolutnej sprzeczności stały ze sobą reżyseria i charakter Agnieszki. Nie mogła się skrępować tym, że przez trzy miesiące będzie wstawać o siódmej rano, jechać na plan, a wieczorem przygotowywać na następny dzień program, jak prowadzić aktorów, ustawić ujęcia itd.” 12

#### DZIEWCZYNA Z STS-U

Niewiele już osób pamięta, jaką rolę w życiu kulturalnym stolicy (i nie tylko) odgrywał Studencki Teatr Satyryków. Założonej w 1954 roku scenie przyświecała dewiza Andrzeja Jareckiego („Mnie nie jest wszystko jedno”), a specjalnością teatru stały się rewie satyryczne. Przez ponad dwadzieścia lat działalności STS zaprezentował ponad pięćdziesiąt premier (łącznie trzy tysiące przedstawień), a przez jego scenę przewinęła się elita polskich autorów, piosenkarzy i aktorów.

Agnieszka trafiła tam towarzysko, członkowie STS-u „podobali jej się jako grupa interesujących ludzi”. Początkowo chciała „po prostu być z nimi”, dobrze wiedząc, że nie ma zdolności aktorskich czy reżyserskich. Ktoś jednak wpadł na pomysł, aby napisała tekst piosenki. Do programu była już „prawie gotowa składanka”, ale „brakowało przerywników”. Przygotowała więc utwór, który uzyskał akceptację zespołu, a niebawem pojawiły się kolejne. Agnieszka nazywała je swoimi „małymi bzdurkami”.

„STS był bardziej ośrodkiem buntu niż działań artystycznych - wspominała po latach. - Przedstawienia były wzorowane na spektaklach zbliżonych do gazety. Nasze spotkania przypominały spotkania komórki politycznej. Piliśmy dużo mocnej herbaty, spotykaliśmy się w mieszkaniach i wymyślaliśmy tzw. formułę polityczną przedstawienia” 13.

Nikt z członków teatru nie zamierzał jednak obalać siłą komunizmu. Poszukiwano

„socjalizmu z ludzką twarzą”, założyciele STS-u zapewne chętnie podpisaliby się pod popularnym w późniejszych latach hasłem: „socjalizm tak, wypaczenie nie”.

„Byliśmy młodą lewicą - tłumaczyła Agnieszka - przekonaniaми bardziej zbliżoną do przedwojennego PPS niż do czerwonej komuny. Spieraliśmy się o stosunek do wyborów czy do Polski przedwojennej. Dla mnie najważniejsze było, że mądrzejsi i starsi ode mnie koledzy marzyli o Polsce, w której nie trzeba się będzie bać” 14.

Osiecka szybko stała się niezastąpiona, jej piosenki były potrzebne, chociaż czasami faktycznie tylko w formie przerywnika. Liryczne teksty łagodziły nastrój, dawały potrzebny oddech, oznaczały chwilę odpoczynku od polityki.

Niebawem w programach zaczęły pojawiać się jej „piosenki reportażowe”, których bohaterami byli zwykli ludzie ze swoimi radościami i problemami. Stanowiły ilustrację życia ówczesnej Warszawy i jej mieszkańców, zupełnie odmienną od nachalnej, oficjalnej propagandy. Uważano, że Osiecka stworzyła nowy nurt piosenki nazywany „liryką obywatelską”.

„[...] Agnieszka tworzyła lekko, łatwo i przyjemnie. Jej teksty, choć nie programowe, w kolejnych programach coraz bardziej się podobały. Pełne polotu i dowcipu, wzruszające i śmieszne, znakomicie trafiały w nastroje społeczne” 15.

W opanowaniu warsztatu pisarskiego pomogła jej bliska znajomość z Witoldem Dąbrowskim. Starszy od niej o trzy lata poeta poprawiał jej teksty, „korygował je i kontrolował”. Ona „przyjmowała te uwagi z nabożną czcią, należną mistrzowi” i rzeczywiście wiele się od niego nauczyła. Ich związek nie miał jednak przyszłości, chociaż po latach określiła go jako „jedyną w swoim życiu walkę o szczęście”. Niewykluczone zresztą, że na jego rozpad wpłynęło większe powodzenie tekstów Osieckiej, podczas gdy Dąbrowski miał duże problemy z pisaniem.

„Świetny poeta - uważał Jarosław Abramow - nie miał talentów satyryka i humorysty ani wyczucia sceny. W końcu wymagaliśmy od niego jedynie programowego wiersza i wyciągnięcie go w terminie było prawdziwą męką. Witek rodził powoli i w bólach. [...] Gdy więc [...] odszedł od nas z powodów ideowych w 1957 roku - dość łatwo to przeboleliśmy. I

nie było katastrofy. Gdyby wraz z nim odeszła Agnieszka - taka katastrofa niechybnie by nastąpiła” 16.

## MAREK HŁASKO

Osiecka poznała Marka Hłaskę na przełomie 1956 i 1957 roku za pośrednictwem swojej koleżanki Hani Żurek. Przyjaciółka miała oddać pisarzowi książkę, ale po kłótni z nim poprosiła o przysługę Agnieszce. Umówili się na Starówce, Hłasko ignorował początkowo dziewczynę, ale ona przejęła inicjatywę.

Starszy o dwa lata Hłasko miał już na koncie znaczące sukcesy literackie. Sławę przyniósł mu tom opowiadań Pierwszy krok w chmurach, pracował nad adaptacją swoich utworów na potrzeby filmu, pisywał felietony dla tygodnika „Po prostu”. Zachowaniem upodabniał się do własnych bohaterów, bywał szorstki i nerwowy, inna sprawa, że życie dotychczas go nie rozpieszczało. Bez wątpienia zafascynował Agnieszce, zapewne zresztą niewiele kobiet oparłoby się specyficznemu urokowi pisarza tak podobnego do Jamesa Deana.

Marek przypadł do gustu matce Agnieszki, ojciec natomiast od początku go nie znosił. Dla niego Hłasko był brutalem i sprowadzał ukochaną córkę na złą drogę.

Tak naprawdę, to chyba nie można mówić o uczuciu w tym związku. Hłasko miał za sobą burzliwe przejścia osobiste, ze strony Agnieszki również nie było eksplozji miłości. Spotykali się jednak w miarę regularnie, czasami on nie przychodził na randki, dwukrotnie wyjechali razem do Kazimierza.

„Zamiast świętować miłość - pisała - zamiast chuchać na to, to się tak strasznie kręciłam, ponieważ myślałam, że zdążę. Że ja będę zawsze młoda, zawsze Marek będzie młody, że świat na nas poczeka. Nie poczekał” 17.

Agnieszka była już wówczas studentką łódzkiej szkoły filmowej, działała w STS-ie, ale nie mogła równać się z idolem młodzieży, z człowiekiem, którego niemal każdy utwór uznawano za kultowy. Chyba też specjalnie nie pasowali do siebie.



„Marek po swoich uczuciowych burzach - twierdził Henryk Bereza - chciał związać się z kimś, do kogo miałby zaufanie. Widział w niej partnerkę, jeśli chodzi o praktyczną stronę życia. [...] Agnieszka bardzo o niego zabiegała, ale też nie było tu szalu zmysłów” 18.

Osiecka uważała, że Marek ma „twarz rozgrymaszonego bachora, figurę cowboya, ręce Madonny”. Bez wątpienia imponował jej fizycznie, bo „wyższy był od jej pokolenia o pół głowy” i czasami czuła się przy nim „jak mysz polna”. Miał skomplikowaną biografię, co w połączeniu z nadwrażliwością i skłonnościami do depresji tworzyło prawdziwie wybuchową mieszankę.

„[...] Masz w sobie to najpiękniejsze - pisała do niego z Mazur - co może mieć człowiek - prawdę. Nie chcesz być taki jak świat, w którym żyjesz. Nie zgadzasz się na ten świat. Jesteś najodważniejszy z naszego pokolenia, bo widzisz prawdę nawet tam, gdzie to bardzo boli. Jesteś bardzo piękny i bardzo wiele wart. Dlatego bzdurą są te złe słowa, które o sobie mówisz. I bzdurą jest to, czego się boisz, że już nie będziesz pisać. Nie zrezygnujesz z prawdy, więc będziesz pisał. Także najlepiej w naszym pokoleniu, chyba że przestaniesz się buntować. Ale to Ci nie grozi, wiem o tym. Kończę ten trudny list i proszę Cię, żebyś i Ty czasem zostawił kartkę »szukałem Ciebie«, 19.

Rozłąka nie ułatwiała porozumienia. Hłasko mieszkał w Warszawie, Agnieszka studiowała w Łodzi. Wprawdzie często przyjeżdżała do stolicy, ale nie byli stale razem. A może właśnie tego chcieli?

Na pewno Osiecka była wobec niego bardzo lojalna, gdy jechała do Francji na winobranie, przemycała dla paryskiej „Kultury” maszynopis jego pierwszej powieści *Cmentarze*.

„Agnieszka zjawiała się tutaj na przełomie sierpnia i września 1957 roku - wspominała Zofia Hertz. - To była sobota lub niedziela, więc dom był pusty. Byłam tylko z mężem. Zadzwoił dzwonek do drzwi. Poszliśmy otworzyć. Otworzyliśmy. Weszła młoda, ładna dziewczyna z długim blond warkoczem i powiedziała, że chciałaby rozmawiać z panem Jerzym Giedroyciem” 20.

Osiecka była bez pieniędzy, zatem drogę do Maisons-Laffitte odbyła autostopem, co

nie było bezpiecznym rozwiązaniem. Niewykluczone, że chciała zaimponować Hłasce odnoszącemu właśnie swoje największe sukcesy. Na podstawie Pętli zrealizowano film, którego był scenarzystą, a w styczniu 1958 roku Pierwszy krok w chmurach został uhonorowany Nagrodą Literacką Wydawców. Pozostawił w polu pobitych: Jerzego Andrzejewskiego (Ciemności kryją ziemię), Romana Bratnego (Kolumbowie, rocznik 20), Sławomira Mrożka (Słoń), Jana Parandowskiego (Petrarka) i Teodora Parnickiego (Koniec zgody narodów). A przecież był to jego debiut literacki, autor miał zaledwie dwadzieścia cztery lata.

„[...] Nie było żadnej wielkiej dyskusji - twierdziła zasiadająca w jury Maria Dąbrowska - i żadnej drastycznej różnicy zdań. Nie tylko wszyscy zgodzili się na Hłaskę, ale dwu matadorów partyjnych: Bieńkowski i Żółkiewski, wygłosiło entuzjastyczne przemówienia na cześć Hłaski”.

Miesiąc później Marek, na zaproszenie Instytutu Literackiego, odleciał do Paryża, przed opuszczeniem Warszawy zdążył jednak oświadczyć się Agnieszce. Został przyjęty, a plany małżeńskie z radością powitały matki obojga. Nieprzejednany pozostał tylko Wiktor Osiecki, wyśmiewając pomysł ślubu córki z pisarzem.

Los zadecydował jednak za nich, w Polsce kończyła się „odwilż”, u schyłku 1957 roku zlikwidowano „Po prostu”, co symbolicznie zamknęło epokę przemian. Kilka tygodni po wyjeździe Hłaski rozpoczęła się zorganizowana kampania prasowa przeciwko pisarzowi. Oskarżano go o zdradę, o publikowanie utworów za żelazną kurtyną, o szkalowanie Polski Ludowej. Z festiwalu w Cannes wycofano Ósmy dzień tygodnia, film zdjęto również z polskich ekranów. Obłożono także cenzurą gotową do wydania powieść Następny do raj, a sytuacji nie poprawiały wywiady, których Marek udzielał na Zachodzie. W zamian w Polsce pojawiały się informacje o jego hulastycznym życiu w otoczeniu imperialistycznych burżujów.

Hłasce odmówiono prolongaty paszportu, wzywając go jednocześnie do powrotu (miał nieuregulowany stosunek do służby wojskowej). Nie pozostawiono mu wyboru, wiedział, że w kraju czekają go represje i nic więcej już nie opublikuje. Osiadł więc w Berlinie Zachodnim, po czym wyjechał do Izraela. Przez następne siedem lat władze PRL odmawiały Agnieszce wydania paszportu.

Po latach Osiecka miała wprawdzie twierdzić, że gdyby Hłasko wrócił, zapewne wzięliby ślub, ale wydaje się to bardzo wątpliwe. Marek nie był monogamistą, uważano, że „kosił baby jak ułan”, już w Berlinie zamieszkał z niemiecką aktorką Sonją Ziemann. Inna sprawa, że nie przeszkadzało mu to w prowadzeniu intymnej korespondencji z Agnieszką.

„Gdyby mi ktoś powiedział - pisał do Osieckiej - gdybym miał choć przez rok, choć przez pół roku, a potem śmierć, to bym przyjechał do Ciebie. To nie melodramat; to wyznanie tego, który na pewno - z całym idiotyzmem i kabotyństwem najwięcej Cię kochał. W końcu przyjdzie taka noc, kiedy prześpisz się z innym. [...] Ale lepiej być pijanym, niż myśleć, że taka chwila w końcu przyjdzie” 21.

Pisarz z reguły potrafi w ujmujący sposób przekazywać myśli, nawet gdy nie mają one wiele wspólnego z rzeczywistością. W Izraelu opowiadał znajomym, że Agnieszkę „poznał, zaciągnął do łóżka, że to tylko polonistka, ale »może w Ciebie zainwestować pół litra«,,

Hłasko wielokrotnie prosił jednak Osiecką o pomoc w staraniach o powrót do kraju, dziewczyna chciała nawet osobiście interweniować u Gomułki. Nie dotarła jednak do pierwszego sekretarza, okrężną drogą (przez matkę i Zofię Gomułkową) dowiedziała się zresztą, że towarzysz Wiesław nerwowo reagował już na samo nazwisko Hłaski.

Marek zasypywał Agnieszkę pomysłami, a jednym z nich był ślub per procura. Do małżeństwa jednak nie doszło, polscy urzędnicy zażądali od pisarza świadectwa potwierdzającego brak przeszkód prawnych. Hłasko nie mógł spełnić warunku, ponieważ „nie był niczym obywatelem”, a jurysdykcji izraelskiej podlegał wyłącznie pod względem karnym.

W końcu pisali do siebie coraz rzadziej, Marek przesłał Agnieszce z Izraela kozuch, w którym później chodził Frykowski. Do Tel Awiwu przyleciała Sonja i Marek zdecydował się na małżeństwo z Niemką. Przyznawał zresztą, że w tym czasie „złopał i kurwił się”, spotykał się z Luise Schaffer, Esther Steinbach i jeszcze innymi dziewczętami. Sonję poślubił dwa lata później w Londynie.

Agnieszkę spotkał dopiero u schyłku lat sześćdziesiątych w Los Angeles. Po raz ostatni rozmawiali telefonicznie kilka dni później, a głównym tematem rozmowy był

problem, kto ma za nią zapłacić. Zapewne Osiecka miała rację, twierdząc po latach, że właściwie „żadnej roli w życiu Marka nie odegrała”. Mimo to zachowała o nim dobrą pamięć, nie bez powodu zatrzymała jego maszynę do pisania, która stała na biurku artystki do końca jej życia.

### Okularnicy

Wymęczeni, wychudzeni, z dyplomami już w kieszeni, odpływają pociągami, potem żenią się z żonami.

Potem wiążą koniec z końcem za te polskie dwa tysiące 22.

Okularnicy osiągnęli sukces wykraczający poza ramy STS-u. Na I Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu utwór otrzymał nagrodę indywidualną, jednocześnie Osiecka dostała wyróżnienia za kolejne teksty (Białe małżeństwo, Czerwony Kapturek, Gdzie jest szlagier, Kochankowie z ulicy Kamiennej, Solo na kontrabasie, Ulice wielkich miast). To był początek jej wielkiej kariery, rok wcześniej zadebiutowała w radiu, gdzie Kalina Jędrusik zaśpiewała Mój pierwszy bal.

Sukces w Opolu przyniósł wymierne skutki finansowe, Osiecka otrzymała duży zastrzyk gotówki (około czterech tysięcy złotych). Pozostała jednak sobą i pieniądze wydała całkowicie nieracjonalnie. Chociaż nie miała „mieszkania, samochodu i innych potrzebnych do życia” rzeczy, kupiła motorówkę. Nawet nie kupiła, wzięła łódź na raty, nagroda nie wystarczyła bowiem na zakup.

Wprawdzie w codziennym życiu była osobą wyjątkowo niepraktyczną, ale potrafiła dbać o swoje interesy. Zdarzało się, że wycofywała piosenkę z przedstawienia STS-u, aby przekazać ją profesjonalnemu artyście. Zrozumiała, że utrzymanie na odpowiednim poziomie może jej zapewnić wyłącznie komercja i z czasem rozdzieliła swoją twórczość. Inne teksty pisywała na potrzeby sceny, inne dla zawodowych wykonawców. Na brak chętnych do współpracy nigdy nie narzekała, miała zresztą do tego dość specyficzny stosunek.

„Kilka razy zdarzyło się - wspominał Seweryn Krajewski - że Agnieszka dała swoje teksty mnie i jeszcze komuś innemu. Podejrzewam, że brało się to raczej z nietoperzostwa Agnieszki. Agnieszka była jak nietoperz - bałagan w swoich tekstach miała przeraźliwy. A może za bardzo jej zależało, żeby dany tekst został przerobiony na piosenkę. Nie uważam,

żeby była to zła praktyka. To ciekawy eksperyment, posłuchać, jak ktoś inny zinterpretował na przykład Nie żałuję”.

Czasami wzbudzało to jednak kontrowersje, gdy muzykę do tego samego tekstu (nie wiedząc o tym) pisali Krajewski, Satanowski czy Turnau. Ten ostatni uważał, że Agnieszka czasami robiła „rodzaj plebiscytu”, zmuszając kompozytorów, aby „podchodzili do wierszy jak reżyserzy do iniszenizacji klasycznych dramatów”.

„Ja myślę - uważała autorka tekstów Magda Czapińska - że ona robiła to świadomie, a nie na przykład przez roztargnienie. Była dobrym mecenasem swojej twórczości. Ważny był efekt finalny, a nie to, co sobie obrażeni koledzy pomyślą. Kompozytorzy nie wiedzieli, że biorą udział w jakimś konkursie, a ona wybiera najlepszą muzykę. Czy miała prawo tak postępować? Ja bym tego nie zrobiła, ale ona przecież chciała jak najlepiej dla swoich wierszy. Agnieszce trzeba wszystko wybaczyć”.

#### WOJCIECH FRYKOWSKI

„Któregoś dnia Agnieszka zagadnęła mnie: »Co ty tak ciągle o tym Frykowskim opowiadasz?« - wspominał Wojciech Solarz. - Zacząłem o nim mówić: jaki to jest łobuz, jak on wódkę popija, jak traktuje kobiety, że z jednej strony jest genialnym kierowcą rajdowym, a z drugiej potwornym leniem. Ona słuchała, aż powiedziała: »To ja go muszę poznać«. Dałem jej jego adres i telefon. I stała się rzecz straszna. Pięć, sześć tygodni później dostałem pocztówkę z Kazimierza: »Tu jest cudownie, całujemy serdecznie - Agnieszka i Wojtek«, 23.

Ojcem Wojtka Frykowskiego był łódzki potentat przemysłowy. W czasach PRL nie było wprawdzie miejsca dla prywatnej inicjatywy, ale Frykowski senior nauczył się omijać przepisy. Zresztą nawet ich nie omijał, on po prostu stworzył podziemne imperium, łamiąc obowiązujące prawo.

„Pracował w wełnie, zgodnie z łódzką tradycją - opisywał Krzysztof Kąkolewski. - Jak mówi się, miał własne zasoby dolarowe, bank podziemny, który był tak potężny, że jego decyzje kupna i sprzedaży walut miały wpływ na notowania rynku czarnogieldowego w Polsce. Jego agenci skupu dolarów przemierzali cały kraj. Jedna z kurierek przewoziła dolary w beciku swojego rocznego synka” 24.

To był koncern z prawdziwego zdarzenia, a jednocześnie „organizacja patriarchalna, feudalna”. Cała działalność „opierała się na autorytecie i zaufaniu do szefa”, przypominała rodzinę Corleone z Ojca chrzestnego. Obowiązujące w PRL prawo narzucało oczywiście pewne ograniczenia, ale Jan Frykowski doskonale odnajdywał się w tym absurdalnym świecie. Jeden z jego podwładnych otrzymywał na przykład stałe wysokie wynagrodzenie wyłącznie za to, że pracował na państwowej posiadzie. Czasami bowiem „potrzebny był człowiek pracy”.

Działalność Frykowskiego ułatwiała korupcja aparatu władzy. Pozwolenia wydawano i cofano, przemysłowiec prowadził w Lesznie firmę wytwarzającą artykuły chemiczne i medyczne, w Łodzi zaś manufakturę produkującą jedwabne chusty i krawaty. Nosiła je cała Polska, a Frykowski zdobył nawet pozwolenie na legalny eksport. Los biznesmena w komunistycznym kraju bywał jednak niebezpieczny, Frykowski kupił kradzioną przędzę i wydano nakaz aresztowania.

„Wojtek poprosił mnie, żebym pomógł przerzucać ojca z miasta do miasta - opowiadał operator i reżyser Andrzej Kostenko. - Raz wiozłem go do Sochaczewa, raz gdzieś koło Błonia. To było jak w komedii. Szyfrowany telefon Wojtka, gdzie mam się stawić. W tym miejscu pojawiał się stary Frykowski, w kapeluszu i w czarnych okularach słonecznych. Nie odzywał się przez całą drogę. Ja coś opowiadałem, on napominał mnie, że lepiej nie mówić za dużo. Był bardzo przystojny. Góralska uroda, orli nos, amerykańska twarz bez grama tłuszczu, dobrze ubrany, jak nie z Łodzi, ale z Londynu: marynarka w pepitę, płaszcz. Czulo się w nim siłę. Wojtek miał respekt przed ojcem” 25.

Frykowski senior trafił do więzienia, z którego jednak wkrótce wyszedł. Ponownie stanął na czele swojego imperium, a przy okazji postanowił ostrzec podwładnych, którzy nie byli wobec niego lojalni. Scena przypominała filmy o włoskiej mafii:

„Niebawem wydał przyjęcie w Radonicach - relacjonował Mieczysław Jahoda. - Suto zastawione stoły kazał ustawić w parku przed pałacem, na polanie otoczonej gazonami wspaniałych róż. Zaproszeni goście dość długo musieli czekać na gospodarza. Mimo objawów gościnności jednak lękali się, jak wypadnie konfrontacja z »szefem«, którego przecież tak łatwo opuścili w trudnej sytuacji. Wreszcie zjawia się ojciec Wojtka z sekatorem

w rękę. Jedna po drugiej ścina róże, same główki... W grobowej ciszy słycać tylko szcęk sekatora... W końcu zwraca się do swoich osłupiałych gości: »I z wami tak będzie, jeżeli jeszcze raz mnie opuścicie w potrzebie«, 26.

Wojtek był absolwentem Politechniki Łódzkiej. Mieszkał na zapleczu manufaktury ojca i według jego planów miał nadzorować produkcję. W rzeczywistości okazał się prawdziwym królem życia związanym ze środowiskiem szkoły filmowej. Zdał nawet egzaminy na tę uczelnię, został jednak z niej usunięty za przedstawienie nie swojej pracy. Po prostu kupił ją od jednego z kolegów.

„Wojtek, z nosem boksera i lekkim grymasem ust - wspominał Roman Polański - miał w sobie coś supermęskiego i wyglądał jak wykidajło z nocnego lokalu. Pod powierzchownością brutala kryła się natura łagodna, złote serce graniczące z sentymentalizmem i absolutna lojalność”.

Wprawdzie stary Frykowski twierdził, że jego synowie mają się uczyć albo sami zarabiać na życie, ale Wojtkowi nigdy nie brakowało pieniędzy. Został nawet producentem Ssaków, pierwszego prywatnego filmu w PRL, który reżyserował Roman Polański.

Pierwszą żoną Frykowskiego została Ewa Morelle, którą ze względu na urodę porównywano do Brigitte Bardot. Poznała go, będąc jeszcze uczennicą II klasy liceum (Wojtek studiował wówczas na politechnice). Obronił ją przed chuliganami podczas jakiegoś balu, a pobrali się, gdy zaszła w ciążę. Nie należał jednak do czułych partnerów.

„Spotkałem ich pierwszy raz razem na koncercie jazzowym w filharmonii - opowiadał Henryk Kluba. - Piękną Ewę w czasie koncertu Wojtek, delikatnie mówiąc, karciał, a dokładniej - tłukł ją” 27.

Był bardzo zazdrosny, podobno potrafił ją pobić za taniec z innym partnerem czy też za uśmiech skierowany do obcego mężczyzny.

Sam nie unikał bójek, był sprawny i wysportowany. Wieczorami chodził Piotrkowską jak udzielny władca, schodzono mu z drogi. Nie szukał zaczepki, ale chętnie przyłączał się do rozrób, czasami również stawał w obronie słabszych.

W młodym wieku trenował pływanie i jeszcze w latach sześćdziesiątych rzucał wyzwanie zawodnikom Legii, pokonując ich na dystansie pięćdziesięciu metrów. Pod wodą przepływał długość dwóch basenów, przyznawał jednak, że nie ma już kondycji na dłuższy wyścig.

„Wojtek był postacią tak malowniczą - wspominała Osiecka - że w wielu ludziach, nie tylko we mnie, wzbudzał fascynacje literackie. Posiadał swoisty dar uwodzenia ludzi, nie tylko kobiet, ale i mężczyzn. Każdy miał wrażenie, że w chwili poznania Wojtka otwierał się przed nim baśniowy świat kolorowych przygód” 28.

Pobrali się w Zakopanem latem 1963 roku, świadkami na ich ślubie byli Bogumił Kobiela i Krzysztof Komeda. Pan młody wystąpił w smokingu, do ślubu jechali białym oplem Frykowskiego. Posiadanie takiego samochodu było potwierdzeniem statusu finansowego Wojtka.

„Mieszkaliśmy w domu ZAiKS-u, »Halamię«, i robiliśmy wypadki, zadając szyku wspaniałym oplem Wojtka - opowiadał Mieczysław Jahoda. - Na ówczesne czasy taki samochód był dowodem posiadania wielkich pieniędzy. Jeździliśmy na przykład do pięknych Jaworek położonych w samym sercu Pienin. Wojtek był wobec Agnieszki pełen rewerencji, aż wyglądało to sztucznie” 29.

Senior rodu przebywał wówczas w więzieniu, nie przeszkadzało mu to jednak w podejmowaniu decyzji rodzinnych. Na wiadomość, że najstarszy syn żeni się z utalentowaną poetką, zarządził, aby młoda para otrzymała majątek ziemski razem z pałacem. I tak Wojtek stał się właścicielem posiadłości w Radonicach, inna sprawa, że stary Frykowski traktował tę posiadłość „jako dobrą lokatę kapitału”.

W Radonicach bywali: Dygatowie, Morgensternowie, Cybulski, Kobiela, Skolimowski, Czyżewska. Brakowało tylko Polańskiego, ale reżyser zdążył już wyemigrować na Zachód, gdzie niebawem miała się rozpocząć jego olśniewająca kariera.

Frykowski okazał się fatalnym właścicielem, podobno polecił rozpędzić stado owiec należących do majątku (irytował się ich beczaniem), drażniły go również pszczoły z



pobliskich uli. Na koniec zwolnił zarządcę dóbr, który zanudzał go przyziemnymi sprawami. Osiecka również nie mogła się tam odnaleźć:

„Latem w Radonicach, kiedy był Bartek [syn Frykowskiego z pierwszego małżeństwa - S.K.] i pies - zaczynałam się przyzwyczajać. Słońce. Twaróg. Sen. Ale kiedy spotykałam dawnych kolegów, ogarniało mnie przerażenie. Krępowalam się tego, w jakiej sztuce gram. Może aż nadto. Ta rodzina naprawdę się kochała [...]. Pojawiały się koło mnie jakieś (jego) ciotki i babki, i służąca, i »mama«, i »tata«, i ich sprawy tajemnicze, w które wprowadzali mnie z naiwną prostodusznością, a ja czułam się obok, całkiem obok tego wszystkiego, i całkiem przypadkiem” 30.

Obyczaje Frykowskich były jej obce, ona, córka artysty, poetka z inteligenckiej rodziny, nie potrafiła zrozumieć interesów teścia i nienormalnego świata gospodarki PRL. Pomimo to usiłowała tworzyć, w Radonicach powstały teksty do spektaklu Niech no tylko zakwitną jabłonie. Małżeństwo z Frykowskim układało się jednak coraz gorzej, Wojtek okazywał pogardę dla jej pracy i regularnie nadużywał alkoholu. Irytował żonę swoją „pijacką mitomanią”, w efekcie niedzielne przedpołudnie często „upływało na płaczącym kacu”. Bywał zazdrosny o swoich poprzedników, ale kozuch od Hłaski sobie przywłaszczył. Kiedy jednak po kolejnej awanturze (tym razem o Andrzeja Jareckiego) Agnieszka musiała uciekać z pędzącego samochodu, zdecydowała się na rozwód. Małżeństwo przetrwało niecałe pół roku.

## MAZURY

„W 1959 roku z ZSP dostaliśmy skierowanie na wczasy - wspominał Jerzy Markuszewski - w tanich domkach kempingowych w Zgonie nad jeziorem Mokrym. Dosyć szybko przenieśliśmy się do Krzyży. Względy były czysto osobiste, chodziło o konflikt, krótkotrwały zresztą, Jarka Abramowa z ojcem. Po prostu któregoś dnia popłynęliśmy kajakami na wycieczkę i kilka kilometrów dalej znaleźliśmy inną wieś, Krzyże - w której spędzaliśmy wszystkie nasze następne wakacje” 31.

Członkowie STS-u nie mieli większych wymagań, nie przeszkadzał im brak łazienek, bieżącej wody czy toalet. Prymitywne warunki i dzika przyroda sprawiały, że Krzyże wydawały im się magicznym miejscem. Mało widoczne z lądu czy jeziora zapewniały

izolację od świata zewnętrznego, od siebie bowiem artyści nie potrzebowali odpoczynku.

„To było wprost niesamowite zjawisko - zauważyła Krystyna Sienkiewicz - często komentowane przez znajomych i nas samych: okrągły rok pracowaliśmy razem w teatrze i jeszcze nie dość było nam swojego towarzystwa! Wynajmowaliśmy u chłopów izby z wiadrem, miską i możliwością zagotowania wody na blasze kuchennej po to tylko, żeby odpocząć wśród tych samych twarzy i tych samych tematów. Jezioro było nam wanną” 32.

Agnieszka uwielbiała Krzyże, to było miejsce, gdzie mogła wypoczywać, pracując jednocześnie. Dużo pisała, nie zwracała uwagi na upał i słońce, cieszyła się życiem, uwielbiała długie rozmowy na przystani, grę w karty, wzajemną wymianę myśli. Otoczenie zauważało, że na Mazurach odzyskiwała formę, Krzyże wyzwalały ją z reguł mieszczańskiego życia, zaspokajając pragnienie swobody. Nad Jeziorem Nidzkim pojawiali się zresztą nie tylko ludzie z STS-u, bywali tam: Ignacy Gogolewski, Władysław Kowalski, Adam Kreczmar, Franciszek Starowieyski. Świat polityki reprezentowali Jerzy Putrament (raczej unikał kontaktów z bracią artystyczną) i Mieczysław Rakowski. W otoczeniu naczelnego „Polityki” nie mogło oczywiście zabraknąć Wandy Wiłkomirskiej i Elżbiety Kępińskiej.

„Krzyże początku lat sześćdziesiątych, kiedy zacząłem tam jeździć - opowiadał Adam Sławiński - to handlowa i gastronomiczna pustynia. W jedynym sklepiku były tylko zapleśniałe sporty i zbielała ze starości czekolada, ale też całkiem dobre... kapary. Na dostawę chleba oczekiwano w dwóch kolejkach: długiej babskiej i krótszej chłopskiej. Zgodnie z regułami patriarchy najpierw obsługiwało się mężczyzn. [...] Nie głodowaliśmy jednak. Jerzy Markuszewski z asystą warzył czasem zupę cebulową, Olga Lipińska smażyła grzyby zebrane w lasach przez »kolektyw«, a Putrament obdarowywał szczupakami” 33.

W takim miejscu motorówka Osieckiej (nazwana „Mister Paganini”) była wręcz bezcenna. Jednak Agnieszka nie byłaby sobą, gdyby jej flagowa jednostka funkcjonowała normalnie. Dla osób nieprzyzwyczajonych do jej obsługi pierwszy rejs był dużym zaskoczeniem, po wychyleniu bowiem kierownicy w lewo ster działał w prawo. Wojciech Solarz naprawił kiedyś usterkę, za co spotkała go ostra reprimenda od właścicielki. Ale w sytuacjach kryzysowych Agnieszka stawiała na wysokości zadania, okazując właściwą sobie bez troskę. Pewnego dnia Solarz pożyczył od niej łódź, aby popłynąć do Rucianego, a kiedy

wrócił na przystań, przekonał się, że z łodzi ukradziono silnik.

„Tych siedem kilometrów do Krzyży przepłynąłem, wiosłując jakimś pagajem. A potem stanąłem przed nią, rozłożyłem ręce... I tu Agnieszka zaskoczyła mnie całkowicie: po prostu roześmiała się. Widocznie przedstawiałem sobą załosny widok.

Nigdy więcej nie wróciliśmy do tego tematu. Za to ja przez całe lata żyłem w przeświadczeniu, że jestem winien Agnieszce silnik do motorówki” 34.

Osiecka pozostała wierna Mazurom przez wiele lat, przestała tam jeździć dopiero wtedy, gdy stały się celem dla tysięcy zmotoryzowanych turystów. Nowoczesna cywilizacja, hałas, tłum i spaliny - to już nie była jej kraina. Poszukiwała innego azylu, wspominała, że zwiedziwszy cały świat, nie znalazła dla siebie właściwego miejsca. Takiego jak ta mała wieś zagubiona gdzieś w lasach nad brzegiem Jeziora Nidzkiego.

#### ZAZIĘBIONY STUDENT

„Agnieszka była piękną, interesującą kobietą - wspominała Ewa Lejman. - Mało było mężczyzn, którzy daliby radę jej się oprzeć. Gdyby rzeczywiście chciała być Don Juanem w spódnicy, mogłaby ich mieć na pęczki” 35.

Niektórzy uważali, że preferowała chuliganów, bo w głębi duszy była do nich podobna. Faktycznie, Frykowski daleko odbiegał od obrazu inteligenta w grubych okularach; w kontaktach Osieckiej z mężczyznami można było dostrzec pewną dwoistość. Trafnie zauważyła to Zofia Nasierowska:

„Z jednej strony była Agnieszka z towarzyszącym jej mężczyzną - intelektualistą, takim, z którym można coś zrobić, coś napisać. Na ogół był to taki człowiek, z którym bez trudu znajdowała wspólny język - typu Andrzej Jarecki czy Jeremi Przybora. A potem pojawiała się ta druga Agnieszka, preferująca brutalnych mężczyzn, z którymi szła na wódeczkę i zawsze się coś działo” 36.

W pewnym okresie życia artystka „skłaniała się raczej do przeziębionych studentów”. Jak na rasową kobietę przystało, była jednak zmienna w poglądach i uczuciach, gorzej, że

miała skłonność do idealizowania mężczyzn. Funkcjonowali „dla niej w formie idealnych portretów, bardzo indywidualnych, bardzo subiektywnych”. Zderzenie z rzeczywistością bywało bolesne, tym bardziej że Osiecka miała zwyczaj podejmować ważne decyzje pod wpływem impulsu.

„Jak się zakocham - przyznawała - to mężczyzna mnie zachwyca od czubka głowy do palców u nóg, podoba mi się każdy jego gest [...]. Myślę: jakie to inteligentne i subtelne. A po paru miesiącach jak widzę ten gest, [...] myślę: co on wyprawia, a to kretyn” 37.

Tak naprawdę to było jednak jeszcze gorzej. Idealni partnerzy nagle zmieniali się w mało intrygujących osobników w przydeptanych kapciach, o bardzo przyziemnych potrzebach. Opuszczali piedestały, żądali, aby Agnieszka robiła śniadania, obiady, a nawet prała ich bieliznę. A to były sprawy zupełnie obce dla poetki.

„[...] Potem przychodziła codzienność - zauważał słusznie Wojciech Solarz. - Już nie tylko spacer, ale wspólne śniadania, wspólne mycie zębów - proza codziennego życia. I nagle okazywało się, że ten człowiek jest nudny, chociaż prawdziwy, że ukochany mężczyzna musi się golić, że trzeba mu prać skarpetki, że chrząka, że ma katar”.

Jej drugim mężem został krakowski reżyser związany z STS-em Wojciech Jesionka. Był „szalenie lubiany”, a „wspólne działanie ich zbliżyło”. Otoczenie nie uważało go jednak za mężczyznę na miarę Osieckiej, co znakomicie oddaje relacja Zofii Hertz:

„Agnieszka zadzwoniła kiedyś do mnie i powiedziała:

- Wiesz, wyszłam za męża.

- Słyszałam - odpowiedziałam. - Za jakieś paletko.

- Wcale nie za paletko, tylko za jesionkę.

- Czyli paletko. A w ogóle czyś ty zwariowała?

- Nie... Bo on taki biedny był... Taki trochę smutny, trochę chory... przeziębiony...”

Związek był z góry skazany na porażkę, Agnieszka mogła lubić „przeziębionych studentów”, ale ten typ mężczyzny nie potrafił jej na dłużej zainteresować. Potrzebowała silnej indywidualności, człowieka, który by jej zaimponował, tak jak Jeremi Przybora czy Daniel Passent. Dlatego małżeństwo z Jesionką przetrwało tylko kilka miesięcy.

„Ich mieszkanie sprawiało wrażenie miejsca tymczasowego - opowiadała Alina Janowska - gołe okna, tylko parę niezbędnych mebli, żadnych bibelotów. On był reżyserem teatralnym, a później spektakli cyrkowych. W domu bywał niezwykle rzadko. Ten ich związek trwał tak bardzo krótko i był taki zwyczajny, że popadł w całkowite zapomnienie. Nawet nie mogę sobie przypomnieć twarzy Jesionki” 39.

Przez pewien czas Agnieszkę łączył również bliżej nieokreślony związek z Mieczysławem Rakowskim. Znakomity redaktor naczelny „Polityki” znajomość z kręgiem STS-u nawiązał oczywiście w Krzyżach, gdzie wybudował dom. W jego Dziennikach politycznych postać Agnieszki pojawia się regularnie, ale właściwie nie wiadomo, czy mieli ze sobą romans. A nawet jeżeli tak było, to z czasem przerodził się on w przyjaźń.

Rakowski uważał, że Agnieszka jest „hożą dziewczyną i ma piękne włosy”, fascynowała go, wymieniali listy, ona pisała dla niego wiersze. Zwierzali się sobie z osobistych problemów, ale czy połączyło ich coś więcej? Zapiski w notatkach Rakowskiego można różnie interpretować, a szczególnie ten z lutego 1964 roku:

„W Zakopanem na nartach. Spotkałem sporo znajomych i przyjaciół, Bronka Bednarza, Agnieszkę O., Wiktora Woroszyńskiego i innych. Z Agnieszką odbyłem poważną rozmowę. Co z tego wyniknie, trudno powiedzieć. Bardzo lubię Agę” 40.

Agnieszka dała mi w prezencie Ludzie, fakty, refleksje (antologię wspomnień działaczy PPR), dodając prywatną dedykację („Mietkowi, z mieszanymi uczuciami”). Ważniejszy wydaje się jednak wiersz ofiarowany mi miesiąc wcześniej:

Piękny panie, ukłon serdeczny z dala ślę, piękny panie, może już nie pamiętasz mnie?  
Pomyśl, to wszak rok temu

[...].

Czy przypominała w ten sposób datę rozpoczęcia romansu? Czy tylko przelotnej sytuacji intymnej? A może było to wspomnienie chwili ważnej dla obojga?

Wydaje się, że coś mogło faktycznie ich połączyć we wczesnych latach sześćdziesiątych. W 1964 roku Rakowski zaangażował się już bowiem w romans z aktorką Elżbietą Kępińską, który zdominował jego życie prywatne i stał się przyczyną rozpadu małżeństwa z Wandą Wiłkomirską. Agnieszka miała wówczas już romans z Jeremim Przyborą, nawet jeżeli później przypominała czasami Rakowskiemu o swoim istnieniu.

„Po powrocie z Krynicy [w lutym 1967 roku - S.K.] zastałem list od Agi z jej bardzo ładnym zdjęciem. Na odwrocie wiersz, który napisała prawie dwa lata temu. Dopiero teraz mi go przesłała. Nie wiem, w jakim celu. Chyba tylko dla przypomnienia.

Patrz - jaka jestem ładna -  
to przez Ciebie -  
choć kłopot nowy spadł nam...  
Jak to?  
Nie wiesz?  
[...]" 41.

Rakowski pozostał powiernikiem również podczas pierwszych lat jej związku z Danielem Passentem (jego podwładnym z „Polityki”). Jeżeli rzeczywiście mieli kiedyś romans, to rzadko intymna znajomość kończy się w tak ładny sposób.

„Pisze, że jestem fajny - zanotował Rakowski w lutym 1971 roku - że ile razy mnie o coś poprosiła, o coś większego czy duperełę, to nigdy nie nawaliłem. A poza tym, ponoć mam w sobie coś takiego, że się człowiek nie krępuje mnie prosić. Miła jest ta Agusia. Teraz ma nowy problem, któremu na imię Danek P. Zakochała się w nim i zwierza mi się ze swoich sercowych kłopotów” 42.

JEREMI PRZYBORA

Jesionka i Rakowski byli tylko epizodami w życiu Agnieszki, większe znaczenie miał jej związek z Jeremim Przyborą. Był to romans, o którym praktycznie nikt nie wiedział, partnerzy zachowywali bowiem wzorową dyskrecję. Szersza publiczność dowiedziała się dopiero niedawno, po wydaniu ich korespondencji (Listy na wyczerpanym papierze). Wielu wielbicieli talentu artystów miało za to pretensje do Agaty Passent i Konstantego Przybory, chyba jednak niesłusznie. Twórczość Osieckiej i Przybory nie ucierpiała, a polska literatura miłośna wzbogaciła się o cenną pozycję. Czy może być bowiem coś bardziej ekscytującego niż trudne uczucie dwojga poetów, związek, po którym zachowała się bogata korespondencja?

Jeremi Przybora był starszy od Agnieszki o ponad dwadzieścia lat, miał ugruntowaną pozycję jako poeta, autor tekstów i współzałożyciel Kabaretu Starszych Panów. Poznali się w styczniu (lub na początku lutego) 1964 roku na imprezie po spektaklu w STS-ie. Od razu przypadli sobie do gustu, do pierwszych wyznań doszło jeszcze tego samego wieczoru.

„On zakochał się od pierwszego spojrzenia - uważała Magda Umer. - Wpadł po uszy. Po jej uszy, które darzył uczuciem szczególnym. Nie ukrywał tego, niczego nie kombinował. Po prostu przytrafiło mu się szczęście i nieszczęście jednocześnie - zakochał się w skomplikowanej dziewczynie” 43.

Agnieszka „uwiodła go z przyzwyczajenia”, ale niebawem i z jej strony pojawiło się uczucie. Oboje dotychczas nie potrafili dać sobie rady z życiem osobistym, Agnieszka była po rozstaniu z Frykowskim, a Przybora ciągnął drugie, nieudane małżeństwo. Poszukiwał już raczej samotności, zbliżał się do pięćdziesiątego roku życia, był mało towarzyski, nawet w SPATiF-ie starał się siadać przy oddzielnym stoliku.

Osieckiej imponowało jego uczucie, uwielbiała listy od niego, a doświadczony poeta i autor doskonale wiedział, jak należy pisać do kobiety. Nawet tak niepodobnej do innych.

„Będzie można do Ciebie zadzwonić? Jeżeli przytkniesz słuchawkę do prawego ucha, to dobrze, bo ono jest mi życzliwe. To moje ulubione Ucho. Mówię w Nie teraz: dobranoc, Agnieszko!” 44.

Przybora zakochał się jak nastolatek, Agnieszka zaś „nie była pewna, o co jej chodzi”.

Spotykali się na kawie, po czym ona szła do kina z innym mężczyzną. On pisał bezpośrednio do niej, ona adresowała korespondencję na SPATiF. Nie mogła się zdecydować, zawsze zresztą twierdziła, że „od książąt poblądłych woli mężczyzn upadłych”.

Wiele zmieniło ich pierwsze zbliżenie, Agnieszka przyznała, że Jeremi był „pierwszym chłopcem, z którym jest jej dobrze w łóżku, przez którego robi jej się czarno w oczach i słodko w ustach”.

„[...] Tobą zamroczony... nie! - rozświetlony jestem od czterech prawie miesięcy - pisał do niej z Paryża. - Co teraz robisz? Może jesteś na Mazurach? Jak jesteś ubrana? Może piszesz »wierszyk«, trzymając ołówek w gotyckich palcach, bardzo kruchych i strasznie utalentowanych, moja Nawiedzona Panienko z Kępy [...]” 45.

Język polski w słowach doświadczonego autora jest bronią, której kobieta nie potrafi się oprzeć:

„Całuję Cię bardzo [...], zaczynając od włosów na skroniach, a potem [dłuuuugo] zabawić przy uszach, najpierw prawym, a potem lewym, z uwzględnieniem całej skomplikowanej rzeźby i detalu, a potem skupić się na oczach, takich wiosennych sadzawkach wniebowstąpienkach. A potem powędrować ustami przez nosek bardzo kruchy, aż do ust i najpierw długo je przeproszać za zachłanność, z którą się spotkają. [...] Może wtedy otworzą mi dostęp do serca Agnieszki, które jest maleńką otchłanią poezji, w którą się leci i spada całymi latami przez jedną chwilę i nigdy do dna. [...] Tylko że tu już łatwo o przekroczenie obojczyka, tego Rubikonu kobiety, i czy ja znowu jestem Cezar Twojego Rubikonu?” 46.

Agnieszka starała się jednak zachować zdrowy rozsądek, przyznając, że „woli listy” od samego autora. Doceniała ich urodę, „cholernie jej się podobały jako utwory literackie”, a Jeremi był w nich „wzruszający i precyzyjny”. Wiedziała, że nie okazywała mu czułości, ale nie miała jej również dla siebie.

Osiecka zawsze miała duszę wędrowca, a Przybora był kolejnym mężczyzną, który musiał się zmierzyć z tym faktem. Pisała do niego z Krzyży, ze Złotych Piasków, z Budapesztu, Pragi. Najczęściej nie potrafiła mu podać precyzyjnej daty powrotu, z czego



wysnuł niesłuszne podejrzenia, że dziewczyna ucieka od niego. Agnieszka była jednak po prostu globtroterem, nie mogła żyć bez podróży, bez poznawania nowych ludzi, bez nowych wrażeń. Nie potrafiła długo pozostać w jednym miejscu, chyba że były to jej ukochane Krzyże czy Saska Kępa. I mając do wyboru powrót do stolicy, do Jeremiego, czy też rejs „cudzą łodzią” po Mazurach, bez wahania wybierała drugą opcję.

Niepowodzeniem zakończyła się próba wspólnego zamieszkania w lokalu przyjaciół przy Dąbrowszczaków na warszawskiej Pradze. Nagle okazało się, że Jeremi rano godzinę spędzał w łazience, a śniadanie celebrował przez następne dwie. Oczywiście musiał sam je sobie przygotować, Agnieszka bowiem w ogóle nie miała zwyczaju jadać śniadań. Nie miała również nawyku sprzątanania, a gdy już zamiatała, to z reguły śmieci lądowały pod szafą. W zamian lubiła życie towarzyskie zakrapiane alkoholem, czego z kolei on nie mógł zrozumieć.

Osiecka wyjechała do Londynu i ponownie zaczęły krążyć listy. Nerwy, stres, zmiana klimatu, a może tęsknota spowodowały opóźnienie cyklu i Osiecka podejrzewała, że jest w ciąży. Napisała o tym do Przybory, myślała o aborcji, on natomiast pragnął dziecka, wysłał jej nawet (w czasach PRL!) kwiaty pocztą lotniczą.

„Kochany, Najdroższy, Najmilszy mój - pisała do Jeremiego. - Nie wiedziałam, co zrobić ze szczęścia. Miałam ochotę, nie bacząc na nic, pędzić na lotnisko i frunąć do Ciebie. [...] Ty mi to mówisz [...], że chciałbyś mieć ze mną dziecko! Ty mi to mówisz, Ty, co ci rodziny i dzieci pół życia zjadły. Leżałam w łóżku i ryczałam jak bóbr, głównie z radości” 47.

Był to jednak fałszywy alarm, a Osiecka wcale nie „pofrunęła” do Jeremiego. Pojawiła się natomiast w Paryżu, snując wizję wyprawy do Szwecji. Przybora uznał to za nielojalność, ale poetka słusznie zauważyła, że pomiędzy planami a ich realizacją jest jednak znaczna różnica. Wróciła do Londynu, po czym jednak wyruszyła do Skandynawii, opóźniając przyjazd do kraju. Przybora uznał to za odsunięcie mety zmęczonemu zawodnikowi na ostatnich metrach biegu.

Agnieszka przyznawała krytycznie, że „jedyne co ją upodabnia do człowieka, to wyrzuty sumienia”, ale nie zamierzała nic zmieniać. Wciąż wolała czytać listy od Jeremiego niż bezpośredni z nim kontakt. Ale Przybora miał inne możliwości przekazu, w kolejnym odcinku Kabaretu Starszych Panów Wiesław Gołas zaśpiewał piosenkę z jego tekstem:

Podła

Na pasku kłamstw mnie wiodła, By nagle zepchnąć w otchłań w bezsenną noc bez dna.

Ooo... zgubna...

Niewierna, choć nieślubna, Fałszywa, samolubna, Podstępna, pusta, zła.

Przybora na krótko znalazł jednak sposób na kłopotliwą partnerkę. Wyjechał, nie odbierał telefonów, nie odpisywał na listy. Osiecka przekonała się, że jednak coś do niego czuje, ale swojego postępowania nie zmieniła.

„Odkąd doszedłeś do wniosku - pisała z Jeleniej Góry w maju 1965 roku - że Ty mnie nienawidzisz, a ja Ciebie chromolę, mam w sobie jakiś zygzak. Wydaje mi się, że będzie albo bardzo dobrze, albo bardzo źle. Najzabawniejsze jest to, że oboje zarzucamy sobie to samo, egoizm (o, bo ja też Ciebie uważam za najpaskudniejszego egoistę ze wszystkich, jakich znam) 48.

Chociaż powtarzała, że „płacze i żałuje, że nie ma go w Jeleniej Górze”, wiedziała jednak, że ich związek przypomina kontakty psa na łańcuchu (Przybora) z wędrownym kotem. I oczywiście niebawem ponownie zniknęła, wyruszając w rejs na Bornholm. Ważniejsze było dla niej poszukiwanie przygody, udała się tam z Mieczysławem Rakowskim i jego „kolegami dygnitarzami”.

Koniec nastąpił kilka miesięcy później, a Przybora żalił się, że „przez dwa i pół roku był wpuszczany w maliny”. To był dla niego wyjątkowo zły okres, musical Jedzcie stokrotki zrobił klapę, z anteny zniknął Kabaret Starszych Panów. Wreszcie rozwiódł się z żoną, na co wcześniej nie mógł się zdobyć, ale Agnieszce chyba specjalnie na tym nigdy nie zależało.

Latem 1966 roku Osiecka święciła triumfy w Opolu z utworem Na całych jeziorach - Ty. Piosenka napisana dla Jeremiego w interpretacji Teresy Tutinas wygrała festiwal.

Na całych jeziorach - Ty, o wszystkich dnia porach - Ty, w marchewce i naci - Ty, od Mazur do Francji - Ty...

Podobno Przybora „leczył się z Osieckiej” równie długo, jak trwał ich romans. Potem w jego życiu pojawiła się plastyczka, Alicja Wirth. Lubiła stać w cieniu, doskonale gotowała i była całkowitym przeciwieństwem Agnieszki. Pobrali się, a Osiecka zwierzyła się kiedyś Magdzie Umer:

„Chwilami zazdrozczę im takiego codziennego, nudnego szczęścia, tylko z tego powodu, że są razem i patrzą na rośliny. Ja nigdy nikomu nie umiałam dać spokoju. Sobie też”.

Do Jeremiego zachowała jednak duży sentyment (jak do każdego mężczyzny w swoim życiu), w marcu 1989 roku Umer widziała ich spotkanie podczas Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu:

„[...] Widzę, że Jeremi rumieni się jak licealista, przeprasza na chwilę nas, swoją żonę Alicję i podchodzi do Agnieszki. Są daleko, nie słyszę słów, ale coś tak niezwykłego dzieje się między tym dwojgiem, że nie mogę oderwać od nich oczu. On się uśmiecha, ona płacze, wręcza mu żółtą różę. Całują się nieśmiało. Scena jak z filmu” 49.

## DANEK

W 1971 roku w życiu Agnieszki pojawił się dziennikarz „Polityki” Daniel Passent. Jego żona wyjechała właśnie na roczne stypendium do USA, Passent „źle znosił samotność, dużo przesiadywał w STS”. Tam poznał Osiecką i nie przejmował się, że „życzliwi, widząc, że kręci się koło Agnieszki, nawet go ostrzegali” przed nią.

Jednym z „życzliwych” był Mieczysław Rakowski doskonale znający poetkę. Naczelny „Polityki” z zainteresowaniem obserwował początki jej znajomości z Passentem.

„Miła jest ta Agusia - notował w lutym 1971 roku. - Teraz ma nowy problem, któremu na imię Danek P. Zakochała się w nim i zwierza mi się ze swoich sercowych kłopotów. Pisze w liście: »Piosenczkę taką napisałam w związku z nową sytuacją, którą zatytułowałam Wyśpiewały się pieśni szturmowe, a kończy się tak:

Przerzedziły się mroki zimowe brudne słowa wsiąkają z krwią w piach, a myślałam -

nie zmrużę już powiek:

umrzeć straszno.

A żyć - jakoś strach” 50.

Była to obopólna fascynacja, Agnieszka otwierała Danielowi „oczy na świat”, albowiem „patrzyła na to samo”, ale „widziała więcej”. Zawsze „skupiała się na miłości”, na „obdarowywaniu ukochanej osoby”, dawała odczuć, że Passent jest dla niej ważny. Jednak nie byłaby sobą, gdyby do całej sytuacji nie dodała nutki specyficznego humoru.

„List od Agnieszki, z Krakowa - kontynuował Rakowski. - Pisze, że ogląda zabytki, trochę pracuje, trochę podgląda Wajdę, »jak katuje Biesy«, no i myśli o sobie. Ale nie tylko. »Naturalnie o Danku myślę (zawsze serdecznie, żonatym czy nieżonatym), o Gierku myślę i o Tobie myślę«, 51.

Passent nie oparł się urokowi Agnieszki, sam zresztą przyznawał, że „okazał się niewiernym mężem”. Ale czy mogło być inaczej?

„Była niezwykle atrakcyjna - wspominał - a jednocześnie skromna i bezpośrednia. To był niespokojny duch, dużo podróżowała, miała znajomych za granicą [...]. Była altruistyczna, owszem, ale nie zawsze. Dla niej liczyła się twórczość, miłość, rozmowa. Bardzo dobrze czuła się wśród ludzi” 52.

Dziennikarz zdecydowanie odróżniał się od dotychczasowych partnerów Osieckiej. Był silną indywidualnością, mężczyzną o własnych, jasno określonych poglądach na świat, zupełnie niepodobnym do ludzi, z którymi dotychczas przestawała. Nic dziwnego, że miała obawy przed tym związkiem.

„Lubię Daniela - pisała. - Nie jest nudny i ma granatowe włosy, i wszystko co trzeba, żeby podobać się dziewczynom. Ale strasznie się boję dać nura w jego świat... No nic. Może z bliska niebezpieczeństwo nie jest tak groźne. Byliśmy wiosną zeszłego roku z Danielem w Zakopanem i fajnie było. Widziałam też kiedyś lodową górę na oceanie, była piękna” 53.

Podobno bieguny różnoimienne się przyciągają, a Osiecka i Passent pochodzili z zupełnie różnych bajek. Ona romantyczna, rozchwiana, on logiczny, konkretny i czasami zbyt

drobiazgowy. Irytował się, gdy „koszulę nocną prała w morzu, a w ogródku czyściła nóż czy łyżkę gałązką modrzewiu”. Miał uporządkowany tryb dnia, był człowiekiem świetnie zorganizowanym i gdy razem zamieszkali, załatwiał wszystkie wspólne sprawy. Agnieszka to doceniała, chociaż czasami jego doskonałość była dla niej trudna do zaakceptowania. Przyznawała jednak, że dotychczas „sprawy sercowe zajmowały jej nie więcej niż ćwierć serca”, w przypadku Daniela natomiast sytuacja była zupełnie inna.

„Zrozum, Mietek - pisała do Rakowskiego w marcu 1971 roku. - Ja do tej pory rzucałam chłopaków po roku (dwóch...) albo oni mnie rzucali, i był święty spokój. Traktowałam te sprawy jako część życia towarzyskiego. Z Danielem jest inaczej: on jest potwornie wrażliwy i drażliwy - jako mężczyzna i jako Żyd. Jeżeli sobie wezmę kogoś takiego na głowę, to już trzeba z nim siedzieć na serio i być w porządku. Ale czy ja się do tego nadaję?? - Czy nie bardziej jest w moim stylu niezobowiązujący związek z Andrzejem Wajdą, gdzie każdy robi, co chce, a zawsze jest do kogo gębę otworzyć? I nic od siebie nie chcemy, i można hulać, i zachowywać styl i niezależność?” 54.

Wspólne mieszkanie z Frykowskim, Przyborą czy Jesionką błyskawicznie pozbawiało Agnieszkę złudzeń wobec partnerów, ale związek z Passentem miał trwać najdłużej z dotychczasowych. Co więcej, pan Daniel okazał się jedynym mężczyzną, z którym Agnieszka zdecydowała się na dziecko.

Poetka miała już wówczas własny dom. Pod wpływem przyjaciela z lat szkolnych, Jana Borkowskiego (dziennikarza radiowej Trójki, późniejszego współzałożyciela Fundacji Okularnicy), zdecydowała się zakupić niewielki segment w Falenicy. Tam też zamieszkała razem z Passentem, ale chyba nie czuła się do końca szczęśliwa.

„Odwiedziłam ich - wspominała Zofia Góralczyk, ilustratorka książek Osieckiej. - Był dom, był stół, tylko ona czuła się tam sublokatorką. Potrzebowała ciągle dokądś wyjechać, czegoś poszukać. Z podróży przysyłała dziesiątki karteczek, przywoziła prezenciki. To był jej sposób na utrzymywanie przyjaźni, ale tak naprawdę nic z tego nie wynikało”.

Passent wnosił jednak w życie Osieckiej konieczne elementy ładu i porządku. Orientował się wprawdzie, że specjalnie nie ceniła takich wartości, „jak dom, ognisko domowe, rodzina, jak majteczki przeprane, drugie śniadanie do szkoły zawinięte”, to jednak

sprawdzał się w codziennym życiu. Nieoceniony okazywał się również w kłopotliwych sytuacjach towarzyskich. Bezceremonialnie wkraczał do jej pokoju, gdzie do rana przesiadywali przyjaciele Agnieszki, stwierdzając, „że gospodyni już nacieszyła się” ich obecnością, i machał w kierunku drzwi. Osiecka przyznawała, że jego zachowanie bardzo ułatwiało jej życie.

„Jest człowiekiem akuratnym o mieszczańskich upodobaniach - uważał Jerzy Urban. - Osiecka stanowiła w jego życiu huragan. Mężnie bronił siebie i statecznej egzystencji. Jeżeli rano zastawał w mieszkaniu pijanego Olbrychskiego, brał odkurzaczy i odkurzał artystę. Jeśli Maryla Rodowicz chciała się przespacerować z żywą świnią, jechał po świnię” 55.

Agnieszka i Daniel nigdy się nie pobrali, a po latach Passent uznał ich związek za „pożar we krwi”, a nie stateczną egzystencję. Oboje nie dążyli zresztą do legalizacji, wiedząc, że nie jest to układ dożywotni. Pierwsze problemy pojawiły się, gdy w lutym 1974 roku na świat przyszła ich córka Agata.

Po urodzinach córki Osiecka „wyglądała jak kupka nieszczęścia”, „a płacz dziecka wprawiał ją w panikę”. Daniel zaś sprawdzał się w nowej roli, „kwitł, zajmował się marchewką i mleczkiem”. To faktycznie on dbał o dom i córkę, doskonale wiedząc, że w tych sprawach nie może polegać na partnerce.

„Ja gotowałem - wspominał po latach - sprzątałem, prałem, prasowałem, robiłem wszystko co niańka, bo Agnieszka nie miała żadnych zdolności manualno-kulinarnych” 56.

Mieczysław Rakowski, świetny obserwator, który kilka miesięcy po urodzinach dziecka pojawił się w Falenicy, odnotował, że „Agnieszka wydaje się szczęśliwa”, ale jednak „niezupełnie”. Doskonale wiedział, że „Aga nie jest kobietą, która kiedykolwiek pozwoli na ograniczenie swojej samodzielności” i że z tego powodu „miała i mieć będzie kłopoty z każdym mężczyzną”.

Inna sprawa, że do zwyczajnych kłopotów związanych z wychowaniem niemowlęcia dochodziła jeszcze drobiazgowość Passenta. Agnieszka skarżyła się, że „kiedy zostawi ogryzek na wannie, on trzy dni nie może jej tego zapomnieć”. Uważała, że „z takim człowiekiem łatwo się żyje, ale czasem jest nie do wytrzymania”.

„Lubiłam zawsze - wspominała po latach - i do dziś lubię [...] jego solidność w życiu rodzinnym. Był niesłychanie oddany mnie i Agacie. A ja z natury jestem cyganeryjna - nigdy nic poza sztuką nie chciałam robić. Jestem artystką od stóp do głów! Nie udawałam, że uwielbiam tłuc kotlety w żółtym fartuszk w niebieską kratę. Nigdy nie powiesiłam sobie sama firanek. Umieję tylko robić kisiel i przetwory na zimę” 57.

Ludzie utalentowani, „dotknięci palcem Boga”, tworzą z reguły związki dysfunkcyjne, dalekie od normalności. Domowe piekło przeżywała rodzina Adama Mickiewicza, tragedią zakończyło się pierwsze małżeństwo Stanisława Przybyszewskiego, szczęścia nie zaznały Nałkowska i Dąbrowska. Agnieszka chciała mieć rodzinę i „jednocześnie żyć jak Piotr Skrzynecki”. Być partnerką i matką, ale pozostać „wolnym ptakiem”.

Na wszystko nakładały się jeszcze jej specyficzne uwarunkowania psychiczne. Artystka nigdy nie potrafiła zadowolić się osiągnięciem celu, dla niej najważniejsze było samo dążenie do szczęścia. A kiedy je osiągała, niebawem przychodziło znudzenie i pustka.

Ale nie płaczmy, bo ale nie płaczmy, bo nie o to chodzi, by złowić króliczka, ale by gonić go, ale by gonić go, ale by gonić go!

Tekst piosenki Skaldów autorstwa Agnieszki jest chyba najlepszym podsumowaniem jej filozofii życiowej. Osiecka szukała szczęścia, dążyła do niego, ale rozumiała je inaczej niż przeciętni ludzie.

„[...] Muszę powiedzieć - twierdził Passent - że Agnieszka, która jest osobą bardzo delikatną i wrażliwą, dzięki czemu są możliwe te piosenki, wiersze i książki, jest jednocześnie osobą bardzo zdecydowaną i kategoryczną, kiedy zmierza do jakiegoś celu. Zarówno kiedy celem jest opublikowanie wiersza, wystawienie musicalu czy też miłość, czy też podróż - wówczas ona nagle zmienia się w czołg, który miażdży wszystko po drodze”.

Krach nastąpił wkrótce po wyjeździe rodziny do USA. W życiu Agnieszki był już Zbigniew Mentzel i Osiecka postanowiła porzucić Daniela i dziecko i wrócić do Polski. Odwiedziła wówczas Alinę Janowską, z którą była zaprzyjaźniona.

„Kiedy siadłyśmy do obiadu, ona się rozplakała. Po raz pierwszy zobaczyłam zupełnie inną Agnieszkę, jakiej dotąd nie znałam. Zamiast zawsze opanowanej, dążącej do dowcipnej pointy, miałam przed sobą kobietę załamana, rozedrgana, wyznającą przez łzy, że nie może żyć bez nowej miłości jej życia - bez Zbyszka. Nie udawała, że to nie on, ale ona zwariowała z miłości. Była w moim domu, zbudowanym na solidnych fundamentach rodzinnych. Rozpaczała, że jej dom się rozlatuje. Nie widziała już żadnych możliwości ratunku. A już najbardziej dramatycznie zabrzmiało jej wyznanie, że Agatkę zostawi Passentowi”.

## BIAŁA BLUZKA

Szczególną pozycję w dorobku artystycznym Agnieszki zajmuje Biała bluzka, która w interpretacji Krystyny Jandy (reżyseria Magdy Umer) odniosła niebywały sukces. Na widowni przeważały dziewczęta, niektóre z nich oglądały spektakl wielokrotnie, a najbardziej zagorzałe fanki jeździły za nim po całej Polsce.

„Trafiłyśmy chyba - Agnieszka, Magda i ja - w stan ducha młodego pokolenia - uważała Krystyna Janda - pewnej formacji, która nie widziała przed sobą żadnych perspektyw. Dziewczyny identyfikowały się z tamtą z Białej bluzki. Ich depresja nie miała tła alkoholowego, lecz stan niezgody i wyobcowania znały doskonale”.

Andrzej Wajda uważał monodram za tekst wyjątkowo kobiecy, napisany bez większej logiki. Uznał jednak, że gdyby zastosować twarde reguły reżyserii, to Biała bluzka wiele by straciła, ponieważ wszystkie teksty Osieckiej były „urocze przez to”, że były „tak straszliwie niekonwencjonalne”. Pomimo to odradzał Jandzie udział w całym przedsięwzięciu, na szczęście aktorka (po raz pierwszy w życiu) nie posłuchała Wajdy.

„Moją małą powieść pod tytułem Biała bluzka zaczęłam pisać w 1983 roku - wspominała Agnieszka. - Jej bohaterką była dziewczyna, która za dużo chce, można powiedzieć: dzika dziewczyna. Jest w stanie żyć tylko w ogniu. Jeżeli zabawa, to szalona, jeżeli miłość, to olbrzymia, jeżeli przyszłość, to fantastyczna”.

To zapewne najbardziej osobisty z utworów Osieckiej. Nie tylko wprowadziła szczegóły (często intymne) z życia znajomych, ale również napisała wiele o sobie. To wnikliwy obraz walki z uzależnieniem, które znała z autopsji.



W czasach PRL alkohol lał się strumieniami, a nasze elity artystyczne nie były wyjątkiem. Agnieszka nigdy nie unikała trunków, uchodziła zresztą za doskonałego kompana.

„Osiecka jest najciekawszym towarzystwem - pisał Jerzy Urban - jakie można mieć w Warszawie. Kiedy mówi, wszystko w jej opowieściach ma stosowne proporcje, kulminację, pointę i starannie rozmieszczone olśniewające spostrzeżenia. Osiecka jakby pisze sobie w myślach rozmowy, obmyśla status i zakres kontaktów z ludźmi, reżyseruje klimat spotkań. Jest intensywna w obcowaniu z ludźmi. Życie towarzyskie też wymaga umiejętności, obmyślenia i fachowych zdolności” 58.

Kłopoty pojawiały się, gdy poetka nadużyła alkoholu. „Cały ten kunszt rozmowy i obcowania wali się - pisał Urban - kiedy Osiecka wypije za dużo. [...] Jej opowieść, relacja, tok myśli wyrывa się z literackiej konstrukcji, rozwałkowuje się w przód i na boki, ciągnie się i ciągnie w nieskończoność, donikąd” 59.

Przez wiele lat Agnieszka kontrolowała jednak sytuację. Nie unikała trunków, ale nie przeszkadzały jej w prowadzeniu normalnego życia. Inna sprawa, że właściwie dopiero w Białej bluzce przyznała się do roli alkoholu w swoim życiu, a przejmujący opis delirium pozostawał na długo w pamięci:

„Jeden mój kolega miał taką historię, że mu owad wyszedł z bursztynu, rozprostował skrzydełka i wychleptał całą wódkę ze szklanki. Następnie usiadł wygodnie w fotelu, zapalił i opowiedział historię swego życia, trzy tysiące dwieście lat! Pili obaj do godziny policyjnej i dłużej”.

O problemach matki bez specjalnych zahamowań opowiadała Agata Passent:

„Jej choroba alkoholowa postępowała powoli. Zaczęło się od tego, że była osobą towarzyską. Nie lubiła samotności. Ciągłe się bawiła, wychodziła do znajomych. I często - alkohol. Bo w Polsce nie można się przecież bawić przy soku czy herbacie. Potem przez całe lata była na okrągło w stanie podchmielenia. Długo potrafiła to kontrolować, w końcu kontrolę straciła”.

Dla Agaty szczególnie bolesne były te dni, kiedy matka spotykała się z nią, będąc pod wpływem alkoholu. Wiedziała, że matka bardzo pragnęła tych spotkań, ale choroba zwyciężała:

„Mama się mnie bała, bo miała poczucie winy - mówiła Agata. - Ja ją w tym poczuciu utwierdzałam. Bo ją ganiłam, kiedy się upiła. Opierdalałam ją, wrzeszczałam. Próbowalam szantażu. Byłyśmy umówione, spóźniała się, poszłam tam, gdzie piła, i powiedziałam: »Pijana masz się do mnie nie odzywać«. Trzeźwa czy nie, dzwoniła, błagała” 60.

Alkohol pozostał w życiu artystki niemal do końca, szczególnie wiele było go podczas śmiertelnej choroby Marii Osieckiej. Agnieszka potrafiła pisać na rauszu znakomite teksty, można zresztą odnieść wrażenie, że procenty pomagały jej w natchnieniu. Stałą siedzibą artystki w ostatnich latach życia była kawiarnia Sax przy ulicy Francuskiej.

„Agnieszeczka zrobiła z Saksy instytucję - wspominał towarzysz jej alkoholowych eskapad z Saskiej Kępy. - Miała tu swoje krzesło, na dole, tyłem do drzwi. Przychodziła o ósmej rano. Jeśli chodzi o alkohol, była bezpruderyjna. Rano zamawiała »dzień dobry« - czyli gin z tonikiem, »szarlotkę« - żubrówkę z sokiem jabłkowym lub »haczyka« - to cola z winiakiem na sam początek, żeby się zahaczyć. Ale nie używała pijackiego slangu, to była prawdziwa dama. Piła, lecz myślała »chlujnie«. Szybko trzeźwiała. Pisanie piosenek nie sprawiało jej najmniejszych trudności: brała pięćdziesiątkę, wyjmowała serwetkę. Zanim kieliszek był pusty, miała już piosenkę - szlagier. W Saksie na serwetkach nikt nic nie zapisywał, przez szacunek dla Agusi. Piła, bo miała za dużo czasu. Bo szukała normalności, domu. Domem był Sax, a normalnością ludzie pijący tak samo. Wielu z nas stworzyła, dowartościowała; przyjaźń z nią stanowiła najważniejszy element biografii. Dzięki Agnieszce stawaliśmy się lepsi” 61.

Agata miała na ten temat własne zdanie, nienawidziła Saksy i znajomych matki:

„Przychodziłam ją stamtąd wyciągać. W końcu przestałam, bo nie miało to sensu. Nie chciała być wyciągnięta. Wystarczyła wymiana spojrzeń i wiedziałam, że sytuacja jest zaawansowana. Ktoś tam ją potem doprowadzał, bo wśród alkoholików jest cała siatka wzajemnej pomocy i solidarności” 62.

Agnieszka Osiecka wpisała się w długi ciąg luminarzy polskiej kultury mających problemy z alkoholem. Trunków nadużywali: Przybyszewski, Boy, Tuwim, Wierzyński, Lechoń czy Miłosz. Agnieszka była kobietą i matką, inaczej zatem ją odbierano. Ale przecież już przed wiekami Jan Kochanowski pytał retorycznie: „Czy widział kto kiedy poetę trzeźwego?”. Sam sobie odpowiadał, że pewnie „nie napisze taki nic dobrego”. I być może miał rację.

## AGATA

„Nie mogłam zrozumieć - dziwiła się Zuzanna Łapicka-Olbrychska - że Agnieszka zostawiła rodzinę i żyje samotnie jak facet, a jednocześnie ogromną miłością darzy nasze dzieci” 63.

Porzucenie dziecka nie mogło spotkać się ze zrozumieniem otoczenia, chociaż Osiecka wiedziała, że Passent zapewni Agacie znakomitą opiekę. Nie miało również większego znaczenia, że artystka nigdy nie odnajdywała się w domowych obowiązkach, liczył się tylko fakt, że Agata została z ojcem. Chociaż jednak na swój nierealny sposób Osiecka czuła się związana z córką.

„Agnieszka kochała Agatę nieprzytomnie - uważała Magda Umer. - Mogła godzinami o niej opowiadać, jaka Agata jest genialna, co teraz robi, co studiuje, jakiego wspaniałego ma narzeczonego, jaka jest piękna. Pokazywała jej tysiące zdjęć. Ona o tym opowiadała, a Agata nawet nie wiedziała, że tak jest. Agnieszka bardzo cierpiała nad tym, że nie jest najlepszą matką, i wiedziała o tym. Ale ciągle próbowała, chciała być lepsza. To był jej wielki problem” 64.

Rozpad związku z Passentem nie spowodował natomiast żadnych problemów finansowych. Niepotrzebne stało się pośrednictwo prawnika, Agnieszka okazała się niezwykle hojną matką. Pozostawiła również Passentowi wspólny segment na Żoliborzu (wybudowany w 1976 roku), stwierdzając, że jest to dom Agaty.

Stosunki pomiędzy całą trójką ułożyły się bardziej niż poprawnie, „Agnieszka często odbierała Agatę ze szkoły”, co było ważne ze względu na liczne zajęcia pozalekcyjne dziewczynki.

„Agnieszka [...] dbała o rozwój Agaty - uważał Passent. - Nawet po naszym rozstaniu regularnie, na zmianę z moją żoną Martą [drugą żoną - S.K.] wozila ją na treningi tenisowe. Zabierała ją do różnych ludzi, podsuwała jej książeczki, dosyć wcześnie zaczęła ją zabierać w podróże zagraniczne: do Rzymu, do Wenecji. Chciała jej wynagrodzić to, że na co dzień z nią nie jest, że się nią nie zajmuje” 65.

W pewnym sensie powtarzały się relacje pomiędzy Osiecką a jej matką, chociaż w ostrzejszej formie. Agata po latach miała do matki pretensje „o nieodrabianie z nią lekcji i niekładzenie jej do łóżka”. Nigdy nie usłyszała od niej, że „ugotuje jej zupę”, a jak będzie chciała, „to sobie pogadają”. Córka „dowiadywała się od znajomych” o „nieskończonej miłości” matki, uważała jednak, że tak naprawdę to „najbardziej kręciło ją pisanie i faceci”.

Agatę drażniła jeszcze jedna sprawa. Wielokrotnie umawiała się z matką, mając nadzieję na rozmowę w cztery oczy, ale Agnieszka zjawiała się w towarzystwie. Po latach doceniła, że w ten sposób poznała Seweryna Krajewskiego czy Jerzego Pilcha, ale wówczas potrzebowała czegoś innego. Agnieszka jednak tego nie rozumiała.

Osiecka odeszła od rodziny, kiedy Agata miała sześć lat. Córka rzeczywiście niewiele wiedziała o jej wcześniejszym życiu, a o tym, że kiedyś była mężatką, dowiedziała się dopiero podczas studiów. Od ojca zawsze słyszała mocno złagodzoną wersję jej biografii, Passent tłumaczył, że po prostu nie był dla niej właściwą osobą.

„[...] Tata przyjął inną taktykę: stawiał mamę na piedestał - mówiła Agata. - Uważał, że skoro widuję ją w złym stanie, to od niego dla równowagi powinnam słyszeć o niej same dobre rzeczy. A mi to nie pomagało, bo nadal nic nie rozumiałam. »Skoro taka wspaniała, to dlaczego woli alkohol niż wyjazd ze mną na Mazury«. I znowu: »Pewnie to moja wina, ona wspaniała, a ja beznadziejna«, 66.

Osiecka nigdy właściwie nie potrafiła rozmawiać z córką, nawet jej korespondencja z dzieckiem sprawiała dziwne wrażenie. „Opisywała Londyn, ale nie jak się czuje w Londynie”, opowiadała o balangach, unikając informacji o sobie. Przebywając w USA, przysłała Agacie grubą kopertę, niestety było w niej tylko jedno zdanie napisane na serwetce, a resztę stanowiły zdjęcia i wycinki prasowe.

Do Agaty dotarło wreszcie, że jej matka właściwie „nie do końca była zainteresowana macierzyństwem”. Owszem, kochała córkę, ale „miała swoje priorytety. Uwielbiała życie w kawiarni, picie wódeczki, snucie opowieści”.

„[...] Pamiętam, że następowało odwrócenie ról rodzic - dziecko. Sądziłam, że jako nastolatka to raczej ja będę szaleć do nocy. A tu wieczór, ja jestem pierwsza w pokoju w pensjonacie, a mama baluje, wraca podpita. Czułam się potwornie samotna. Widziałam jej chorobę, widziałam problem, który stał się też moim problemem, bo nie potrafiłam wyzbyć się oczekiwań wobec mamy. Nie umiałam patrzeć na nią jak na osobę chorą” 67.

Agnieszka nie chciała się leczyć, zawsze zresztą unikała poważnych rozmów. Zamiast osobistego listu z „kolejnej podróży wysyłała wycinek z gazety, że jakiś Chińczyk na parasolu w czasie wichury przeleciał dwa kilometry”. I taka już pozostała, nigdy nie „potrafiła się zdobyć na szczerość”. Wprawdzie Passent zawsze jej bronił, twierdząc, że „może pije, ale ma inne zalety”, ale Agaty to już nie zadowalało. A pan Daniel pozostawał lojalny.

## APETYT NA ŚMIERĆ

Rozpad związku z Passentem nikogo specjalnie nie zaskoczył, układ ten trwał i tak długo. Osiecka z reguły szybko nużyła się osobą partnera, a Passent miał zdecydowanie odmienną od niej konstrukcję psychiczną.

„Wystarczy spojrzeć na te jej zakochania - twierdziła Zofia Hertz. - Nieraz mówiliśmy o niej »Nasza Messalina«. Agnieszka potrafiła zakochać się w takim mężczyźnie, w którym żadna inna by się nie zakochała. Ale taka już była. Bardzo często śmieliśmy się z jej tempa zmieniania »ukochanych«. Do Maisons-Laffitte przychodziła polska prasa. Otwierałam »Przekrój«, jeśli był tam nowy wiersz Agnieszki - czytałam go, a potem bardzo często szłam do Zygmunta i mówiłam:

- Słuchaj, Agnieszka już z tym a tym zerwała.

- Skąd wiesz?

- Przeczytaj ten wiersz. Pożegnalny.

Ona każdego mężczyznę żegnała wierszem” 68.

Tym razem miało być inaczej. Zbigniew Mentzel był młodszy od Agnieszki o piętnaście lat i wydaje się, że poetka zupełnie straciła dla niego głowę. Pracował w redakcji „Polityki”, był bardzo lubiany (lubiła go również Agata Passent), uważano go „za fantastycznego, młodego człowieka”. Związek z Osiecką niósł jednak pewne obciążenia, partnerka była przecież gwiazdą, on tylko jej asystował. Na dłuższą metę było to trudne do zaakceptowania dla młodego, ambitnego mężczyzny.

„Gdziekolwiek pojawiał się towarzysko - wspominała Magda Czapińska - był tylko »jakimś facetem, który przyszedł z Osiecką«. Zwykle stał z boku i patrzył na zamieszanie wokół niej. Raz zdarzyło mi się stać dosyć długo obok niego i wtedy zrozumiałam, jak kiepsko musiał czuć się w tej roli. A to przecież trwało chyba kilkanaście lat” 69.

Związek Osieckiej z Mentzlem jest stosunkowo mało znany, a świadkowie, wspominając całą sprawę, z reguły pomijają jego nazwisko. A był to człowiek, który towarzyszył Agnieszce najdłużej ze wszystkich mężczyzn jej życia. I to on był stroną zrywającą.

„Jak kocham, to do końca - mówiła Osiecka. - Jak potępieniec kochałam przez czternaście lat jednego Zbyszka. Byłam już dorosła, miałam za sobą dorobek, jakąś popularność, jakąś osobowość, która się ludziom podoba. Ja dla Zbyszka zrobiłabym wszystko. I wszystko bym zostawiła. Niestety, nie miałam szansy się poświęcić”.

Cztery lata po zerwaniu powiedziała, że gdyby Mentzel poprosił ją o „podwiezienie do Uzbekistanu, natychmiast by pojechała”. To zastanawiające wyznanie, sugerujące, że był jedynym mężczyzną od czasów Hłaski, który nie dał się jej zdominować. Czy dlatego darzyła go takim przywiązaniem? Tego zapewne nigdy się już nie dowiemy, inna sprawa, że jego zachowanie czasami nie wyglądało zbyt elegancko. Podobno już po rozstaniu opowiadał, że właściwie nigdy go nic z Osiecką nie łączyło. Trudno to raczej nazwać postępowaniem godnym mężczyzny.

Jedną z najbardziej popularnych książek Agnieszki Szpetni czterdziestoletni, dedykowana jest Mentzlowi. Nie jest to jednak klasyczna dedykacja, w pierwszym wydaniu książki z 1985 roku autorka umieściła jego zdjęcie pod numerem jeden w pierwszej wkładce zdjęciowej i dodała znamienne tekst:

„Zaczęłam pisać Szpetnych jako opowieść dla jednego człowieka, dla chłopca, który w czasach odwilży miał sześć lat. Jego pokolenie przyglądało się nam krytycznie, ale było nas ciekawe”.

Przez ostatnie lata życia poetka mieszkała razem z matką, co nie było najlepszym rozwiązaniem dla obu stron. Pani Maria zawsze niepokoiła się losem córki, a z wiekiem nabrała niezdrowej ciekawości. Otwierała jej korespondencję, podsłuchiwała rozmowy telefoniczne. Potrafiła wzbudzać w Agnieszce nieustanne poczucie winy, córka czuła się od niej zależna. Często się kłóciły, ale tak naprawdę nie potrafiły żyć bez siebie.

Ważny dla Osieckiej okazał się również powrót na Saską Kępę. To zawsze było „jej miejsce na ziemi”, z tą dzielnicą czuła się najbardziej związana, tutaj miała swoje ulubione miejsca, i nie był to tylko Sax przy Francuskiej; dziennikarzom najczęściej wyznaczała spotkania w barze Espresso przy rondzie Waszyngtona. Nie „przeszkadzało jej mało kameralne wnętrza kawiarni i hałas dochodzący z dość ruchliwej ulicy” 70.

Pomimo rozstania i trudnych relacji z córką, oparciem dla Osieckiej wciąż był Daniel Passent. Z zadowoleniem mawiała, że „do Daniela i jego obecnej żony zawsze może iść na kolację”. Miała doskonałe kontakty z Łukaszem, pasierbem Passenta i przyszywanym bratem Agaty. Uwzględniła go nawet w swoim testamencie.

Maria Osiecka zmarła na chorobę nowotworową w 1994 roku. W tym czasie rozpadł się związek Agnieszki z Mentzlem, rok wcześniej w wypadku samochodowym zginął Andrzej Jarecki, zmarła jej przyjaciółka Amy Navarro. Została sama w pustym mieszkaniu matki, nazywając je norą. Ale do końca pozostała wierna sobie, dalej była lojalną przyjaciółką, chociaż pewne klimaty na zawsze pozostały jej obce. Gdy Ewa Lejman złamała nogę, natychmiast pojawiła się z pomocą i na swój trochę nieudolny sposób zaopiekowała się przyjaciółką.

„Wiesz, ostatnio zbieram się w sobie - mówiła Osiecka. - Jak zauważyłaś, zaczęłam nawet myć naczynia - tu chciałam zaprotestować, a Agnieszka dokończyła - ale przy trzeciej filiżance okazało się, że nie mam tyle cierpliwości” 71.

Podczas pobytu u Ewy Lejman w Orłowie poznała ostatniego mężczyznę swojego życia, André Hübnera-Ochodlo.

Niemiecki reżyser, aktor i pieśniarz zasłynął jako popularyzator kultury jidysz, a w 1989 roku założył w Sopocie teatr Atelier. Fascynowały go problemy przenikania kultur, bliskie (ze względu na pochodzenie ojca) również Osieckiej. Ponadto okazało się, że oboje wysoko cenią twórczość Isaaca Singera.

„Spotkała oddanego sobie człowieka. Narodziła się pomiędzy nimi wzruszająca zażyłość. Była wprost rozczulona młodzieńczymi żartami Andrzejka, jak go nazywała. Pchwałała jego twórcze wybory, podziwiała niezwykle zorganizowanie” 72.

Osiecka promowała sopocką scenę, świadomie używała swojego nazwiska, godzinami przesiadywała w teatrze, czuła się szczęśliwa w gronie ludzi młodszych od niej o całe pokolenie. Pomagała w garderobie, przewoziła własnym samochodem rzeczy dla teatru, przywiozła z USA „dwie walizy pełne rekwizytów”. Kupiła również sprzęt nagłaśniający, bez jej wsparcia scena zapewne by nie przetrwała.

„Torowała nam drogę do sponsorów - wspominał Ochodlo - często sama nas sponsorowała, po prostu dofinansowywała teatr, który dzięki niej mógł pokonywać trudności. Była współtwórczynią naszego teatru. Rozdawała nam całą siebie” 73.

André Hübner-Ochodlo był młodszy od Agnieszki o dwadzieścia siedem lat, co nie przeszkodziło jednak w gorącej przyjaźni i możliwe, że w czymś więcej. Nie mogli żyć bez siebie, rozmawiali bez końca, a gdy byli oddaleni, co wieczór rozmawiali telefonicznie, aż do zaśnięcia jednego z nich.

„No i jeszcze ten André - zauważyła Magda Czapińska. - Chyba prezent od Boga na jesień życia. Jeden z niewielu mężczyzn, który darzył ją bezinteresowną przyjaźnią. Ona przy nim znowu rozkwitła. To chyba nie był ktoś, kto przyczepił się do »słynnej Osieckiej«.



Zapytałam kiedyś Magdę Umer:

- Czy on jest dla niej dobry?

- Tak, on JEST dla niej dobry - powiedziała” 74.

Osiecka przygotowała dla Atelier adaptację powieści Wrogowie Isaaca Singera (pod tytułem Wilki), muzykę napisał Zygmunt Konieczny. Dzięki współpracy z Ochodlo wydawało się jej chwilami, że powróciły czasy STS-u. Niewielka scena wprost na plaży (teatr mieścił się w dawnej stolarni sopockiego Grand Hotelu), widzowie przesiadujący w Atelier dłużej niż trwało przedstawienie oraz niekończące się dyskusje. I grupa młodych zapaleńców uważających, że współtworzą coś ważnego, coś jedyne w swoim rodzaju.

„Nigdy nie zapomnę pierwszego czytania sztuki Wilki - opowiadała Ewa Lejman. - André zaprosił do siebie wszystkich aktorów, którzy mieli w tym zagrać. Moja noga się jeszcze nie zrosła. Nie chciałam iść, ale Agnieszka uparła się, że mnie zabierze. W mieszkaniu było mnóstwo dymu papierosowego, alkohol. André, ze swoim charakterystycznym niemieckim akcentem, czytał wszystkie role, również kobiece, co szczególnie w scenach miłosnych dawało niesamowity efekt. Potem lekko pijany Marek Richter uparł się, że zanieś mnie do samochodu. Panował totalny rozgardiasz. A Agnieszka siedziała zachwycona” 75.

Tryb życia, jaki przez wiele lat prowadziła Osiecka, musiał w końcu odbić się na jej zdrowiu, niestety zbyt późno zgłosiła się do specjalisty. Wiedziała, że zapadła na chorobę nowotworową i że nie zostało jej już zbyt wiele czasu. Ale do końca pozostała sobą.

„Niektóre swoje słabości odkrywała jedynie przed moim tatą - wspominała Agata Passent. - Nie wstydziła się przed nim ani swojej starości, ani swojej choroby. Przed nim nie musiała nikogo udawać. W ciężkich chwilach nie dzwoniła do nikogo z cyganerii, tylko do mojego ojca” 76.

Rzeczywiście, przed większością znajomych udało jej się ukrywać symptomy choroby, a nawet efekty chemioterapii. Ostatni rok „przeżyła brawurowo”, tak jakby chciała oszukać śmierć. Dopóki było to możliwe, współpracowała z Atelier, który stał się treścią jej

życia.

„Gdy co czwartek - mówiła Ewa Lejman - musiała zgłaszać się w tej, jak mówiła, koszmarnej klinice, gdzie dostawała ten piekielny zastrzyk, przyjeżdżała do nas w środę rano, żeby wieczorem znów wsiąść w pociąg. Nigdy nikogo nie obarczyła swoim nieszczęściem, choć mogła tak zwyczajnie powiedzieć »słuchaj, już nie wytrzymuję« albo się rozplakać. Ale ona najwyżej mówiła tylko: »złe się czuję«, i szła na górę do swojego pokoju” 77.

Osiecka była współtwórcą ostatniego programu, który pojawił się na scenie za jej życia (Apetyt na śmierć). Napisała do niego tekst kołysanki „na wieczne zaśnięcie”. Była również autorką songów i przekładu Do dna Ludmiły Pietruszewskiej, dała także Ochodle swoją ostatnią sztukę Darcie pierza. Premiera odbyła się już po jej śmierci z Teresą Budzisz-Krzyżanowską i Markiem Richterem. Reżyserował oczywiście André.

„Spotkanie z Agnieszką Osiecką wyostrzyło moje spojrzenie na sprawy istotne - mówił Ochodlo wkrótce po jej śmierci. - Inaczej mówiąc - miałem swój przyspieszony kurs życia. Dzięki Agnieszce chociaż dotknąłem takich pojęć, jak dobroć, tolerancja, strach, nieśmiałość, samotność. Co to jest miłość do wszystkiego, co żyje? Nie wiem. Ale wiem, że Agnieszka tak kochała. I przez to jednak coś wiem. Ten ładunek może dać siły, aby przejść przez to życie przyzwoicie” 78.

Osiecka do końca życia starała się pracować, nie poddawać się chorobie. Znajomi bywali zaskoczeni, widując ją w niezłej formie (plotki jednak krążyły w środowisku), chociaż były to już tylko pozory.

„Zaprosiłem ją do siebie - wspominał Seweryn Krajewski - bo miałem trzy melodie, do których chciałem, żeby Agnieszka napisała teksty. Dochodziły mnie słuchy, że Agnieszka jest ciężko chora, ale kiedy przyjechała, wydawało mi się, że jest w fantastycznej formie. Podczas naszego spotkania była wesoła, śmiała się, żartowała. Powiedziała, że moje propozycje podobają się jej, wzięła kasetę i poszła. Tydzień później umarła” 79.

Śmierć przyszła po Agnieszkę Osiecką 7 marca 1997 roku. Pięć dni wcześniej, w niedzielę, trafiła do szpitala, zawiozła ją tam Agata wraz ze swoim przyszywanym bratem Łukaszem. Do końca walczyła, nie chciała nawet usiąść na szpitalnym wózku.

„Kiedy traciła przytomność - opowiadała Agata Passent - powiedziała do mnie ostatnie słowa: »Do dupy«. A do mojego przyrodniego brata: »Nie podobałoby ci się to«. Ale przygotowała sobie grób na Powązkach. W domu zostawiła kartkę: »Wszystkie dokumenty są w tym pudełku«. Nagrała na sekretarkę wiadomość dla Andrzeja” 80.

Ochodło odsłuchał informację i niezwłocznie pojawił się w szpitalu. Pozostał u boku Osieckiej przez ostatnie trzy dni, do samego końca. Nie wiadomo, czy zdawała sobie sprawę z jego obecności.

Trudno wyobrazić sobie polską kulturę dwudziestego stulecia bez tekstów Agnieszki Osieckiej. Była autorką ponad dwóch tysięcy (!) piosenek, ponad trzydziestu utworów scenicznych i widowisk, a jej teksty funkcjonują w świadomości przeciętnego Polaka do dzisiaj. To ona również wymyśliła słynny slogan reklamowy „Coca-cola to jest to!”. Docenił go nawet znany ze złośliwości Jerzy Urban. Kilka lat przed jej śmiercią napisał bowiem krótki tekst, który lepiej podsumowuje rolę Agnieszki w naszym świecie niż całe tomy opracowań czy wspomnień:

„Dzięki temu, że jej poezja jest śpiewana, kształtuje ona wyobraźnię, smak, wrażliwość i nastroje milionów. Przez to jednak, że jest śpiewana, opiniotwórcy od nadawania poetom rang, klasyfikują ją jako poetessę poślednią. To nie żaden Miłosz, tylko Osiecka wzrusza, to ona milionom podaje ton, to ona stwarza klimat rozmów, to jej słowotwórstwo narzuca się kolejnym pokoleniom, to jej zwrotki natrętnie wczepiają się w pamięć, to ona spisuje te nastroje, którymi emitują kolejne generacje młodych, to ona w chwili niepewności pociesza, że życie jest balem. [...] Gdyby nie było Osieckiej, literatura nie miałaby ani pierwszego, ani drugiego, bo po prostu żadnego obiegu” 81.

Agnieszka nigdy nie żałowała swoich decyzji, zawsze była sobą, zawsze szukała szczęścia, choć chyba nie potrafiła go znaleźć.

Że nie dałaś mi mamó zielonookich snów.

Nie, nie żałuję.

Że nie znałam klejnotów ni koronkowych słów.

Nie żałuję.

Że nie mówiłaś mi, jak szczęście kraść spod lady, i nie uczyłaś mnie życiowej maskarady.

Pieszczoty szarej tych umęczonych dni, nie żal mi, nie żal mi.

Nie, nie żałuję.

Przeciwnie, bardzo ci dziękuję, kochana, żeś mi odejść pozwoliła, po to, bym żyła, tak jak żyłam.

Że nie dałaś mi szczęścia, pierścionka ani psa.

Nie żałuję.

Że nie dzwonisz po nocach: kochanie, tak to ja.

Nie żałuję.

Że nie załatwisz mi posady sekretarki, i że nie noszę twojej szarej marynarki.

Że patrzysz na mnie jak teatralny widz, to nic, to nic.

Nie, nie żałuję.

Przeciwnie, bardzo ci dziękuję, kochanie, za to, że jesteś królem karo, że jesteś zbrodnią mą i karą.

Że w tym kraju przeżyłam tych parę trudnych lat.

Nie żałuję.

Że na koniec się dowiem: ot, tak się toczy świat.

Nie żałuję.

Że nie załatwią mi urlopu od pogardy, i że nie zwrócą mi uśmiechu jak kokardy.

Pieszczoty szarej tych udręczonych dni, nie żal mi, nie żal mi.

Nie, nie żałuję.

Przeciwnie, bardzo ci dziękuję, mój kraju, za jakiś czwartek, jakiś piątek, jakiś wtorek, i za nadziei cały worek.

Nie, nie żałuję.

Przeciwnie, bardzo ci dziękuję, za to, że jesteś moim krajem, że jesteś piekłem mym i rajem.

Nie żałuję.

Nie żałuję.

Nie żałuję.

## **Rozdział III.**

Anioł polskiej estrady

### GENEALOGIA ANNY GERMAN

Miała szansę na wielką światową karierę, ale los zdecydował inaczej. Ciężko ranna w wypadku samochodowym we Włoszech długo walczyła o życie i na estradę powróciła dopiero po blisko trzech latach rehabilitacji. A kiedy odbudowała swoją pozycję, zapadła na śmiertelną chorobę, która w sierpniu 1982 roku zabrała ją z tego świata.

W Polsce Anna German jest już nieco zapomniana, ale do dzisiaj jej twórczość cieszy się niezwykłą popularnością w krajach byłego Związku Radzieckiego. Jej imieniem nazwano asteroidę, jako jedyna Polka ma swoją gwiazdę w Alei Gwiazd przed moskiewską operą. A muzykalność i możliwości wokalne artystki przeszły do legendy.

Artystka była Polką z wyboru, w jej żyłach nie płynęła bowiem nawet kropla polskiej krwi. Pochodziła z mieszanego małżeństwa, urodziła się w Urgenczu w Uzbekistanie na trzy lata przed wybuchem drugiej wojny światowej. Jej ojcem był Niemiec Eugeniusz German, matką Holenderka Irma Martens. Genealogia żadnego artysty epoki PRL nie sprawia tylu kłopotów, co rodowód Anny German.

Stosunkowo najmniej problemów przysparza rodzina matki. Irma Martens była potomkiem holenderskich mennonitów - radykalnej grupy religijnej, która w połowie XVI

stulecia osiedliła się na polskich Żuławach.

Była to intrygująca społeczność. Przyjmowali chrzest w dorosłym wieku, członków wspólnoty obowiązywał zakaz noszenia i używania broni, składania przysięg oraz sprawowania urzędów. Kultywowali etos pracy, na Żuławy przynieśli wysoką kulturę rolną i umiejętność zakładania polderów. Nie asymilowali się z okoliczną ludnością, tworzyli zamkniętą, konserwatywną społeczność żyjącą według własnych reguł. Z innej grupy mennonickiej (pochodzącej z Alzacji) wywodzą się amerykańscy amisze, do dzisiaj odrzucający zdobycze cywilizacji.

Sytuacja żuławskiej wspólnoty uległa zmianie po pierwszym rozbiore Polski. Władze pruskie nie zamierzały tolerować pacyfizmu mennonitów, zmuszono ich więc do emigracji. Większość społeczności wywędrowała do Rosji, wielkim zwolennikiem ich osadnictwa był faworyt carycy Katarzyny II, Grigorij Potiomkin. Właśnie z tej grupy mennonitów pochodziła Irma Martens, matka Anny German.

Irma na świat przysła w listopadzie 1909 roku w holenderskiej kolonii Wielikokniażeskoje w obwodzie kubańskim. Na co dzień rodzina używała języka fryzyjskiego, choć był to teren mieszany etnicznie.

„Kolonia Wielikokniażeskoje - wspominała Irma Martens-Berner - założona przez holenderskich imigrantów lub może urodzonych już w Rosji ich potomków [zdecydowanie potomków - S.K.] stanowiła miejsce, gdzie chętnie osiedlali się także ludzie innych narodowości, zwłaszcza Niemcy, Polacy i Rosjanie. Prawdopodobnie zachęcał ich do tego ład, porządek, dostatek i dobra organizacja życia pracowitych mieszkańców. Jak wiem, podobnie było w innych holenderskich koloniach”<sup>1</sup>.

Irma Martens była osobą dobrze wykształconą, pracowała jako nauczycielka niemieckiego w szkole powszechnej w Czimion w Uzbekistanie. Poznała tam Eugeniusza Germana - księgowego w pobliskiej firmie naftowej.

„Wysoki, przystojny, o szaroniebieskich oczach i ciemnych kędzierzawych włosach. Niegdyś dyrygent chóru. Doskonale mówił po niemiecku, holendersku i rosyjsku. Czytał mnóstwo książek, na pamięć znał niezliczoną ilość wierszy, śpiewał, grał na gitarze i

skrzypcach”<sup>2</sup>.

Biografia ojca Anny przysparza znacznie większych problemów niż życiorys matki. Według relacji Irmy Martens, bezkrytycznie powtarzanej w publikacjach na temat Anny German, Eugeniusz był synem niemieckiego pastora z Łodzi. Przez pewien czas mieszkał w ukraińskim Donbasie, ale obawiając się aresztowania przez NKWD, zbiegł do Uzbekistanu.

Tradycja rodzinna to jednak jedno, a fakty to drugie. Eugeniusz (Eugen) German faktycznie pochodził z niemieckiej rodziny i urodził się w Łodzi. Nie nazywał się jednak German, tylko Hoerman (Hörman), a zmiana pisowni nazwiska spowodowana została jego transliteracją na język rosyjski. Hoermanowie przybyli do Rosji w pierwszej połowie XIX wieku, a na początku następnego stulecia dziadek Eugena przeniósł się z rodziną na zachodnią Syberię, zakładając osadę Hoerman. Miejscowość ta istnieje do dnia dzisiejszego, to Germanowka na wschód od Omska.

Rodzice Eugena (Fryderyk i Anna) pobrali się w Omsku w 1905 roku, a następnie wyjechali do Łodzi. Tam przyszło na świat ich dwóch synów, pobyt w Polsce jednak nie mógł trwać zbyt długo, ponieważ kolejne dzieci (Fryderyk Hoerman miał ich razem dziewięcioro) urodziły się już w głębi Rosji. Dziadek Anny German po rewolucji październikowej został aresztowany przez Sowieców i w 1931 roku zmarł w łagrze w okolicach Archangielska. Represjom poddana została zresztą cała rodzina, rodzeństwo Eugena niemal w komplecie wyładowało w obozach, niemieckie pochodzenie było wystarczającym powodem do aresztowania. Jednym z nielicznych, który przeżył, był Artur Hoerman, który w 1995 roku doczekał się przesiedlenia do Niemiec. Stryj Anny German zmarł szesnaście lat później w Wittenberdze w wieku 91 lat<sup>3</sup>.

Intrygujące są ustalenia dotyczące samego Eugena Germana. Irma Martens, wspominając go, nigdzie nie podała, że był już wcześniej żonaty. Około 1932 roku poślubił niejaką Almę (zapewne Niemkę pochodzącą z Ukrainy), a rok później urodził im się syn, który otrzymał imię Rudolf. Alma również padła ofiarą represji NKWD, wraz z dzieckiem została aresztowana i deportowana do Pawłodaru w Kazachstanie. Przetrwała jednak łagier, żyła do 1977 roku, a jej syn (przyrodni brat Anny German!) zmarł w Kazachstanie osiem lat później<sup>4</sup>. Nie wiadomo, czy nasza piosenkarka w ogóle wiedziała o jego istnieniu. Biorąc pod uwagę przemilczenie Irmy Martens, wydaje się to bardzo wątpliwe.

Irma i Eugen prawdopodobnie nie zawarli związku małżeńskiego. Wprawdzie Irma nazywała partnera mężem, jednak we wspomnieniach nigdzie nie mówi o ślubie ani nie podaje jego daty (zrobiła tak w odniesieniu do drugiego małżeństwa). Zresztą formalizacja związku była niemożliwa, żyła przecież legalna żona Eugena. Chociaż sowieckie prawo dopuszczało rozwód ze skazanym, to przecież Eugen ukrywał się przed aresztowaniem. Nie mógł zatem rozwiązać małżeństwa i poślubić Irmy.

Anna German przysłała na świat w lutym 1936 roku, a dwa lata później dopadli ojca Sowiet. Został aresztowany razem z bratem Irmy, Wilmarem, pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Niemiec. Co prawda Irma twierdziła, że przyczyną nieszczęścia był fakt, że urodził się w Polsce, ale wydaje się to kolejną konfabulacją. Ojciec Eugena i większość rodzeństwa przysłała bowiem na świat w Rosji, co, jak widać, nie uchroniło ich przed represjami.

Eugen został skazany na 10 lat łagru bez prawa korespondencji z rodziną, w rzeczywistości był to sowiecki eufemizm oznaczający karę śmierci. Został rozstrzelany, a Wilmar Martens zmarł w łagrze w 1943 roku.

Irma była wówczas w ciąży z kolejnym dzieckiem (syn Fryderyk zmarł w wieku dwóch lat na szkarlatynę) i nie знаła losów partnera. Przez długie miesiące poszukiwała go w syberyjskich obozach, niebawem zresztą sama zaczęła obawiać się aresztowania. Razem z córką i matką często zmieniały miejsce pobytu, utrzymując się z wykonywania różnych prac. Pracowała nawet (przymusowo) przy budowie dróg, a szczególnie ciężki był okres po niemieckiej inwazji na ZSRR.

„Żyliśmy wówczas w biedzie tak strasznej - wspominała po latach - że odważyłam się ukraść z kolchozowych pól trzcinę na opalenie zimnego pokoju, w którym mieszkaliśmy. Mama piekła wtedy placuszki z otrębów. Mnie udało się wymienić zapas zeszytów - papier był towarem deficytowym - na odzież. Odtąd wojskowy szynel służył mi za płaszcz”<sup>5</sup>.

W kwietniu 1942 roku w Orłowce (Kirgistan) wyszła za mąż za Polaka, Hermana Bernera, z którego osobą wiąże się kolejna niewyjaśniona historia. Zgodnie ze wspomnieniami Irmy mąż wyjechał w 1942 roku, aby wstąpić do polskiej dywizji formowanej w Sielcach. Problem tkwi jednak w tym, że decyzja o utworzeniu dywizji zapadła



dopiero w maju 1943 roku, wcześniej zaś trwała rekrutacja do polskich sił zbrojnych pod dowództwem generała Andersa. Wstąpienie do nich było jedyną szansą dla Polaków na wyrwanie się z sowieckiego piekła, nic jednak nie wiadomo, aby Berner usiłował tam dotrzeć. Armię Andersa formowano na Powołżu, niebawem zresztą przeniesiono ją do Azji Środkowej, a siedzibę sztabu ulokowano w stolicy Uzbekistanu, Taszkencie. Było to stosunkowo blisko (jak na sowieckie warunki) od kirgiskiej Orłowki, ale Berner tam nie trafił. A może podana przez Irnę data była jednak prawdziwa i jej mąż udał się do polskiej armii, tylko nie udało mu się zaciągnąć?

Do armii Andersa nie przyjęto bowiem blisko 300 obywateli polskich narodowości niemieckiej. Imię i nazwisko męża Irny sugerują jego niemieckie pochodzenie, co wyjaśniałoby cały problem. Berner nie zamierzał jednak pozostać w ZSRR i ostatecznie zaciągnął się do prokomunistycznej 1. Dywizji Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki. W jej szeregach wyruszył na front, a w październiku 1943 roku zaginął w bitwie pod Lenino. Nigdy jednoznacznie nie wyjaśniono jego losów.

W każdej bitwie część zabitych uznaje się za zaginionych, są to ofiary, których ciał nigdy nie zidentyfikowano lub nie odnaleziono. Informację o zaginięciu Bernera potwierdzał jego kolega z oddziału, a po wojnie władze PRL uznały ojczyzna Anny za poległego. Ale jego nazwiska nie ma w oficjalnym wykazie zabitych, nie uwzględniono go również na liście zaginionych znajdującej się na cmentarzu wojennym pod Lenino. Wiadomo jednak, że podczas bitwy około 200 polskich żołnierzy przeszło na stronę niemiecką. Czy był wśród nich Berner? Nie ma na to dowodów, ale jeżeli tak rzeczywiście się stało, to mógł zginąć w późniejszym okresie wojny. Jeżeli zaś przeżył - zapewne pozostał na zachodzie Europy lub żył w kraju pod fałszywym nazwiskiem. W przypadku udowodnienia mu dezercji, jego los nie byłby godny pozazdroszczenia.

## KABARET KALAMBUR

Związek z Bernerem sprawiał wrażenie małżeństwa z rozsądku, można przypuszczać, że Irma, wychodząc za niego, chciała w przyszłości uzyskać możliwość legalnego opuszczenia ZSRR. Tak się zresztą stało, rodziny żołnierzy armii Berlinga mogły starać się o repatriację do Polski. Irma nie wahała się nawet chwili, wprawdzie nie mówiła po polsku i wraz z najbliższymi miała jechać w nieznaną, jednak wystarczająco poznała już „ojczyznę

proletariatu”. Wszystko było lepsze niż dalszy pobyt w ZSRR, gdzie doświadczyła tyle bólu i cierpienia.

W maju 1946 roku rodzina znalazła się w Szczecinie (towarzyszyła im jeszcze matka Irmy), wydaje się jednak, że pani Berner nie do końca była przekonana o legalności repatriacji. Pojawiła się bowiem w Łodzi, gdzie złożyła dokumenty potwierdzające ojcostwo Eugena Germana. Przy okazji podała, że był Polakiem<sup>6</sup>, co zapewniło bezpieczeństwo córce. Zapewne stąd wzięła się informacja, że powodem, dla którego Sowieci rozstrzelali Eugena, był fakt, że urodził się w Polsce.

Nie zamierzam oceniać postępowania Irmy Martens-Berner. Kto nie doświadczył sowieckiego piekła, niech lepiej nie próbuje tego robić. Ta kobieta przede wszystkim starała się przeżyć i zapewnić bezpieczeństwo najbliższym. Dlatego z rozmysłem fałszowała dokumenty (Annie mogła przecież grozić deportacja do ZSRR!), dlatego zawarła fikcyjne małżeństwo. Łatwo jest udzielać pouczeń moralnych z pozycji wygodnej kanapy. Związek Irmy z żonatym mężczyzną również można rozgrzeszyć. Zapewne wiedziała o tym, ale osadzeni w łagrach z reguły z nich nie wracali. Rodziny nie były informowane o zgonach bliskich, Sowieci nie przejmowali się takimi drobiazgami. Dla niej Eugen był wolnym człowiekiem, również zresztą zagrożonym aresztowaniem przez NKWD.

Trzy lata po przyjeździe do Polski Irma z matką i córką zamieszkały we Wrocławiu. Pani Martens-Berner znalazła pracę jako lektor języków obcych, Anna błyskawicznie nauczyła się polskiego. W 1955 roku zdała egzamin dojrzałości, marzyła o studiach plastycznych, ale za namową matki zmieniła plany.

„Chciałam mieć normalny, prawdziwy zawód - wspominała gwiazda. - W miarę możliwości pozwalający na kontakt z przyrodą, romantyczny, ale też tak się stało. Zdałam egzamin na geologię, zostałam przyjęta, po 6 latach ukończyłam studia, zostałam panią magister geologii stratygraficzno-poszukiwawczej, ale w międzyczasie, na ostatnim roku studiów, poznałam, co to jest trema, co to są zdenerwowanie, nerwy przed wyjściem na spotkanie z publicznością. I o dziwo, i o zgrozo, pokochałam to”<sup>7</sup>.

Podczas studiów przeżyła pierwszą miłość, zakochała się w koledze z wydziału, Piotrze Wojciechowskim. Wstąpiła nawet do sekcji grotłazów, starając się spędzać w jego

towarzystwie jak najwięcej czasu.

„Powodem był Piotruś - uważał biograf Anny, Aleksander Żygariow. - Jak dobrze czuć dotyk jego dłoni, oddech, gdy pomaga ci wejść do ciemnej i zimnej jaskini. Jeszcze bardziej Ania lubiła powroty z wypraw. Mogła wówczas położyć głowę na jego kolanach, pomilczeć, a potem zasnąć, wiedząc, że Piotr jest tuż obok... Pierwsza miłość!”<sup>8</sup>.

Miłość pozostała jednak niespełniona, oboje nie trafili na właściwy czas. Interesowali się sobą, ale się rozmijali.

„Przy całej swojej nieśmiałości byłem bardzo kochliwy - wspominał Wojciechowski - i przenosiłem swe zapatrzenia z jednego obiektu - na następny. Spośród koleżanek z roku największym sentymentem darzyłem Anię. Dość wyraźnie jednak mijaliśmy się. Kiedy interesowałem się nią poważnie, była zajęta kimś innym, gdy z kolei ona mną, ja dla odmiany inną dziewczyną”<sup>9</sup>.

W 1960 roku German zadebiutowała na scenie kabaretu Kalambur. Zaprotegował ją kolega ze starszego roku, jednak szef zespołu, Bogusław Litwiniec, musiał długo namawiać Anię do podjęcia decyzji. Obawiała się trudności w pogodzeniu występów ze studiami, swoje robiła również trema. Efekt przeszedł jednak najśmielsze oczekiwania.

„W spektaklu śpiewała - wspominał Litwiniec. - Rzadko wypowiadała kwestie dialogowe. Początkowo chciałem poszerzyć jej rolę i dać jej także szanse recytacji wiersza, ale doszedłem do wniosku, że w tym gatunku ekspresji była słabsza, a nie chciałem obniżać jej lotów. Wypowiadała treść spektaklu w kilkunastu śpiewanych tekstach opartych na wierszach autorów polskich, francuskich i brytyjskich”<sup>10</sup>.

Kalambur wystąpił na I Ogólnopolskim Festiwalu Kultury Studentów w Krakowie, gdzie dostał główną nagrodę. Zdecydowały o tym piosenki śpiewane przez German, a przyszła gwiazda uwierzyła w siebie. Inna sprawa, że do kariery czekała ją wyjątkowo trudna droga.

WROCŁAWSKA ESTRADA

Właściwie nie wiadomo, kiedy Anna zaczęła śpiewać. Sama twierdziła, że dopiero pod koniec studiów, jej matka uważała jednak, że znacznie wcześniej. Podobno zainteresowała się muzyką w wieku sześciu lat, po wysłuchaniu recitalu fortepianowego. Poprosiła nawet matkę o kupno pianina, trafiła wówczas na przesłuchanie do znajomej nauczycielki muzyki. Opinia nauczycielki była bardzo obiecująca - stwierdziła, że dziecko ma słuch absolutny.

Słuch to jednak nie wszystko, równie ważne są możliwości wokalne. Panna German dysponowała jednak wręcz nieprawdopodobnym głosem, czystym, silnym, o intrygującej barwie. Irena Santor stwierdziła kiedyś, że według niego można „stroić nie tylko fortepiany, ale nawet kamertony”. Trzeba przyznać, że takiego głosu w dziejach polskiej muzyki rozrywkowej jeszcze nie było. Anna mogła śpiewać praktycznie wszystko, od arii Scarlattiego po rosyjskie romanse.

Krakowski sukces otworzył Annie drzwi do kariery. Zadebiutowała w „Podwieczorku przy mikrofonie”, najpopularniejszym programie radiowym na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Telewizja dopiero raczkowała, radio wprawdzie nadawało trzy programy, ale zasięg Trójki był ograniczony tylko do Warszawy. Emitowany ze stołecznych kawiarni „Podwieczorek przy mikrofonie” był prawdziwym przebojem, a udział w nim automatycznie zapewniał popularność.

„Wybitni artyści zabiegali o udział w tym programie - opowiadał Wacław Przybylski. - Pewnego dnia zgłosiła się do nas Katarzyna Gärtner i zaproponowała występy nowej piosenkarki, której jeszcze nie słyszeliśmy - Anny German. Ania zaśpiewała w »Podwieczorku« i odniosła ogromny sukces. Nie widziałem tego programu, lecz słyszałem opinie kolegów. Na ogół niełatwo było przebić się przez plejadę uznanych kolegów” 11.

Panna German zadebiutowała również na szklanym ekranie, pojawiła się w programie „Spotkania o zmroku”. Ale prawdziwą artystką mogła poczuć się dopiero po angażu do wrocławskiej Estrady. Przyjaciółka Janina Wilk namówiła ją, aby poszła na przesłuchanie.

Anna miała szczęście, kierownikiem Estrady był wówczas Szymon Szurmiej, który natychmiast poznał się na jej talencie. Dostrzegł również, że ma bardzo delikatną psychikę i wymaga indywidualnego podejścia:

„Była nadwrażliwa. Miała melancholijną naturę. Przy niej musiałem być trochę psychologiem. Wiedzieć, kiedy ją pogłaskać po głowie, kiedy przytulić. A z Anią trzeba było tak właśnie postępować. Delikatnie i ostrożnie.

Nie wierzyła we własne siły. Wciąż szukała potwierdzenia swego talentu u innych. Zanudzała mnie pytaniami, czy dobrze zaśpiewała, czy na pewno spodobała się publiczności”  
12.

Anna miała bowiem kompleksy, nie tylko nie była pewna własnego talentu, ale również urody. Chociaż bez wątplenia była zgrabną i atrakcyjną kobietą, ale nie potrafiła zaakceptować swojego wzrostu. Rzeczywiście była bardzo wysoka (184 cm), zawsze zazdrościła niższym koleżankom.

Miała natomiast poczucie humoru, co potwierdza anegdota opowiedziana przez Stefana Rachonia:

„Występowaliśmy »gdzieś w Polsce«, Ania też miała wcześniej koncert. Przyjechała do hotelu późno, już po przydziale pokoi. Dostała pokój numer 100 blisko orkiestry (orkiestra miała najgorsze pokoje). Numerki na drzwiach ledwo się trzymały. Po jakimś czasie zapukała do mnie, by pożyczyć flamaster. »Bardzo przepraszam, panie dyrektorze, ale zginęła jedynka z numeru mojego pokoju i zostały dwa zera. Stale ktoś do mnie puka«, 13.

Przepisy obowiązujące artystów w PRL były nieubłagane i osoby, które nie miały właściwego wykształcenia, musiały zdawać egzamin na artystę estradowego. W marcu 1961 roku Anna stawiała się przed komisją weryfikacyjną w Warszawie i oblała egzamin z wiedzy ogólnej: akcję dramatu Czarownice z Salem umieściła bowiem w Anglii.

Do egzaminu miała ponownie przystąpić za rok, a przez ten czas zaangażowała się do występów z Estradą wrocławską (jako Anita German). Nawiązała również współpracę z estradami rzeszowską i olsztyńską, co oznaczało ogromną liczbę koncertów w terenie. Piosenkarka nabierała jednak koniecznego doświadczenia, co przydało się podczas egzaminu poprawkowego. Tym razem przewodniczący komisji, Kazimierz Rudzki, porównał jej prezentację ze wspaniałym koncertem, Aleksander Bardini zaś dodał, że „geologia niedużo

traci, a piosenka może zyskać”.

Był to w ogóle niezwykle rok w życiu Anny. Obroniła pracę magisterską, uzyskała prawo do wykonywania zawodu, a podczas występów z rzeszowską Estradą poznała Katarzynę Gärtner. To właśnie ona skomponowała jej największy przebój Tańczące Eurydyki.

## W DRODZE DO SŁAWY

Występy w terenie były niezwykle wyczerpujące, a programy dostosowywano do wymagań przeciętnego widza. Oznaczało to repertuar na bardzo zróżnicowanym poziomie: swoje umiejętności prezentowali również paradyści, akrobaci oraz inni specjaliści od szeroko pojętej rozrywki.

„Siedzę na próbie - pisała Anna do przyszłego męża, Zbigniewa Tucholskiego. - Moja kolej za jakieś 2-3 godziny, teraz ćwiczą panowie rewiowy numer. Jest czwórka w jasnych garniturach i melonikach z laseczkami. Dwóch z nich jest na bańce i w związku z tym reszta, tzn. około 10 osób, leży już od dłuższej chwili nieprzytomna ze śmiechu” 14.

Współpraca z estradami trwała do 1966 roku i do tego czasu German stała się prawdziwą gwiazdą polskiej piosenki. W maju 1963 roku wystąpiła na festiwalu w Sopocie, nie najlepiej jednak dobrano jej repertuar (piosenka Tak mi źle). Nie wyrażono zgody na prezentację Tańczących Eurydyk, osoba Gärtner wówczas jeszcze nie cieszyła się uznaniem.

Pierwszą odtwórczynią słynnego utworu była późniejsza gwiazda bigbitu Helena Majdaniec. Zaśpiewała ją na Festiwalu Młodych Talentów w Szczecinie, ale utwór nie pasował do temperamentu wokalistki Czerwono-Czarnych. Ostatecznie piosenkę otrzymała German i rok po porażce w Sopocie zdobyła z nią II nagrodę na festiwalu w Opolu (kategoria piosenka aktorsko-literacka).

Miesiąc po festiwalu piosenkarka wyjechała po raz pierwszy na koncerty do ZSRR. Nie były to oczywiście recitale solowe, German należała do grupy artystów zaproszonych przez sowiecki Goskoncert. Mimo iż była jedyną w tym gronie debiutantką, odniosła wręcz nieprawdopodobny sukces. Dla Melodii nagrała swój pierwszy album, zaprzyjaźniła się także

blisko z redaktorką wytwórni Anną Kaczaliną.

Tournée przerwała, aby wystąpić w Sopocie. Tym razem śpiewała Eurydyki i odniosła wielki sukces (I nagroda w Dniu Polskim i III nagroda w Dniu Międzynarodowym). Rok później utworem Zakwitnę różą wyśpiewała I nagrodę na festiwalu w Opolu w kategorii piosenka artystyczna.

Sukces miał jednak czasami ciemniejsze strony. Artyści musieli wypełniać polecenia władz państwowych i produkować się w imprezach propagandowych. Obok udziału w festiwalach w Zielonej Górze (piosenka radziecka) i Kołobrzegu (piosenka wojskowa) do obowiązków piosenkarzy należały występy w krajach bloku wschodniego na różnych oficjalnych akademiach. Anna German doświadczyła tego podczas wyjazdu na koncerty do NRD.

„Miał to być objazd normalny, koncerty - pisała rozżalona do Jana Nagrabieckiego. - Tymczasem są akademie z okazji 15-lecia NRD w różnych zakładach mleczarskich [...], a dziś zażądano ode mnie nawet śpiewu do tańca dla »wysoko postawionych osób«, 15.

#### ALEKSANDER ŻYGARIOW

Jedną z ważniejszych książek o życiu Anny German jest biografia napisana przez Rosjanina Aleksandra Żygariowa. Niestety, książka ta (przynajmniej jej fragmenty zacytowane w książce Tańcząca Eurydyka) obfituje w absurdalne szczegóły, które muszą irytować czytelników pamiętających czasy PRL. Trudno powiedzieć, czy zawinił autor, czy też tłumaczka, pani Mariola Pryzwan. Liczne nieścisłości stawiają bowiem pod znakiem zapytania wiarygodność całej pracy.

Pierwszą drażniącą sprawą podkreślaną ciągle przez Żygariowa jest stosunek German do pobytów w ZSRR. Autor na każdym kroku eksponuje wzruszenie Anny, gdy pojawiała się na „ojczyściej ziemi” (podkreślenie - S.K.). Do ZSRR miała „często wracać” myślami, szczególnie zaś do „do brzoź i chabrow, do gorących piasków okalających Urgencz”. Oczywiście tęskniła również za ludźmi „poznanyimi w dzieciństwie”.

Opinia Żygariowa nie do końca jest zgodna z prawdą, Anna twierdziła bowiem, że „w

Rosji nie mogła żyć”, a krzywd, jakie wyrządzili im Sowieci, nigdy „ani jej matka, ani ona nie potrafiła zapomnieć”. Ojciec został zamordowany, zginęła rodzina Irmy, a ją prześladowano w szkole. Ale trzeba przyznać, że w duszy Anny była pewnego rodzaju dwoistość w stosunku do ziemi, na której się urodziła:

„Polska to mój drugi dom, który dał mi wszystko. Ale to dziwne... Jadąc do Związku Radzieckiego, martwię się o wiele mniej niż o inne trasy koncertowe. Martwię się, ale to jest ciche podniecenie. Nie wiem, czego się spodziewać, jakie będą koncerty, śpiewam, ale wiem, czego na pewno nie mogę oczekiwać” 16.

Na swój sposób lubiła Rosję, chociaż decydujące znaczenie miało zapewne upodobanie do muzyki rosyjskiej i jej popularność wśród miejscowej publiczności. Anna uważała, że przeżywa tam „wspaniałe chwile twórczego rozumienia ludzkiej komunikacji”. Chyba rzeczywiście w jej charakterze było coś rosyjskiego.

Aleksander Żygariow nie ograniczył się jednak do głoszenia miłości Anny German do Związku Radzieckiego. W swojej książce podał wiele informacji świadczących o kompletnej nieznajomości polskich realiów lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Inna sprawa, że tłumacz powinien zareagować na takie sensacje, a nie bezkrytycznie przedstawiać je czytelnikowi.

Według Żygariowa podczas swojego pierwszego tournée po ZSRR (latem 1964 roku) Anna otrzymała w prezencie stare płyty z rosyjskimi romansami. Była zachwycona podarunkiem, jednak po powrocie do domu nie mogła ich przesłuchać. Potrzebny był bowiem gramofon o prędkości 78 obrotów na minutę, a z dostępem do podobnego urządzenia miały być wielkie problemy.

„Ileż kłopotów było z tym patefonem! Zbyszek pożyczył go od przyjaciela - kolekcjonera starych przedmiotów: samowarów, zegarów, aparatów fotograficznych - i przywiózł do Wrocławia. Długo go reperował, aż wreszcie patefon zaszumiał. »Brieskaja ulica na zapad wiediut...« (»Brzeska ulica prowadzi nas na Zachód...«) - śpiewał zachrypnięty głos Ustiesowa” 17.

Bardzo wzruszająca historia, niestety niewytrzymująca krytyki. Najwyraźniej



szanowny biograf nigdy nie był w Polsce w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy prawie w każdym mieszkaniu stał radioodbiornik Menuet lub Poemat. Urządzenia te miały zamontowany na stałe gramofon (adapter - jak wówczas mawiano) przystosowany do odtwarzania z prędkościami: 33, 45 i 78 obrotów na minutę. To jednak wydaje się tylko drobiazgiem w porównaniu z opowieścią o podróży Anny do USA na pokładzie „Stefana Batorego”. Rejs w jedną stronę miał trwać kilka tygodni (!), w rzeczywistości trwał dziewięć dni. Dla porównania, w tym samym czasie Thor Heyerdahl pokonał Atlantyk w osiem tygodni, ale Norweg dokonał tego na trzcinowej tratwie.

Inną rewelacją podaną przez rosyjskiego biografę jest wzmianka, że Anna German w 1972 roku dawała koncerty w ZSRR w towarzystwie „młodego piosenkarza, Andrzeja Dąbrowskiego”. Wokalista miał już mieć na koncie jeden duży przebój, Do zakochania jeden krok. W rzeczywistości Dąbrowski miał wówczas trzydzieści cztery lata (o dwa mniej niż German) i czternaście lat udanej kariery za sobą. Tylko że w charakterze perkusisty jazzowego, o czym szanowny biograf zdaje się nie wiedzieć. A szkoda, bo Dąbrowski grał w zespołach Andrzeja Kurylewicza, Jana Ptaszyna Wróblewskiego i Krzysztofa Komedy, uznawano go zresztą za jednego z najlepszych perkusistów jazzowych w Europie.

## SORRENTO

Talent Anny był tak oczywisty, że byłoby dziwne, gdyby jej osobą nie zainteresowali się zachodni menedżerowie. Festiwal w Sopocie był rodzajem okna na świat dla polskiej piosenki i niebawem German rozpoczęła występy za żelazną kurtyną. Koncertowała w RFN, śpiewała w Monte Carlo i Cannes, pojawiła się w programie telewizji francuskiej i Eurowizji. Z zespołem polskich artystów dotarła również do USA i Kanady, gdzie występowała przed miejscową Polonią. Najważniejsze miało jednak nadejść, artystką zainteresowali się Włosi; German była wręcz stworzona do tamtejszego repertuaru.

Podpisała trzyletni kontrakt z niewielką wytwórnią płytową CDI i jesienią 1966 roku wyjechała do Italii. Tam błyskawicznie wpadła w tryby maszyny promocyjnej.

„Wczoraj Anna German przyjechała do Mediolanu - entuzjazmował się jeden z włoskich dziennikarzy - i okazało się, że ma nie tylko piękny głos, wcześniej już znany niektórym specjalistom, ale i urodę: wysoka, o jasnych, falujących włosach i rozmarzonym

spojrzeniu. Krótko mówiąc, wspaniała dziewczyna” 18.

Problemem okazały się jednak stroje, z powodu wzrostu nie można było dostać dla niej nic gotowego, Anna zresztą była przeciwna zbyt niemu eksponowaniu swojej figury. Menedżerowie nie potrafili tego zrozumieć.

„Z niepokojem spostrzegłam wkrótce - wspominała German - że chodzi im o suknię cocktailową, która sięgałaby do połowy uda. W Polsce w tym okresie co odważniejsze dziewczyny już dawno nosiły takie właśnie sukienki, ale ja ciągle jeszcze uznawałam długość drobnutko powyżej kolan. Nie dlatego, że mi się wynalazek Mary Quant nie podobał. Przeciwnie - podobał mi się bardzo, ale ja, która byłam ustawicznie gnębiona nadmierną ironią bliźnich (na temat mego wzrostu), czyż mogłam pozwolić sobie na taki strój, który by ścigał uwagę przechodniów jak magnes i uwielokrotniał moje cierpienie?!” 19.

Powoli jednak atmosfera Włoch zaczęła działać również na pannę German. Widziała (a właściwie słyszała), że w tym kraju wszyscy żyją muzyką, chętnie śpiewają „w czasie pracy, na ulicy, w sklepie i na przystanku”. Otyła matrona sprzątająca korytarz hotelowy „śpiewała donośnym głosem” miłosne piosenki, a dwóch nobliwych Włochów odreagowywało stresy zawodowe, prezentując na ulicy fragmenty najnowszych przebojów.

Dostrzegała również urodę kraju i jego mieszkańców. Zauważyła, że karabinierzy dzielą się na przystojnych, bardzo przystojnych i „zniewalająco przystojnych”, niezwykle wrażenie zrobił na niej również dziennikarz Radia Luxembourg, który przeprowadzał z nią wywiad.

„Przedstawiciel tej rozgłośni był tak druzgocąco przystojny i miły, że miałam poważne kłopoty ze skoncentrowaniem się nad odpowiedziami. Nie chciałam być źle zrozumiana. Nie stwierdziłam u siebie ani krzty zaborczości, agresywności czy innej podobnej cechy charakteru - tylko że on był taki piękny” 20.

Impresariat działał bezbłędnie, wkrótce otrzymała oficjalne zaproszenie do udziału w Festiwalu Piosenki Włoskiej w San Remo. Była pierwszą Polką, którą spotkał ten zaszczyt, i do dzisiaj zresztą jedyną. Inna sprawa, że ze swoimi zdolnościami lingwistycznymi nie miała żadnych problemów ze śpiewem po włosku, prezentując przy tym południowy typ ekspresji

wokalnej.

„Jeżeli polska piosenkarka utrafi w San Remo z piosenką - pisano na łamach »l'Unita« - to pozostawi po sobie ślad nie tylko dlatego, że jest pierwszą osobą z Europy Wschodniej pojawiającą się na naszym rynku. Jej głos to z jednej strony szczodry dar natury, z drugiej - rezultat inteligencji, która pozwala jej z niego korzystać” 21.

Pod koniec stycznia Anna wystąpiła w San Remo. Sukcesu nie odniosła, nie zakwalifikowała się do finału. Ale znalazła się w doborowym towarzystwie, odpadły piosenki takich wykonawców, jak: Dalida, Dionne Warwick, Connie Francis, Domenico Modugno czy Sonny & Cher. Anna nie liczyła zresztą na więcej, jej włoscy szefowie nie mieli pretensji. Ważne, że pokazała się na najbardziej wówczas znaczącym festiwalu piosenki w Europie.

„Cieszył mnie sam udział w festiwalu światowej sławy - wspominała - możliwość usłyszenia, zobaczenia wielu aktualnych gwiazd piosenki z całego świata. Nagroda nie była dla mnie sprawą życia i śmierci. Instynktownie czułam od początku, że w ścierających się ustawicznie interesach wielkich firm płytowych nie będzie leżało zwycięstwo przedstawicielki tak mało znaczącej wytwórni jak CDI. Nawet gdyby piosenkę skomponował sam Orfeusz i użyczył mi na dodatek swego głosu” 22.

Nie wszyscy mieli takie samo podejście do swojej porażki, festiwal przyćmiła ponura tragedia. Po ogłoszeniu werdyktu w hotelowym pokoju zastrzelił się kompozytor Luigi Tenco, którego piosenka nie weszła do finału.

CDI działa sprawnie, wkrótce po festiwalu Anna wystąpiła w popularnych programach telewizyjnych, w jednym z nich nie tylko śpiewała kilka piosenek, ale również zapowiadała razem ze słynnym Domenico Modugno (zaśpiewali nawet w duecie). Zaczynała być osobą rozpoznawalną, w Viareggio otrzymała „Oscara sympatii”, a w lipcu jako pierwsza cudzoziemka wzięła udział w Festiwalu Piosenki Neapolitańskiej w Sorrento. Tym razem weszła do finału, a zaraz po imprezie w ekspresowym tempie (dwa i pół dnia) nagrała płytę z miejscowym repertuarem. 27 sierpnia w Forli odbył się jej pierwszy solowy koncert. Miał okazać się jedyny.

Po recitalu dotarła do hotelu już po północy, jednak przedstawiciel CDI, Renato Serio,

postanowił, że mimo późnej pory pojedą do Mediolanu (blisko 300 kilometrów). Młody Włoch zasnął pod Bolonią za kierownicą i sportowy fiat 850 wypadł z autostrady. To był koniec kariery Anny we Włoszech.

## ZBIGNIEW TUCHOLSKI

Nad ranem rozbity samochód dostrzegł kierowca ciężarówki. Renato miał złamaną rękę i nogę, gorzej było z Anną. Wypadła przez przednią szybę, doznając wielokrotnych złamań kończyn, urazów kręgosłupa i klatki piersiowej oraz wstrząsu mózgu. Przez tydzień była w śpiączce, a pełną świadomość odzyskała dopiero po dwunastu dniach. Wówczas przy jej łóżku czuwała już matka oraz przyjaciel, Zbigniew Tucholski. We Włoszech przeprowadzono najważniejsze operacje chirurgiczne.

„Trafiła do Instytutu Ortopedycznego Rizzoli w Bolonii - wspominał lekarz PAGART-u Cezary Rządowski - wówczas najlepszej kliniki tego typu w Europie. Anna przechodziła tam gehennę. C a ł ą włożono ją w gips, od szyi aż po palce stóp. Miała straszne odleżyny, źle znosiła długotrwałe leżenie i leczenie” 23.

Leczenie we Włoszech było bardzo kosztowne i z tego powodu ranną piosenkarkę przetransportowano do kraju. Zaczęła się typowo polska szpitalna gehenna.

„Pamiętam, że przywieziono ją do Polski w bardzo złym stanie - relacjonowała Miriam Aleksandrowicz - i umieszczono w szpitalu na Lindleya... na korytarzu. »Cały szpital« schodził się oglądać Annę German! Nie wytrzymała tego psychicznie - dostała straszego szoku - podrapała sobie twarz. Dzięki znajomościom mama [Zofia Dybowska-Aleksandrowicz - S.K.] w ciągu paru zaledwie dni załatwiła jej pobyt w Konstancinie. Miała tam dobre warunki” 24.

W szpitalu spędziła półtora roku, a rehabilitacja trwała kolejne kilkanaście miesięcy. Była wyjątkowo trudna i długotrwała, gdy Anna opuściła łóżko, jeszcze długo używała „szwedek” (lekkich aluminiowych kul). Obawiała się, że nie będzie mogła śpiewać, w czasie leczenia osłabły jej mięśnie, a technikę śpiewu opierała (podobnie jak artyści operowi) na przeponie. Gdy się okazało, że ma problemy z utrzymaniem czystego tonu, wpadła w depresję.

Ucieczką od ponurej rzeczywistości było spisywanie wspomnień, powstała wówczas książka *Wróc do Sorrento?...* Opowiada w niej o ważnych chwilach swojej kariery, a wrażenia z Włoch przeplata reminiscencjami z wcześniejszych lat. Książka została wydana w 1970 roku, stając się dowodem jej wszechstronności. Anna German miała autentyczny talent literacki. Wspomnienia czyta się z dużą przyjemnością, wydaje się, że piosenkarka z powodzeniem mogłaby spróbować swoich sił jako eseistka czy dziennikarka.

Zapewne nigdy nie powróciłyby na scenę, gdyby nie Zbigniew Tucholski, z którym przyjaźniła się od lat. Zbigniew jeździł za nią na koncerty, przywoził kwiaty i pocieszał w chwilach zwątpienia. Podobno nawet zdążył się jej oświadczyć, ale Anna stwierdziła, że decyzję musi dokładnie przemyśleć.

Po wypadku okazał się osobą niezastąpioną, opuściwszy szpital, zamieszkała u niego na warszawskim Powiślu.

„Mieszkanie było maleńkie - opowiadał Jan Laskowski. - Trudno i niebezpiecznie było poruszać się w nim. Każdy przedmiot na podłodze stanowił zagrożenie. W nocy, kiedy sąsiedzi już spali, a ulice były puste, Zbyszek wnosił Anię do windy; na dole pomagał jej wejść do samochodu i wyjeżdżali nad Wisłę. Tam, powoli, przy pomocy Zbyszka, Ania stawiała pierwsze kroki. Trwało to do świtu. I tak dzień po dniu (noc po nocy) ciągnęło się to tygodniami. [...]. »Święty spokój« Zbyszka, jego bezgraniczne oddanie i wytrwałość nie pozwalały Ani poddać się depresji. Nie przerwała nocnych wypraw nad Wisłę, [...] odzyskiwała nadzieję, że może naprawdę wróci do zdrowia” 25.

Tucholski wynajął (czy też pożyczył) pianino, German bowiem zaczęła komponować. Wyjątkowe znaczenie miało dla niej napisanie muzyki do wiersza Leonida Teligi *Noc nad Mekongiem*. Żeglarz przysłał tekst ze swojego samotnego rejsu dookoła świata, od dawna był bowiem wielbicielem talentu piosenkarki, a jej tragiczny wypadek bardzo go poruszył.

Anna German wróciła na estradę w 1970 roku, a dwa lata później uregulowała swoje życie osobiste. Zbyszek okazał się jednak nie do zastąpienia, pobrali się w marcu 1972 roku w Zakopanem. Uroczystość miała skromny charakter, nie zaprosili nawet rodziny, a świadkami ślubu byli spotkani przypadkowo znajomi. Miała to być wyłącznie ich uroczystość i nie

chcieli, aby przekształciła się w medialny show.

Trzy lata później pani German-Tucholska zaszła w ciążę i mimo obaw lekarzy zdecydowała się urodzić dziecko. Wiedziała, że jest to dla niej niebezpieczne i że ponownie będzie musiała się wycofać z życia artystycznego, ale nie wahała się nawet przez chwilę. Syn (imiennik ojca) przyszedł na świat w listopadzie 1975 roku, w życiu Anny rozpoczęła się nowa epoka.

## NA RADZIECKICH SCENACH

Po raz pierwszy po wypadku Anna zaśpiewała publicznie 1 stycznia 1970 roku w programie telewizyjnym „Muzyka lekka, łatwa i przyjemna”. Zaprezentowała własny utwór Człowieczy los do słów Aliny Nowak. Okazał się jednym z największych przebojów piosenkarki i do dziś chyba najbardziej pamiętanym.

Oficjalny powrót na estradę nastąpił kilkanaście dni później w Sali Kongresowej. Jednak do pełnej aktywności powróciła dopiero za dwa lata, wówczas znów zaczęła wyjeżdżać w trasy koncertowe, brać udział w festiwalach, nagrywać płyty.

„Chyba najtrudniejsza jest konieczność przystosowania się do specyficznego trybu życia - mówiła artystka w jednym z wywiadów - polegającego na częstych wyjazdach, pośpiechu, natychmiastowej gotowości psychicznej, wielu godzinach prób dziennie, a przez to trochę »postawieniu na głowie« życia prywatnego. Myślę, że trzeba się urodzić z pewnymi cechami psychofizycznymi albo traktować ten zawód jako największą miłość” 26.

Wypadek i długa rekonwalescencja zmieniły psychikę Anny. Nabrała koniecznego dystansu do spraw mało ważnych i wyzbyła się nawet kompleksów na punkcie wyglądu. Podczas amerykańskiego tournée zdecydowała się na duet z Krzysztofem Cwynarem, wokalistą o wzroście zdecydowanie niższym od przeciętnego. Zachowane nagranie telewizyjne (piosenka Byle tylko ze mną) daje przedsmak tego, co musieli czuć widzowie podczas koncertów. Pan Krzysztof sięgał Annie zaledwie do ramienia, a śpiewali żartobliwą piosenkę miłosną.

W 1972 roku ponownie pojawiła się w Związku Radzieckim; rynek ten zaczął

odgrywać coraz większą rolę w jej karierze. Ułatwiała to nie tylko perfekcyjna znajomość języka, ale również specyficzna wrażliwość muzyczna piosenkarki. Anna przyznawała, że rosyjskie piosenki „łatwo i przyjemnie śpiewać”, ponieważ „zachwycają melodyjnością i swobodą głosową”. German w ZSRR stała się artystką niemal kultową, chociaż czasami objawy uwielbienia bywały kłopotliwe. Kiedy rozpoznano ją w Moskwie podczas zakupów, to tłum dosłownie „runął na nią” i artystce groziło „zadeptanie” przez wielbicieli. Ostatecznie „sklep zamknięto”, a piosenkarkę „wypuszczono tylnym wyjściem”.

Podczas koncertów za wschodnią granicą Annie zdarzały się również gafy. Była osobą apolityczną, a zafascynowana miejscową muzyką nie dostrzegła, że dla części widzów rosyjski był językiem znienawidzonych okupantów. Z tego powodu wygwizdano ją we Lwowie, a po prezentacji rosyjskiej piosenki wrogo przyjęto nawet w Mongolii. Dlatego zaczęła korzystać ze swoich uzdolnień lingwistycznych, śpiewając czasami w dość egzotycznych językach.

„W Kazachstanie między innymi miała koncert na stepie - wspominał Janusz Laskowski. - W głębi pasły się ogromne stada krów i owiec, publiczność stanowiła niewielka grupa pasterzy tych osad. Niesamowity krajobraz oczarował Anię. Coś się z nią stało. Zapomniała o tym, że śpiewa po kazachsku, dla kogoś. Głos niósł się po stepie. Zwierzęta podniosły łby. Coraz więcej osób gromadziło się wokół niej. Zrobiła się cisza, słyhać było tylko śpiew Anki. Była szczęśliwa! Miała taką widownię jak nigdy dotąd. W pewnym momencie do świadomości Ani dotarło, że słuchają jej zwierzęta. Zaniepokoiło ją to, a po chwili ogarnęło wzruszenie. Postanowiła zaśpiewać jeszcze jedną piosenkę specjalnie dla tych niecodziennych słuchaczy. Opowiadała mi, że gdy odjeżdżała, zwierzęta czekały na dalszy ciąg występu” 27.

Nie była specjalnie wymagająca, jeśli chodzi o warunki bytowe podczas tras koncertowych. Nie przywiązywała również specjalnego znaczenia do tego, co dostaje do jedzenia, miała jednak własne, oryginalne upodobania.

„Ania zaprosiła wszystkich do siebie na czosnkowe party - wspominał Andrzej Dąbrowski tournée po ZSRR latem 1972 roku. - Hotelowe pokoje były nawet duże. Stolik zastawiony w stylu »czym chata bogata«. Na środku stał kopiasty, głęboki talerz dorodnych ząbków czosnku, co najmniej kilogram, do tego kilka bochenków pysznego razowego chleba,

kostki masła, śmietana, żółty ser, sól, rzodkiewki. Chleb i nabiał są na wschód od Bugu najwyższej jakości. Na świadomość oddalenia od Polski i domu też znalazło się coś do wypicia... Już nie pamiętam, czy to były Ani imieniny, czy zwykły towarzyski wieczór, na który nas zaprosiła, ale pamiętam, że przez dwa dni zionałem czosnkiem, unikałem bliskich kontaktów z ludźmi, a wątroba bolała mnie przez dalsze trzy dni” 28.

Trasy koncertowe przynosiły regularne dochody, German inkasowała 300 rubli za każdy koncert (średnia pensja w ZSRR wynosiła kilkadziesiąt rubli miesięcznie). Tak wysokie dochody były konieczne, bo wraz ze Zbyszkciem kupili dom na warszawskim Żoliborzu. Własna działka była niezbędna do regularnych ćwiczeń i komponowania, dawała potrzebną izolację, nie zakłócając życia sąsiadom. Władze miasta sprzedały dom po cenie stosunkowo korzystnej, nieruchomość miała jednak lokatorów. Aby się ich pozbyć, trzeba było kupić im mieszkania.

Anna pracowała ponad siły, podczas tournée w 1979 roku dawała czasami po trzy koncerty dziennie. Zaczęła oszczędzać głos, część recitali wykonywała tylko z akompaniamentem fortepianu. Inna sprawa, że znaleźli z mężem możliwość dodatkowego dochodu. Piosenkarka za swoje honoraria dyskretnie kupowała biżuterię, którą przemyciła do kraju. Uwielbianej powszechnie gwiazdy oczywiście nie kontrolowano na granicy, a dystrybucją wyrobów w Polsce zajmował się mąż przez swoich przyjaciół i znajomych 29.

Tak jednak robili wówczas niemal wszyscy. Dygnitarze państwowi, artyści, sportowcy i zwykli obywatele. Nie bez powodu Polaków nazywano „Fenicjanami socjalizmu”, a absurdalne przepisy celno-podatkowe ułatwiały proceder. Zagraniczne wczasy bywały doskonałą okazją do przemytu i pokątnego handlu z tubylcami, wielu rodaków nie wyobrażało sobie zresztą innej formy wypoczynku. Państwo Tucholscy natomiast szukali jak najlepszych warunków do rozwoju artystycznego Anny, a to wiele rozgrzesza.

„Tworzyli ze Zbyszkciem wspaniałą rodzinę żyjącą sztuką - uważał Jacek Hilchen. - Nie było w ich domu przysłowiowego artystycznego bałaganu, a przecież mogła sobie pozwolić na pewien luz. Ania nie lubiła bałaganu, nie lubiła przypadkowości. Nie były to jednak pedantyczne zachowania. Czasem pozwalała sobie na odrobinę szaleństwa. Mówiła na przykład: - Jedźmy do Łomianek (albo do Puszczy Kampinoskiej), bo tutaj mi się źle rozmawia. - I jechaliśmy, żeby posiedzieć wśród drzew, chociaż był środek nocy” 30.



Organizmu nie można jednak oszukać, podczas jednego z koncertów w Alma-Acie (trzydzieści występów po 3,5 tysiąca widzów każdy) Anna poczuła silny ból. Były to pierwsze oznaki śmiertelnej choroby.

## KRES DROGI

U artystki zdiagnozowano złośliwy nowotwór kości. German nie przerwała jednak aktywności zawodowej i pomimo postępującej choroby wzięła udział w tournée na Antypodach.

„W Australii męczyła się strasznie - opowiadał Zbigniew Korpolewski. - Tylko ona wiedziała, jak bardzo. Noga była purpurowa i spuchnięta. Kiedy po koncertach nie schodziła na przyjęcia, pytano o nią i nikt nie chciał wierzyć, gdy tłumaczyliśmy, że jest chora. - To niemożliwe, przecież przed chwilą na scenie była taka promienna” 31.

Chyba nie była do końca przekonana do konwencjonalnej medycyny, przeżycia po wypadku pod Bolonią pozostawiły na jej psychice niezatarte ślady. Do najlepszego polskiego onkologa zgłosiła się zbyt późno i nie zdecydowała się na proponowaną terapię.

„Choroba była już dość zaawansowana - wspominał Tadeusz Koszarowski. - Wydawało mi się, że można jej pomóc, że można ją leczyć. Byłem przekonany, że są szanse - jeśli nie na wyleczenie, to przynajmniej na znaczną poprawę. Powiedziałem o tym pani Ani. Miałem wrażenie, że to, co mówiłem, zupełnie do niej nie docierało. Owszem, wysłuchała uprzejmie, zadała nawet kilka pytań (była świadoma swojego stanu), ale w zasadzie wyczułem kompletny brak zaufania” 32.

Nieco bardziej optymistycznie nastawiony był Zbigniew Tucholski, z którym onkolog rozmawiał po wyjściu Anny. Jednak artystki nie udało się przekonać, więcej nie pojawiła się już w gabinecie Koszarowskiego.

„Było dla mnie oczywiste - tłumaczył lekarz - że pani Ania German nie ma przed sobą przyszłości. Jakby zrezygnowała z walki. Nie wiedziałem wtedy, czy ma taką postawę filozoficzną, czy po prostu zdała się na różnego typu znachorów. Przymuszczałem jednak, że

ma jakieś związki z paramedycyną. To się wyczuwało” 33.

Tajemnica lekarska nie pozwoliła specjalście opublikowanej relacji na ujawnienie szczegółów proponowanej terapii, Anna wiedziała jednak, że jej życie dobiega kresu. Ostatnie miesiące poświęciła na komponowanie muzyki religijnej. W domowych warunkach nagrała Psalm 23, Hymn o miłości według świętego Pawła i modlitwę Ojcze nasz.

W maju 1982 roku przyjęła chrzest w obrządku Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego (członkiem wspólnoty był Tucholski), zmarła we śnie trzy miesiące później w wieku czterdziestu sześciu lat.

„Nie śpiewała, ale grała na swoich strunach głosowych jak nikt - podkreślał pisarz i poeta Jerzy Ficowski. - To był cudowny instrument o rzadko spotykanej doskonałości. Była wygnańcem z anielskich chórów, skazanym na trudny człowieczy los. Zamiast duszy miała muzykę” 34.

Nie miała jednak szczęścia nie tylko w życiu, ale również do decydentów muzycznych. Pomimo bowiem panującego ustroju, ludzie zarządzający polską muzyką nie potrafili jej wybaczyć kariery w ZSRR. W kraju była stosunkowo mało promowana, nagrała wprawdzie siedem płyt długogrających, ale z ich dystrybucją i nakładami różnie bywało. Akurat odwrotnie niż za naszą wschodnią granicą, gdzie zrealizowała zbliżoną liczbę albumów. A gdy zmarła, podobno stacje telewizyjne i radiowe ZSRR przerwały program, aby podać tę tragiczną wiadomość.

„Gazeta Wyborcza” opublikowała kiedyś wyniki pewnej ankiety. Zadano Rosjanom pytanie, kogo uważają za najślawniejszego Polaka. Bezapelacyjnie zwyciężyła Anna German, wyprzedzając Barbarę Brylską i Fryderyka Chopina.

Twórczość Anny German na rynku krajowym była przez całe lata ignorowana przez wydawców i presenterów. Poza świadomymi zabiegami rolę odegrał również brak w jej repertuarze lekkich i melodyjnych przebojów. Przeciętny Polak potrafi do dzisiaj wymienić kilka piosenek Anny Jantar, Anny German już niekoniecznie. Ale dla Jantar pisał mąż, znakomity kompozytor, Jarosław Kukulski, German zaś po wypadku we Włoszech śpiewała głównie własne kompozycje. Pomimo niewątpliwego talentu brakowało jej przygotowania

zawodowego, a ponadto prezentowała inny typ wrażliwości muzycznej.

Człowieczy los nie jest bajką ani snem.  
Człowieczy los jest zwyczajnym, szarym dniem.  
Człowieczy los niesie trudy, żal i łzy.  
Pomimo to można los zmienić w dobry lub zły.

Uśmiechaj się, do każdej chwili uśmiechaj, na dzień szczęśliwy nie czekaj, bo kresu nadejdzie czas, nim uśmiechniesz się chociaż raz.

Uśmiech odsłoni przed tobą siedem codziennych cudów świata.  
Tęczowym mostem zapłonie nad dniem, co ulata.  
Marzeniom skrzydeł doda, wspomnieniom urody.  
Pomoże strudzonemu pokonać przeszkody...

Uśmiechaj się, do każdej chwili uśmiechaj, na dzień szczęśliwy nie czekaj, bo kresu nadejdzie czas, nim uśmiechniesz się chociaż raz.

Uśmiechaj się, uśmiechaj się!

Szkoda tylko, że artystka w swoim życiu miała tak mało uśmiechu...

## Rozdział IV.

Boska Kalina

### CÓRKA SENATORA

Gdyby urządzić plebiscyt na najseksowniejszą kobietę epoki PRL, to zapewne wygrałaby go Kalina Jędrusik. Aktorka i piosenkarka, prawdziwa królowa estrady przez całe lata skutecznie podnosiła ciśnienie męskiej części widowni. A jako niezapomniana Lucy Zuckerowa z Ziemi obiecanej Andrzeja Wajdy na zawsze przeszła do historii polskiej kinematografii.

Z metryką Kaliny były pewne problemy, aktorka śladem wielu pań usiłowała uchodzić za młodszą, niż była w rzeczywistości. Jako datę swoich urodzin podawała rok 1931 (przyszła na świat dwanaście miesięcy wcześniej), a następnie próbowała odjąć sobie jeszcze dwa lata. Niewiele brakowało, a sprawa zakończyłaby się skandalem, ponieważ jako świadek zeznawać miała jej dawna nauczycielka. Ostatecznie Kalina zrezygnowała z wprowadzania korekty daty urodzenia, w zamian stosując inny skuteczny zabieg. Z dużą przyjemnością przedstawiała znajomym swojego młodszego o dwadzieścia osiem lat przyrodniego brata (z ostatniego małżeństwa ojca), co sugerowało znacznie późniejszą metrykę gwiazdy.

Ojcem Kaliny był Henryk Jędrusik, w latach 1938-1939 senator z ramienia Obozu Zjednoczenia Narodowego. Działacz oświatowy i dyrektor eksperymentalnej szkoły w Gnaszynie koło Częstochowy, był zwolennikiem nowoczesnych metod wychowawczych. W jego placówce położono nacisk na samodzielny rozwój uczniów kosztem znormalizowanych zajęć grupowych. Nie było dzwonek, a młodzież sama wybierała przedmioty, których zamierzała się uczyć danego dnia. Henryk Jędrusik był zwolennikiem tezy, że „odpoczynek jest ważniejszy niż praca, bo właśnie podczas odpoczynku następuje najlepsze przyswajanie

wiedzy”. To był wyjątkowy umysł, Kalina wychowywała się pod okiem świetnego pedagoga, co przyniosło znakomite efekty. We wszystkich wspomnieniach o aktorce przebija się bowiem uznanie dla jej inteligencji (poza opiniami o urodzie i seksapilu), bez problemu mogła obracać się w kręgach intelektualistów.

Henryk Jędrusik miał znakomite osiągnięcia zawodowe, ale jego życie prywatne było dość skomplikowane. Ożenił się z Bronisławą Kuklińską, a gdy żona zapadła na chorobę nowotworową, zainteresował się jej młodszą siostrą Zofią. Miał z nią córkę, którą żona uznała za własną. Dopiero po śmierci małżonki oficjalnie poślubił Zofię i z tego związku przyszła na świat Kalina.

Pewnym problemem pozostaje natomiast sprawa światopoglądu religijnego pana senatora. Nie ochrzcił dzieci, Kalina przyjęła chrzest dopiero w dojrzałym wieku, po śmierci swojego męża Stanisława Dygata (zmarł w 1978 roku). W okresie międzywojennym brak chrztu oznaczał jednak brak świadectwa urodzenia, co uniemożliwiało przyjęcie dziecka do szkoły. W efekcie nawet zatwardziali komuniści, członkowie KPP, zawierali małżeństwa kościelne (innych zresztą nie było) i chrzcili dzieci. Henryk Jędrusik był zajadłym antyklerykałem, wiedział jednak, że dzięki jego pozycji dzieci nie będą miały problemów z rozpoczęciem nauki. Zresztą na świadectwach szkolnych Kaliny widniało wyznanie rzymskokatolickie, ponieważ w tym obrzędzie pobrali się jej rodzice.

Po zakończeniu wojny przyszła gwiazda rozpoczęła edukację w Liceum Ogólnokształcącym imienia Juliusza Słowackiego w Częstochowie. Panna Jędrusik nie miała kłopotów z nauką, chętnie angażowała się również w działalność szkolnego teatru. Problemem okazał się jednak jej styl bycia, bo placówka była dość purytańska, szczyliła się zresztą tradycjami sięgającymi drugiej połowy XIX stulecia. Dyrektorka szkoły miała zwyczaj regularnie sprawdzać, czy uczennice noszą ciepłą bieliznę, Kalina natomiast w ogóle nie używała stanika. Reszta jej intymnej odzieży również nie była zgodna ze standardami przyjętymi w szkole. W efekcie została usunięta za niemoralność i przeniosła się do liceum dla dorosłych. Tam także nie dotrwała do matury, świadectwo dojrzałości otrzymała eksternistycznie.

TEATR WYBRZEŻE

W 1948 roku Kalina zdała egzaminy do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie, a po jej ukończeniu wraz z grupą absolwentów (należał do nich Zbigniew Cybulski) wyjechała do Gdańska. Znalazła zatrudnienie w Teatrze Wybrzeże. Od początku pojawiły się jednak problemy, które miały jej towarzyszyć niemal do końca kariery. Urodziwa i zmysłowa zupełnie nie odpowiadała socjalistycznemu ideałowi kobiety. Nie pasowała do ról robotnic, aktywistek czy też uległych żon rewolucyjnych bohaterów.

Zbigniew Cybulski zabrał ją na casting do Kanału Andrzeja Wajdy, akurat poszukiwano „młodej i ładnej aktorki do głównej roli”. Cybulski ostrzegł jednak filmowców, że Kalina jest „porządną dziewczyną, jeszcze dziewicą i jego przyjaciółką, której nie pozwoli skrzywdzić”. Jako warunek jej udziału w zdjęciach próbnych podał, że „ją sam przywiezie i odwiezie”.

„I przywiózł Kalinę Jędrusik - wspominał Kazimierz Kutz. - On, strażnik jej cnoty, choć Kalina nigdy nie robiła wrażenia, by kiedykolwiek mogła być dziewicą. A jednak była to prawda. Kalina wyglądała wtedy jak świeżo wypieczona bułeczka; z obfitym biustem sięgającym niemal po zęby i oczami młodej sowy. Mówiąc nieco po staroświecku, była ponętna. Ale jej seks był z modelu, który miał dopiero nadejść. Dlatego nie nadawała się na bohaterkę Kanału. Ostatecznie rolę tę zagrała Teresa Iżewska”<sup>1</sup>.

Kalina miała już dwadzieścia trzy lata, ale jej życie erotyczne było nad wyraz ubogie. Jej dotychczasowe fascynacje były platonicznej natury w oczekiwaniu na tę jedną wielką miłość. Zawsze zresztą imponowali jej mężczyźni znacznie od niej starsi.

„Moja pierwsza miłość? - wspominała po latach. - »Każda miłość jest pierwsza, najgorętsza, najszczerza...«. Profesor Waław Nowakowski, ostatni co tak poloneza wodził. To było w szkole teatralnej, kiedy niemalże omdlewałam na wykładach poezji antycznej i wiersza, prowadzonych przez profesora Waława Nowakowskiego. Piękny, monumentalny głos, wysoki, postawny mężczyzna. Przez cały okres studiów trwałam w tej utajonej euforii. Zdolna byłam do wielkich i romantycznych uczuć. Kiedy przyciskał mnie do swej piersi, osuwałam się zemdlna. I on o mojej miłości wiedział - naiwne, ale jakże piękne było to uwielbienie. I mężczyzna, i sztuka muszą robić wrażenie. Ja wtedy byłam taką egzaltowaną Julią z Werony. Przez cały czas trwałam w jakiejś euforii utajonej - zakochana w wykładach i profesorach”<sup>2</sup>.

Planowała zachować dziewictwo dla tego jednego, wyjątkowego mężczyzny. I ten człowiek niebawem miał pojawić się w jej życiu.

## STANISŁAW DYGAT

Okazał się nim jeden z najwybitniejszych przedstawicieli elity intelektualnej PRL, Stanisław Dygat. Syn wziętego przedwojennego architekta, zdolny pisarz, człowiek wiecznie cierpiący na brak pieniędzy. Miał ogromne powodzenie u kobiet, którym imponował zachowaniem godnym przedwojennego amanta, dodatkowo wdzięku dodawało mu niewymawianie litery „r”. Z twórczością Dygata Kalina zetknęła się jeszcze w liceum, nie bez powodu zresztą na egzaminie wstępnym na uczelnię zaprezentowała obszerny fragment Jeziora Bodeńskiego. W Trójmieście obracali się w tych samych kręgach, Dygat pracował bowiem jako kierownik literacki Teatru Wybrzeże. Do pierwszego spotkania doszło jednak zupełnie przypadkowo:

„Byłam jedną z niewielu - opowiadała Kalina - które interesowały się nie tylko polską literaturą, ale też autorami. Znałam pisarzy z fotografii, wiedziałam, jak wygląda Stanisław Dygat. I w Gdańsku, na spacerze, spotkałam go - siedł z moją koleżanką z teatru, Dziunią Nawrocką; okazało się (o czym jeszcze nie wiedziałam), że była jego żoną. Obejrzałam się - i zobaczyłam, że on też na mnie patrzy, ale jak! Szedł z żoną tyłem, bo patrzył na mnie. U Sienkiewicza to bym wtedy powiedziała: Mój ci on jest, ale ja naprawdę sobie pomyślałam - to będzie MÓJ MEŻCZYŻNA”<sup>3</sup>.

Małżeństwo Dygata nie należało do szczęśliwych. Władysława Nawrocka była osobą zajęta wyłącznie swoją karierą, która zresztą niespecjalnie się rozwijała. Pisarza zaś interesowała głównie własna twórczość, nawet pojawienie się dziecka niewiele w tym związku zmieniło. Oboje sprawiali wrażenie niedojrzałych emocjonalnie, po urodzeniu córki Dygat czuł się, jakby „dostał nowe ubranie albo zegarek”. Żona musiała mieć podobne wrażenie, ponieważ wychodząc kiedyś z restauracji, zapomnieli o pozostawionym w szatni niemowlęciu. Odzyskali córkę, gdy wrócili po parasol.

Kilka miesięcy po pierwszym spotkaniu Kalina i Dygat poznali się bliżej na balu sylwestrowym. Pisarz adorował aktorkę, przychodził z bukietami kwiatów na jej występy,

towarzyszył podczas spacerów po plaży. Kalinie to imponowało, a probowała również różnicę wieku (Dygat był starszy o szesnaście lat). Wreszcie Stanisław wyprowadził się z domu, trochę więcej czasu zajęła sprawa rozwodowa. Pisarz nie miał chyba z tego powodu większych wyrzutów sumienia, zżymał się tylko, że „aby się ożenić, trzeba się najpierw rozwieść”.

Pomimo ukończenia czterdziestu lat Dygat często sprawiał wrażenie chłopca, który nigdy nie chciał dorosnąć. Miał wyjątkowo kapryśny charakter, zmienne usposobienie, łatwo również obrażał się na przyjaciół. Do tego dochodziły jeszcze jego dziwaczne fobie i przyzwyczajenia. Obawiając się zabiegów stomatologicznych (co akurat jest w pełni zrozumiałe), odwiedził kiedyś dentystę, który z zagranicy przywiózł sprzęt wykorzystywany przy leczeniu dzieci. Okazało się, że były to zabawki, którymi zajmował małych pacjentów, aby zbadać im uzębienie. Dygat był zachwycony, ale pobawił się tylko kolejką elektryczną i misiami, po czym wyszedł, nie poddawszy się żadnemu zabiegowi.

W codziennym pożyciu z Kaliną również przejawiał czasami chłopięcą przekorę:

„W latach 50. rodzice pojechali z Dygatami do Włoch - opowiadała Zuzanna Łapicka-Olbrychska. - Oglądałam zdjęcia, na których Staś Dygat i mój ojciec są w wytwornych letnich garniturach z alpaki. W takim garniturze Dygat usiadł do kolacji. Kalina zaczęła go upominać: »Stasiek, poplamisz się, Stasiek, zdejmij tę marynarkę, bo się poplamisz«. Dygat spojrzał na nią przeciągle, wziął masło i zaczął nim smarować klapy marynarki. Kalinę zamurowało”<sup>4</sup>.

W stosunku do partnerki miał jednak jasno ustalony plan działania. Jędrusik miała stać się jego wersją „amerykańskiego snu”, kobietą, której wizerunek stworzy na podobieństwo gwiazd zza oceanu.

„Prawdopodobnie był jej pierwszym mężczyzną - wspominał Kazimierz Kutz. - To on ULEPIŁ ją na tę, której już nie ma. Kalina była arcydziełem Stasia i prawdopodobnie najlepszą postacią, jaką napisał. Tyle że żywą. Była jego zrealizowanym snem o Hollywood, snem o zniewalającym, amerykańskim fenomenie banału. Była tym samym idealnym przykładem nieograniczonego wpływu mężczyzny na ciało i duszę kobiety”<sup>5</sup>.



Dygat nauczył Kalinę wykorzystywać swą urodę w stylu Marylin Monroe i Brigitte Bardot. Trafił na pojętną uczennicę, partnerka bez problemów weszła w wyznaczoną jej rolę, na każdym kroku podkreślając swoją seksualność. Nieprawdopodobne warunki fizyczne, gesty, mimika, odpowiednio modulowany głos, to wszystko musiało przynieść efekt. Kalina stała się symbolem seksu, inna sprawa, że nawet w życiu prywatnym uwielbiała prowokować. Mawiała, że nie ma nic gorszego od rozpustnicy w salonie, damy z patelnią i kuchty w łóżku, zatem ona jest „dumą w salonie i rozpustnicą w sypialni”. Chyba jednak szybko straciła nad tym kontrolę, uważano, że właściwie „ciągle wykonuje jakąś aktorską etiudę na temat swojego seksu”. Niewykluczone zresztą, że był to rodzaj kompensacji po tragedii, która rozegrała się w 1955 roku.

Jędrusik zaszła w ciążę i urodziła córeczkę. Poród był jednak wyjątkowo trudny i kilka dni później dziewczynka zmarła. Kalina przeszła ciężką operację, po której na zawsze pozostała bezpłodna. Przeżywała to do końca życia, zwierzała się, że czuje się jak pularda (wysterylizowana kura). Czy przypadkiem niemożność przelania uczuć na własne dzieci nie wpłynęła na jej styl życia? Tym bardziej że niebawem pojawiły się problemy w pożyciu seksualnym z mężem.

## BO WE MNIE JEST SEKS

Trójmiasto okazało się zbyt małe na ambicje Dygatów. Stanisławowi dokuczał brak życia towarzyskiego, a Kalina uważała, że praca w Teatrze Wybrzeże nie rokuje większych perspektyw. W 1955 roku przeprowadzili się więc do Warszawy, gdzie dzięki koneksjom partnera Jędrusik została obsadzona w kilku inscenizacjach Teatru Narodowego.

Pierwszą poważną rolą w stolicy była Polly w Operze za trzy grosze Bertolta Brechta na scenie Teatru Współczesnego.

„Wróźono jej karierę operową - wspominał Bartosz Śmigielski. - Kalina i opera? Już to widzę, jak Kalina stosuje specjalną dietę bez krzty alkoholu i idzie wcześniej spać, by głos był w formie! Na początku lat sześćdziesiątych jej głos był już lekko schrypnięty. A więc Polly śpiewała już głosem Kalinowym. [...] Była to Polly najlepsza, jaką udało mi się widzieć w Polsce i za granicą. Miała coś z dziecka i coś z dziwki. I w tym przedstawieniu ona jedna i Bardini jako Peachum śpiewali songi tak, jak chciał Brecht”<sup>6</sup>.

Grała dużo i często, nie narzekała również na brak uznania widzów. Wielbiciele przynosili jej kwiaty, prezenty, przesyłali listy z niedwuznacznymi propozycjami. Jej wielkim sukcesem okazała się rola Holly Golightly w scenicznej adaptacji Śniadania u Tiffany'ego (1965). Oboje z Dygatem uwielbiali tę książkę, a dodatkowym wyzwaniem dla Kaliny było zmierzenie się z legendarną kreacją Audrey Hepburn. Adaptacji dokonał Dygat, uprzednio prosząc listownie Capote'a o zgodę; dodał jednak, że nie stać go na wysokie honorarium. Amerykański pisarz pokazał klasę, zrezygnował z wynagrodzenia i przysłał Jędrusik w prezencie zamknięte na kluczyk pudełko od Tiffany'ego.

Równolegle do kariery teatralnej rozwijała się kariera telewizyjna Kaliny. Na szklanym ekranie zaczęła pojawiać się już w latach pięćdziesiątych, ale prawdziwą popularność przyniósł jej dopiero Kabaret Starszych Panów.

Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski planowali stworzenie elitarnego widowiska, ale ich wspólne dzieło okazało się dla większości Polaków zjawiskiem kultowym. Ambicją autorów był program mający „rozśmieszać nawet Stanisława Dygata” (co nie było łatwe), nic zatem dziwnego, że zaprosili do współpracy jego żonę. Kalina pojawiła się w czwartej odsłonie kabaretu jako Kaloryferia, dziewczyna wyłaniająca się ze zbędnego żebra grzejnika. Na scenie kabaretu śpiewała swoje zmysłowe piosenki, doprowadzając do wrzenia męską część widowni.

Przygoda ze Starszymi Panami obfitowała w różne incydenty. Podczas jednego z programów miała zaśpiewać piosenkę Już kąpiesz się nie dla mnie, a Jeremi Przybora miał ją podglądać przez dziurkę od klucza. Jędrusik postanowiła zakpić z niego i rzeczywiście rozebrała się w łazience. Żart się jednak nie powiódł: dziurka okazała się atrapą, a jedynym świadkiem striptizu aktorki był telewizyjny elektryk, który na ten widok spadł z drabiny.

„Znakomicie śpiewała piosenki z Kabaretu Starszych Panów - uważał Andrzej Łapicki. - Miała mały głos, ale umiała dobrze nim operować. Przyciszony, zmysłowy. Jakby wprost do ucha. Każdy myślał, że to o niego chodzi. Za to ją najbardziej cenię”<sup>7</sup>.

Przeciwnikiem seksownych popisów Kaliny okazał się natomiast Władysław Gomułka, a szczególnie jego małżonka Zofia. Żona pierwszego sekretarza nabrała do niej

niechęci podczas transmisji jakiegoś koncertu dla robotników, kiedy Jędrusik miała na sobie suknię z ogromnym dekoltem, a na piersiach widoczny był krzyżyk. Gomułkowa interweniowała i dyrekcja telewizji poprosiła Kalinę, aby w przyszłości pokazywała się na wizji „przyzwoicie” ubrana. Następnym razem aktorka pojawiła się zapięta pod szyję, ale w pewnej chwili odwróciła się tyłem do kamery, zdjęła szal i pokazała dekolt do pośladków.

Gomułkowie niechętnie odnosili się do wszelkich kabaretów, ze szczególnym uwzględnieniem Starszych Panów. Inteligencka rozrywka była dla nich raczej niezrozumiała, zresztą irytowały ich stroje i tytuły. Opowiadano, że gdy na wizji pojawiała się Jędrusik, pierwszy sekretarz rzucał w telewizor kapciem. Inni dodawali bardziej drastyczne szczegóły, zamiast kapcia towarzysz Wiesław miał używać kałamarza czy popielniczki. Eleonora Syzdek, biografka wielu prominentnych postaci z czasów PRL, uważała to jednak za plotki:

„Nie mógł rzucać kapciami w telewizor (ani tym bardziej popielniczką czy kałamarzem), bo był człowiekiem oszczędnym. Jego oszczędność była wręcz legendarna. Niszczenie czegokolwiek, a zwłaszcza rzeczy cennej, jaką w tamtych czasach był telewizor, nie mieściło mu się w głowie. Zresztą on nie miał czasu na telewizję. To był wybitny człowiek, najbardziej pracowity spośród pierwszych sekretarzy. Czytał wszystkie dokumenty. Wystarczy prześledzić jego dzień pracy”.

Zdecydowanie protestował również syn Gomułki Ryszard Strzelecki. Podawał bardziej logiczny powód, jego ojciec był przecież kaleką i w ogóle nie nosił kapci. W domu zakładał specjalne obuwie ortopedyczne.

Inna sprawa, że tryb życia Gomułki raczej wykluczał oglądanie Kabaretu Starszych Panów. W domu pojawiał się o dziewiętnastej trzydzieści na „Dziennik Telewizyjny”, który oglądał z żoną podczas kolacji. Nie interesował się późniejszym programem, z wyjątkiem czwartków, kiedy oglądał Teatr Sensacji „Kobra”. A następnie kładł się spać.

„I tu mamy problem - zauważył Jerzy Eisler - bo Starszych Panów nadawano późno, dopiero po 22.30. A Gomułka dość wcześnie chodził spać, wiemy to z licznych relacji. Denerwowało to na przykład Chruszczowa. Kiedy po polowaniu w ośrodku rządowym w Łańsku Chruszczow chciał posiedzieć do nocy przy wódce, Gomułka się zmywał. »Towarzyszu Wiesławie, napijcie się jeszcze«. »Dziękuję, ale dokumenty muszę przeczytać,

węgiel policzyć«. Jest więc możliwość, że Gomułka nigdy do Starszych Panów nie dotrwał”.

A Kalina ciągle lubiła prowokować. Podczas koncertu z okazji Barbórki wyzywająco ubrana zeszła ze sceny i przechadzała się wśród rozochoconych widzów. Transmisja była na żywo, kierownik emisji bardzo się starał, aby kamera nie pokazała zbyt wiele. Gdy po koncercie wściekły wpadł do garderoby aktorki, ta zapytała go omdlewającym głosem, czy widział, „jak ci górnicy na nią patrzyli, jak pożerali wzrokiem?”.

„Dostałam ogromne skandujące brawa - wspominała koncert Krystyna Sienkiewicz. - Wiedziałam, że »ładnie« zaczęłam swoją telewizyjną karierę, że teraz pójdę jak burza. A tu Kalina podpruła nitkę w dekolcie, koło biustu manipulowała, szarpnęła i rozleciał się szew - i obnażyła piękne piersi. Dosyć skąpo od góry była przykryta, no i był skandal. Kalinę zaczęto »ścigać«, o mnie ktoś napisał »rewelacyjna Sienkiewicz«. Ale kiedy wspomina się tamtą galę barbórkową, to często słyszę: »Ach to było wtedy, kiedy Kalina pokazała biust Gomułce«,8.

Jędrusik nie musiała ubierać się wyzywająco, aby poruszyć męskie zmysły. Podczas jej występów panowie dostawali prawdziwego amoku, a każdemu wydawało się, że aktorka śpiewa wyłącznie dla niego. Najgorętsze owacje zbierała jednak na początku koncertów, potem do świadomości mężczyzn zaczynało docierać, że impreza się skończy, a żony pozostaną. Zdarzały się również próby demonstracji przeciwko popisom Jędrusik, pewna kobieta przyniosła na koncert specjalne gwizdki, aby zakłócić jej występ. Władze telewizji otrzymały także list podpisany przez dwadzieścia robotnic z Rybnika, w którym żądały zakazu pokazywania Kaliny na ekranie, ponieważ gorszy ich mężów.

Byli jednak mężczyźni zupełnie odporni na jej urok. Andrzej Łapicki uważał, że „wbrew pozorom nie miała seksu, choć uważała się za królową seksu”. Miała natomiast dużo wdzięku i „byłaby świetną aktorką komediową”, a w gruncie rzeczy „niepotrzebnie udawała wampa”.

„[...] Zaczęłam robić tak zwaną karierę - mówiła Kalina - niezwykłą jak na dziewczynę w tak młodym wieku. Dostałam Złotą Maskę, potem Srebrną Maskę, ale jednego dnia dostałam Maskę, a drugiego dnia zostałam wyrzucona z telewizji za »rozpasane przelewanie się na ekranie, przymykanie oczu, rozchylenie ust«. [...] Zostałam wyrugowana i wyrzucona ze wszystkich możliwych miejsc, to znaczy z filmu, estrady, telewizji. Byłam

wtedy strasznie nieszczęśliwa, po prostu rozpaczałam; mój mąż rozchorował się na serce.

Poza cudownymi moimi przyjaciółmi, Starszymi Panami, nie wolno mi było występować, ponieważ »jestem obrzydliwa, wstrętna i obrażam moralność socjalistyczną«. Byłam cały czas pilnowana: jak była premiera Kabaretu Starszych Panów, to zawsze przychodził jeden z panów (panów! to brzmi zabawnie, prawda?), którzy pilnowali, jak Jędrusik jest ubrana, czy nie ma tego słynnego dekolciku, czy sukienka nie nazbyt obcisła. Starsi Panowie byli nadzwyczajni, bo powiedzieli:

- Jak tak, to nie będzie kabaretu”9.

Wydaje się jednak, że Kalina w swoich wspomnieniach zdecydowanie mija się z prawdą. Rzeczywiście był okres, kiedy ograniczono jej obecność na wizji, ale nigdy nie dostała zakazu występów. Nie pojawiała się jednak zbyt często w repertuarze scenicznym, do którego była szczególnie predestynowana. Taka była jednak polityka kulturalna władz PRL epoki Gomułki, „moralność socjalistyczna” nie dopuszczała publicznego pokazywania erotyki.

„Uważam, że to wielka strata i dla mnie, i dla mojej publiczności. Przez kołtuństwo i obłudę ówczesnych decydentów (którzy we wnętrzach nie swoich pałaców wyprawiali takie brewerie, o jakich nie śniło się nawet dzisiejszej pocziwej porno-prasie) nie zagrałam bardzo wielu ról” 10.

Inne zdanie miał na ten temat dziennikarz, Witold Filler. W latach sześćdziesiątych był redaktorem naczelnym redakcji Rozrywki Telewizji Polskiej i zdecydowanie zakwestionował obronę Jędrusik przez Przyborę:

„Ha-ha-ha! Przybora jako obrońca Kaliny? - śmiał się. - Gwarant jej obecności w Kabarecie Starszych Panów? Proszę pana! Odkąd oddał legitymację partyjną, pan Jeremi do końca życia się bał, czy ta odwaga aby nie skupi się na nim samym, nie zagrozi jego karierze. A Kalina? Kalina Jędrusik dla ideologii tamtych czasów (dla powszechnej moralności na pewno też) nie była żadnym zagrożeniem. Co innego Antoni Słonimski. Albo inny pisarz - jej mąż, Stanisław Dygat. [...]

Otóż program Przybory i Wasowskiego był chyba najważniejszym dla mnie, dla mojej redakcji i dla telewizji programem artystycznym i rozrywkowym. Oczywiście Kalinie Jędrusik po jej pamiętnym wyskoku przyglądano się szczególnie uważnie, plotka robiła swoje” 11.

Pomimo niechęci Gomułki trudno również uznać, aby Jędrusik kiedykolwiek dyskryminowano w filmie. Nie grała wprawdzie ról omdlewających wampów (jak zapewne by chciała), ale na ekranie pojawiała się regularnie. W 1960 roku zagrała epizodyczną rolę młodej dziennikarki w Niewinnych czarodziejach Andrzeja Wajdy, potem przyszły poważniejsze oferty. W Jak być kochaną dostała główną rolę u boku Zbigniewa Cybulskiego, w Upale (nieudanej próbie przeniesienia Kabaretu Starszych Panów na wielki ekran) zagrała Zuzannę, aż wreszcie w 1967 roku pojawiła się w adaptacji książki męża Disneyland (pod tytułem Jowita). Jędrusik wcieliła się tam w rolę żony trenera, którego grał Zbigniew Cybulski (był to jego ostatni film), a w jednej ze scen miała całować się z głównym bohaterem kreowanym przez Daniela Olbrychskiego. Pan Daniel wspominał, iż „przyznał się Kalinie, że choć to już jego czwarty film, pierwszy raz się całował przed kamerą”. Ta z uśmiechem odparła, że tego debiutu nigdy nie zapomni. I słowa dotrzymała.

Dwa lata wcześniej jedyny raz pojawiła się na ekranie nago, w filmie Lekarstwo na miłość - na podstawie powieści Joanny Chmielewskiej. Była jednak w wannie szczelnie pokryta pianą, nigdy zresztą nie zdecydowała się rozebrać przed kamerą. Kiedy po złagodzeniu rygorów obyczajowych Andrzej Wajda namawiał ją, aby w Ziemi obiecanej odegrała scenę erotyczną zupełnie nago, odmówiła, tłumacząc, że nigdy tego nie robiła i teraz też nie zrobi. A była ku temu doskonała okazja, w scenariuszu były dwie sceny zbliżenia seksualnego z Danielem Olbrychskim.

„Tę słynniejszą, w pociągu - wspominał Olbrychski - Andrzej Wajda wyciął, przygotowując odnowioną wersję filmu. Kalina zagrała w niej niezwykle odważnie. Dla mnie jednak drastyczniejsza była scena w karocy. Kalina daje mi w niej depeszę przeznaczoną dla jej męża, z której wynika, że ceny bawełny pójdą w górę, a ja dzięki tej wiedzy będę mógł zbić fortunę. Otwieram dach od karety i krzyczę na całą Łódź, że to triumf. Przeczytawszy o tym w scenariuszu jakieś trzy miesiące przed zdjęciami, uświadomiłem sobie, że ręce będę miał zajęte depeszą, a Kalina siedząca naprzeciwko mnie w pewnym momencie zanurkuje w dół. Będę grał radość z depeszy i z tego, co ona robi mi pod kadrem” 12.

Olbrychski nie byłby sobą, gdyby nie postanowił zażartować z partnerki. W Danii kupił paczkę czarnych prezerwatyw (w Polsce kolorowe akcesoria erotyczne były niedostępne) i jedną z nich założył przed rozpoczęciem zdjęć.

„Już przy pierwszym dublu - kontynuował Olbrychski - przekonuję się, że miałem rację. Przy drugim dublu już się do mnie nie odzywa. Widzę, że jest speszona, choć pokrywa to aktorstwem. Przez następne dwa dni Kalina nie schodzi na śniadania w hotelu, ledwie odpowiada na moje »dzień dobry«. Myślę: »Cholera, strasznie ją czymś obraziłem«. W pewnym momencie podchodzi do mnie Kłosiński: »Kalina strasznie cię przeprasza. Nie wiem za co, ale mam ci powiedzieć, że czarne też jest piękne«, 13.

Ziemia obiecana ugruntowała złą legendę gwiazdy. Zdarzało się, że „obrońcy moralności” wymyślali jej na ulicy, do dzisiaj zresztą nie brakuje ludzi uważających, że wówczas posunęła się zbyt daleko. Została zaszufiadkowana już do końca kariery, w połowie lat osiemdziesiątych dostała ofertę zagrania szefowej domu publicznego w CK Dezerterach.

„Propozycję Janusza Majewskiego uznałam za znak czasu - mówiła z rezygnacją - zaklasyfikowanie mnie przez los do grupy, kategorii osób, wśród których i tak na pewno bym się znalazła. Bo skoro karierę filmową rozpoczynałam od ról cichodajek, mewek, panienek niezbyt ciężkich obyczajów, to musiałam kiedyś zagrać też ich szefową, burdelmame” 14.

Zachowane relacje zgodnie potwierdzają, że Kalina była niezwykle ciepłą, czynną i przyjazną ludziom osobą. Uczciwie jednak zapracowała na opinię seksualnej dewiantki, z rozmysłem szokując otoczenie. W Chałupach potrafiła przyjść rano do sklepu w wyjątkowo kusym szlafroku (i bez majtek, co było widoczne), aby kupić kilka butelek szampana. Zaciekawionym klientom wyjaśniała z uśmiechem, że „przecież musi się w czymś wykąpać”. Fotograf Zofia Nasierowska nigdy nie zapomniała sesji zdjęciowej w swoim rodzinnym domu:

„Kończymy tamten seans czy może zrobiliśmy przerwę, bo z kuchni dochodziły zapachy obiadu, który gotowała moja mama. Kalinka była wtedy szczupła jak osa, z biustem już niedługo słynnym i bioderkami, szalenie dumna ze swej figury, zresztą bardzo seksownej i fajnej. Wtedy była moda rozkloszowanych sukienek, spódnic noszonych na halkach; Kalinka

była właśnie tak ubrana. [...]

Kiedy przyszyliśmy na obiad, trochę spóźnione, przy stole siedzieli już rodzice, siostra i jakiś nasz kuzyn. Kalina głośno westchnęła:

- O kurwa, jak gorąco! - i powachlowała się, z dołu do góry, spódnicą i wszystkimi halkami. Ojcu łyżka wypadła z ręki, bo ona niczego pod spodem, pod tą sukienką nie miała!”  
15.

## ŻYCIE TOWARZYSKIE

Z pewnością pod względem uczuciowym Kalina była kobietą jednego mężczyzny - Stanisława Dygata. Tworzyli jednak przedziwną parę.

„Ich małżeństwo było takie trochę teatralne - wspominała Agnieszka Osiecka. - Małpi gaj to był ten ich dom, trochę operetkowy. Od biedy można by go nazwać salonem. Mówię od biedy, bo oni nie robili wielkich wysiłków, żeby podawać wystawne kolacje [...]” 16.

Kalina i Stanisław mieszkali wtedy przy ulicy Joliot-Curie na Mokotowie, a przez ich dom przewijały się całe hordy gości. Właściwie co wieczór ktoś u nich był, często chętni do odwiedzin nie mieścili się w mieszkaniu. Jedni przychodzili, inni wychodzili, a Kazimierz Kutz nawet przez pewien czas tam mieszkał.

„Przyjaźniłem się ze Stasiem i Kaliną przez całe lata, prawie się z nimi nie rozstając - wspominał Kazimierz Kutz. - Jak już gdzieś napisałem - przygarnęli mnie jak psa, dojrzewałem w ich domu jak zielony pomidor na jesiennym parapecie. [...] Byli najwspanialszym i najniezwykłym małżeństwem, jakie znałem. I przede wszystkim najautentyczniejszym, bez grama obłudy i kłamstwa; jak z dobrej literatury amerykańskiej, a nie z naszej rzeczywistości” 17.

Kalina czasami lubiła gotować, jej specjalnością było spaghetti, a Dygat „był żarłokiem, więc to pałaszował”. Chociaż „pochodził z eleganckiego domu” i nikt nie mógł mu zarzucić niezajomości zasad savoir-vivre’u, to „niektóre potrawy jedzono palcami”, a często „jeden brał z talerza drugiego”.



Inna sprawa, że trzeba było mieć olbrzymią tolerancję wobec ludzi, którzy okupowali non stop ich mieszkanie. Dygatowie prowadzili zresztą ze znajomymi pewną grę, której zasady i tak wszyscy znali.

„[...] Udawali, że nie chcą nikogo widzieć - opowiadała Osiecka. - Staś o szóstej wieczorem kładł się do łóżka z migreną, a Kalina obijała się w dezabilu po kuchni, udając, że nie ma nic do jedzenia oprócz wyschniętego makaronu. Przyjaciele ze swojej strony kłamali bezczelnie, że wcale się wieczorem do Dygatów nie wybierają. Niestety (stety) wszyscy wieczorem spotykali się na Mokotowie, wysiadali Stasiowi w nogach, plotkowali i godzinami oglądali telewizję. Staś oglądał wszystko - od piłki nożnej do dobranocki, i w rytmicznych odstępach czasu jęczał: »To potworne«. W ślad za nim pojękiwali goście” 18.

Pan Stanisław był wielbicielem sportu, przede wszystkim boksu i piłki nożnej, a dobry mecz potrafił porównać z inscenizacją dramatu Szekspira. W młodości sam boksował (pozostał mu po tym złamany nos) i grał w tenisa, a pierwsza wzmianka prasowa na jego temat pojawiła się na łamach „Przeglądu Sportowego”. Był z niej niezwykle dumny i powtarzał, że już nigdy żadna inna opinia nie sprawiła mu tyle przyjemności. Często gościł na meczach piłkarskich i bokserskich (z reguły z Holoubkiem i Konwickim), motyw sportu pojawiał się również w jego twórczości. Nie bez powodu główny bohater Disneylandu, Marek Arens, jest biegaczem nazywanym „kameleonem bieżni”.

Zainteresowania sportowe Dygata nie pasowały do obiegowego obrazu intelektualisty, podobnie jak słownictwo używane przez jego żonę. Pomimo bowiem całej inteligencji i seksapilu, Kalina potwornie przeklinała, chociaż świadkowie potwierdzają, że w jej inwektywach nie było chamstwa. Ale słownictwo aktorki (przynajmniej w wersji pisanej) faktycznie mogło szokować. Tym bardziej że zdarzało jej się kłąć nawet podczas spowiedzi.

„Na początku lat 80. - wspominała Zuzanna Łapicka-Olbrychska - Magda Umer postanowiła, że ochrzczi się razem ze swoim synem Mateuszem. Mnie wybrała na matkę chrzestną Mateusza, a Kalinę na swoją. Przed chrztem, którego udzielił zaprzyjaźniony ksiądz, rodzice chrzestni musieli się wyświadczyć. Odkonduło się to w mieszkaniu księdza. Jedna osoba się spowiadała, a reszta czekała na swoją kolej. W ten sposób, chcąc nie chcąc, usłyszeliśmy fragmenty spowiedzi Kaliny, która miała donośny głos. Powiedziała: »Ja wiem,

proszę księdza, że ja strasznie klnę«. Na co ksiądz: »Kalinko, to nie jest wielki grzech, najgorszy grzech to jest nienawidzić drugiego człowieka. A ty przecież jesteś niezdolna do nienawiści«. Zapadła chwila ciszy i Kalina mówi: »Nie nienawidzić? Ale niektórych to ja, kurwa, tak nienawidzę. A co ja, Jezus Chrystus jestem?«, 19.

Podobną relację przytoczył Daniel Olbrychski, miała dotyczyć spowiedzi Kaliny podczas zdjęć do Ziemi obiecanej. Wydaje się jednak, że gwiazdora zawiodła pamięć, Kalina przyjęła chrzest dopiero po śmierci Dygata, podczas kręcenia filmu nie mogła się zatem spowiadać. Relacja jego żony zasługuje zatem na większe zaufanie.

Wulgarne słownictwo Kaliny bywało czasami powodem do nieporozumień przypominających scenariusze komedii dla niezbyt wymagających widzów.

„W jednym z teatrów na próbie - opowiadał Gustaw Holoubek - Kalina Jędrusik paliła papierosa. Na scenie nie wolno palić papierosów. Zbliżył się strażak i powiedział:

- Proszę zgasić papierosa, bo tu nie wolno palić.

A Kalina jak Kalina - z wdziękiem odparła:

- Odpierdol się, strażaku.

I on strasznie się zamyślił, poszedł za kulisy i tam trwał jakiś czas. Potem nabrał powietrza, wrócił na scenę, ale tam już nie było Kaliny, tylko Basia Rylska. On jednak tego nie zauważył, bo oczy naszły mu bielmem ze wściekłości, i krzyknął do Rylskiej:

- Ja też potrafię przeklinać, ty kurwo stara!

Kompletnie zdumiona Basia pobiegła do Edwarda Dziewońskiego, który był reżyserem spektaklu, i powiedziała mu, że strażak zwariował, bo ją wyzywał bez żadnego powodu. Dziewoński strasznie się zezłościł, poszedł do strażaka i powiedział:

- A pan jest chuj!

Przy czym strażak też był już inny” 20.

Oczywiście byli tacy, co twierdzili, że nie był to żaden teatr, tylko Sala Kongresowa i nie Rylska, ale Barbara Krafftówna. Ale meritum anegdoty się zgadza: Kalina klęła, był papieros, dwóch strażaków i Edward Dziewoński.

## OTWARTE MAŁŻEŃSTWO

Dygata powszechnie uważano za hipochondryka, w rzeczywistości jednak pisarz poważnie chorował na serce. Jego stan stał się na tyle poważny, że lekarze zasugerowali mu rezygnację z aktywności seksualnej. Dygat przyjął to z kamiennym spokojem i zaproponował Kalinie otwarte małżeństwo. Uznał, że ważniejszy jest związek psychiczny dwojga ludzi niż więź erotyczna, ale nie chciał, aby żona rezygnowała z przyjemności życia. Przy okazji wydał podobno również bankiet z powodu przejścia na „erotyczną emeryturę”.

W życiu Kaliny zaczęli pojawiać się inni mężczyźni. Nie ukrywała tego przed Stanisławem, jej partnerzy „legalnie” odwiedzali ją w domu, a pisarz na noc „zamykał drzwi do swojego pokoju na zamek yale”.

Kalina twierdziła, że miała najwyżej pięć romansów i to w dodatku z nikim znaczącym. Opowiadała, że nie sypiała „z reżyserami, dyrektorami czy innymi decydentami”, preferując „romantyczne historie z biednymi studentami”.

Nie jest to zgodne z prawdą, przez jej życie przewinęło się bowiem całkiem interesujące grono mężczyzn. Lubiała przystojnych partnerów, sypiała z aktorami Władysławem Kowalskim i Tadeuszem Plucińskim, operatorem Wiesławem Rutowiczem, tyczkarzem Włodzimierzem Sokołowskim i piosenkarzem Wojciechem Gąssowskim. Z tym ostatnim Dygat nawet się zaprzyjaźnił i razem chodzili na mecze, byli bowiem zagorzałymi kibicami.

Gdy Gąssowski remontował mieszkanie, pan Stanisław zaproponował mu przeprowadzkę do siebie. Niebawem jednak za piosenkarzem pojawiła się jego żona, Małgorzata Potocka. Po latach przyznała, że „stanowili zgodny, przynajmniej przez jakiś czas, trójkąt”.

„Oni ciągle uprawiali coś, co można nazwać życiem w trójkę - wspominała Agnieszka Osiecka - bo Kalina ciągle miała jakiegoś adoratora cudownego. Potem ten adorator zakochał się w Stasiu. Pierwszy znany romans Kaliny to był do dziś atrakcyjny amant teatru Syrena. Kalina się w nim strasznie zakochała, a on się w niej strasznie zakochał. Poleciała mu, żeby poszedł do Dygata i powiedział: Kocham pańską żonę, może mnie pan wyzwać na pojedynek, będziemy się strzelać, i tak dalej w tym guście. I ten biedny amant poszedł do Dygata i powiedział: Kocham pańską żonę. A Dygat zaczął z nim rozmawiać w sposób tak uroczy, że kompletnie go rozbroił i całe uczucie tego amanta zaczęło przechodzić na Dygata. Zaczął wyprowadzać psy na spacer i potem kompletnie był jego niewolnikiem” 21.

Do legendy przeszły słowa pisarza opowiadającego znajomym o swoim zaskoczeniu, gdy kiedyś wrócił wcześniej z podróży służbowej, „a Kalina spała zupełnie sama”.

Dla niektórych jednak stosunki panujące u Dygatów były trudne do zaakceptowania.

„Pamiętam wizyty na Joliot-Curie - opowiadał Daniel Olbrychski. - Przeważnie z okazji meczów piłkarskich albo festiwalu w Opolu. Bywali tam Holoubek, Konwicki, przysłuchiwałem się ich rozmowom, to były dla mnie jakby wyższe studia. Przewijała się w tym wszystkim Kalina, wchodziła w jakimś szlafroczku, popatrzyła trochę, gryząc jabłko. Potem wracała do drugiego pokoju spać z aktualnym narzeczonym. Ja, wychowany w purytańskich warunkach przez babcię i mamę, byłem zaszokowany” 22.

Czasami zdarzały się jeszcze bardziej drastyczne sytuacje, zakrawające wręcz na ekshibicjonizm. I nie chodziło tutaj wcale o publiczne demonstrowanie braku bielizny.

„Drzwi były otwarte, wystarczyło nacisnąć klamkę - relacjonowała Zuzanna Łapicka-Olbrychska. - Tłum kłębił się już w przedpokoju. Kalina leżała w łóżku, była goła, co było widać, gdy nogami podnosiła kołdrę. Obok niej często leżał jakiś młodzieniec. Goście siadali na tym łóżku” 23.

Zdarzało się również, że Jędrusik, wracając późno do domu, specjalnie rwała pończochy, aby Dygat myślał, że przychodzi z erotycznej eskapady. Był jednak bardzo

wyrozumiały, ona często zdawała mu relacje ze swoich przygód, a on pocieszał ją po zakończonych romansach. A podróżując z koncertami po Polsce, miała ich niemało.

„Staś czekał na jej powroty - twierdził Kazimierz Kutz - bo przywoziła niezwykle opowieści; choćby tę o jednym z gwiazdorów telewizyjnych, który usiłował ją zgwałcić w sleepingu i - jak się okazało - nie mając czym, zaczął przypinać coś sztucznego” 24.

Kalina, przygotowując się do roli pani Wąsowskiej w ekranizacji Lalki, pobierała lekcje konnej jazdy. Instruktorem był pewien przystojny rotmistrz, na którym uczennica wywarła duże wrażenie.

„Kiedyś wróciła wieczorem do domu - wspominał Jerzy Gruza. - Staś leżał na łóżku, a ona zaczęła mu pokazywać, jak ją ten rotmistrz instruuje:

»On mnie tak, to ja mu tak, on mi wtedy każe tak, to ja na to tak«. Staś słucha i w końcu mówi: »Kalina, czy jesteś pewna, że on cię nie pierdolił?«, 25.

## ŚWIAT BEZ STASIA

Stanisław Dygat zmarł na atak serca w styczniu 1978 roku. Śmierć męża, mentora i przyjaciela w jednej osobie, wywarła na Kalinie wstrząsające wrażenie. Przyjęła chrzest i z gorliwością neofitki godzinami leżała krzyżem przed ołtarzem. Została też matką chrzestną Magdy Umer, gdy i ta zdecydowała się nawrócić. Przez pewien czas nie unikała jednak kontaktów towarzyskich w dawnym stylu, tłumnie odwiedzano ją przy Kochowskiego na Żoliborzu, gdzie spędzili z Dygatem ostatnie lata jego życia.

„Tam nawet już po śmierci Stasia - opowiadała Zuzanna Łapicka-Olbrychska - też pojawiał się zestaw ludzi, którzy by się nigdy nie spotkali, gdyby nie Kalina. Ona nimi zarządzała, wносиła dania, robiła atmosferę, a ludzie gadali ze sobą. Byli tacy trochę przetrąceni, Kalina dawała im kopa energetycznego. Była jak włoska la mamma” 26.

W rocznicę śmierci męża zamawiała mszę za spokój jego duszy, po czym urządzała przyjęcie dla znajomych. Podawała potrawy, które lubił, pito również jego ulubione trunki. Ale przestrzegała nakazów kościelnych, kiedyś nawet nie chciała Olbrychskiemu pożyczyć

korkociągu. Pan Daniel przyjechał do Juraty prosto ze strajku w Stoczni Gdańskiej i koniecznie chciał w nocy napić się wina. Ale przecież Kościół zawsze ogłaszał sierpień miesiącem trzeźwości.

Czasami pojawiała się dawna Kalina, co w pewnych sytuacjach przybierało z reguły humorystyczny obrót:

„Gdy w 1979 r. papież przyjechał do Polski - kontynuowała Łapicka - biegała na wszystkie msze. Jej temperament nie wytrzymał jednak śpiewania pieśni religijnych. Na mszy na placu Zwycięstwa przy drugiej zwrotce »My chcemy Boga« zaczęła synkopować, ruszać biodrami, bić rytmicznie w dłoń. Obok niej stała Aleksandra Śląska i też kołysała biodrami. Jak Kalina znudziła się śpiewem, powiedziała: »Oleśka, idziemy«, 27.

Jej kariera zaczęła się załamywać, grywała jeszcze epizody w filmach i drugoplanowe role na scenie Teatru Polskiego czy Teatru Telewizji. Zamykała się w sobie, otoczona gromadą ulubionych zwierząt. Miała astmę, uczulenie na sierść groziło jej śmiercią, ale nie zwracała na to uwagi. Zwierzęta stały się bowiem treścią jej życia, mówiła nawet, że jest szczęśliwa, że „Staś zabrał do siebie ich Żabcię” (ulubionego pekińczyka).

Zmarła na atak astmy 7 sierpnia 1991 roku, pochowano ją u boku Dygata na Starych Powązkach w Warszawie.

## POŚMIERTNA AWANTURA

Po jej śmierci wybuchła afera o spadek. W ostatnich latach życia Kaliną opiekowała się Aleksandra Wierzbicka, pracownica WSS Społem. Pełniła u niej funkcję gosposi, była „opiekunką, pomocą, zaopatrzeniowcem”. Niebawem po pogrzebie pojawił się testament ustanawiający Wierzbicką jedyną jej spadkobierczynią. Problemem było to, że dokument nie został zalegalizowany przez notariusza, jednak jako jego świadkowie wystąpili: Anna Płoszaj-Dejmek, Mirosław Rossowski z PAGART-u i dziennikarz Zbigniew Dzięgiel.

Rodzina Kaliny (siostra i jej potomkowie) skierowali sprawę do sądu, ten jednak uznał ważność testamentu, stwierdzając również (na podstawie zeznań świadków) brak więzi rodzinnej pomiędzy Kaliną a siostrą i jej dziećmi.

Przyjaciele Kaliny podzielili się na dwa obozy. Część stanęła po stronie Wierzbickiej (Wojciech Gąssowski), inni (Małgorzata Potocka) po stronie rodziny. Teraz, po latach, Gąssowski przyznał się do błędu:

„Zebrała się wtedy grupa przyjaciół i była tylko jedna myśl: co ta biedna Ola teraz zrobi - wspominał piosenkarz. - Dziś, z perspektywy czasu, wiem, że to było nieporozumienie. Czuję wściekłość, że tak się stało. Byliśmy naiwni. I jest mi wstyd przed rodziną Kaliny” 28.

W 2000 roku Wierzbicka sprzedała dom Kaliny, tłumacząc się, że musi spłacić córkę Dygata z pierwszego małżeństwa. Miała założyć fundację jej imienia, która jednak do dzisiaj nie powstała, a pamiątki po artystce trafiają na aukcje. Rodzina nie dostała nawet propozycji pierwokupu. W 2009 roku Wierzbicka zarejestrowała znak towarowy „Kalina Jędrusik”, dzięki czemu ma prawo czerpać profity, ilekroć nazwisko artystki pojawi się przy okazji edycji płyt, książek czy festiwali. I unika kontaktów z dziennikarzami.

„Testament nie wydaje mi się wiarygodny - anonimowo stwierdził jeden z przyjaciół Kaliny, do którego dotarła redakcja tygodnika »Wprost«. - Tego typu pragnień nigdy z ust Kaliny nie słyszałem. Ale wtedy rzeczywiście było tak: trzeba pomóc Oli. Zbieramy się i pomagamy” 29.

I pomogli...

## Rozdział V.

Niezniszczalna Mira

### GWIAZDA SCENY KABARETOWEJ

Tylko nieliczne gwiazdy sceny Drugiej Rzeczypospolitej utrzymały swoją pozycję w epoce PRL. Wojny nie przeżyli Eugeniusz Bodo i Kazimierz Junosza-Stępowski, na emigracji pozostali: Loda Halama, Hanka Ordonówna i Fryderyk Járosy. Przedwojennej popularności nie odzyskał Aleksander Żabczyński, a występy na kolaboracyjnych scenach złamały karierę Adolfa Dymyzy. Właściwie tylko Mieczysław Fogg i Ludwik Sempoliński cieszyli się dawnym uznaniem.

Zupełnie inaczej potoczyły się losy Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej. Jedna z największych gwiazd kabaretu okresu międzywojennego zrezygnowała z kariery estradowej, ale jako współzałożycielka i wieloletnia dyrektorka słynnego „Mazowsza” na zawsze zapisała się w dziejach polskiej kultury. Zdobyła również najwyższe uznanie czynników partyjno-rządowych PRL, a jej pozycją nie zachwiała nawet niewyjaśniona do końca sprawa kolaboracji podczas wojny.

Mira Zimińska-Sygietyńska urodziła się w lutym 1901 roku w Płocku. W rzeczywistości nazywała się Marianna Burzyńska, a jej rodzice byli zawodowo związani z miejscowym teatrem (ojciec był dekoratorem, matka prowadziła bufet i szatnię). Przyszła gwiazda karierę rozpoczęła w rodzinnym mieście, następnie przez Radom trafiła do Warszawy. Chciała zostać gwiazdą kabaretu i dążyła do tego z wielką determinacją.

„[...] Kręciło się po teatrze takie nieduże coś - wspominał początki jej kariery Konrad Tom - co miało w swojej niebrzydkiej twarzy dziwny upór, jakąś beczelność, ambicję i



zacięcie typu: »Będę tu występować, choćby nie wiem co «,1.

Karierę rzeczywiście zrobiła, uznano ją za jedną z „trzech gracji” polskiego kabaretu, obok Hanki Ordonówny i Zuli Pogorzelskiej. Znakomita aktorka, tancerka i piosenkarka stała się prawdziwą gwiazdą Qui pro Quo, Morskiego Oka i Cyrulika Warszawskiego. I jednym z najważniejszych symboli rozrywki okresu międzywojennego.

„Nigdy pani Zimińska - pisał w recenzji Tadeusz Boy-Żeleński - nie miała tyle sposobności do roztoczenia swego temperamentu i nerwu scenicznego, co w ostatnich dwu programach, które dźwiga na swoich golutkach, jak przystało, barkach”2.

Powszechnie ceniono jej inteligencję i poczucie humoru, Fryderyk Jąrosy nie byłby jednak sobą, gdyby nie miał na ten temat własnego zdania.

„Komizm pani Miry Zimińskiej jest tak spontaniczny, tak nieprzeparty, że nawet gdy załatwia sprawy formalne, to ludzie pękają ze śmiechu. Niedawno usłyszałem wybuch śmiechu w kancelarii dyrekcji. Wchodzę, dyrektor Majde tarza się po ziemi, a Zimińska stoi z niewinną miną. Co się stało? Okazuje się, że ona tylko wymieniła wysokość gaży, jaką chce otrzymywać w tym sezonie”3.

Zimińska zadebiutowała również w filmie, zagrała łącznie w dziewięciu produkcjach, chociaż z reguły nie kreowała ról pierwszoplanowych. Ważniejsze były jednak jej występy na scenach poważnych teatrów, to oznaczało aktorską nobilitację. Grała w Teatrze Małym u Arnolda Szyfmana i w Ateneum u Stefana Jaracza, wcielała się w role komediowe wysoko oceniane przez krytykę.

## W KRĘGACH WARSZAWSKIEJ BOHEMY

Status gwiazdy narzucał pewne zachowania, a Zimińska idealnie odnalazła się w roli celebrytki. Zawsze modnie ubrana, ceniła wyrafinowaną elegancję, uwielbiała również dobre samochody.

„Byłam jedną z pierwszych automobilistek - wspominała po latach. - Wtedy w Warszawie było o wiele luźniej, nie tak ciasno jak teraz. Niewielu ludzi miało własne auta.

Jeździło się dorożkami. Duma mnie rozpierała, kiedy je mijałam. Konie po trochu musiały przyzwyczać się do samochodów. Ludzie się nawet do mnie uśmiechali i pozdrawiali, a ja sobie z fantazją zajeżdżałam” 4.

Czasami jednak ze zbyt dużą fantazją, w Wilanowie potrafiła rowerzystę, a tajemnicą artystki pozostaje, w jaki sposób udało się jej poturbować cyklistę wyłącznie tylnymi kołami. Sprawa znalazła swój epilog w sądzie, co kosztowało Zimińską znaczną sumę.

Samochody kupowała z dużymi upustami, salony sprzedaży doceniały reklamę, jaką robiła im popularna artystka. A Zimińska miała wyrafinowane upodobania. Po renaulcie i citroenie przyszła pora na mercedesa, a następnie na luksusowe marki, Voisin i Bugatti. Tym ostatnim modelem brała nawet udział w rajdach samochodowych i w jednym pokonała znanego wielbiciela sportów motorowych, księcia Eustachego Sanguszkę.

Burzliwe było również życie osobiste artystki. Bardzo wczesnie wyszła za mąż, jeszcze w Płocku poślubiła muzyka Jana Zimińskiego.

„Kiedy miałam szesnaście i pół roku, odbył się mój ślub z Janem Zimińskim. Potem było wesele. Przyszło bardzo dużo gości, wielu artystów, bo był sezon, a Zimiński coś tam skomponował i grał nawet w teatrze. Na tym weselu mój małżonek był jedynym człowiekiem, który umiał grać na instrumencie, więc grał na pianinie do tańca. Goście bawili się, a pan młody, biedak, całą noc grał. Potem lekko podchmieleni goście poszli i został mi mąż”5.

Niedługo po przeprowadzce do Warszawy małżeństwo się rozpadło, wydaje się, że mąż nigdy nie potrafił rozbudzić jej erotycznie. Pierwsze zbliżenie zapamiętała jako „koszmarek chirurgiczny”, który na zawsze „wrył jej się w pamięć jako coś okrutnego”. Potem nie było lepiej, wreszcie Zimiński znalazł sobie inny obiekt uwielbienia, a w życiu Miry także zaczęli się pojawiać inni mężczyźni.

„Z Zimińskim rozstałam się - wyjaśniała - znalazł bowiem sobie jakąś piękną panią i poszedł sobie. Raz mnie tylko przyszedł dusić, bo powiedział, że nie może żyć beze mnie, ale nie dodusił. I to wszystko. Potem był rozwód, to się ożenił. Nigdy go już więcej nie spotkałam. To był bardzo wielki talent, który - przypuszczam - zmarnował się”6.

Przez jakiś czas Mira była kochanką pewnego doktora, którego w swoich wspomnieniach nazywała Wiktoorem K. Mimo że tajemniczy Wiktor był żonaty, spędzał z nią jednak dużo czasu, razem podróżowali po Europie, to on właśnie nauczył ją obycia w wielkim świecie. A na zakończenie romansu podarował czerwonego mercedesa.

Wraz z rozwojem kariery powiększało się grono znajomych Zimińskiej. W pewnym okresie skamandryci dosłownie okupowali jej mieszkanie, przygotowując tam swoje szopki polityczne. Przy okazji przekraczali też granice gościnności:

„Przychodzili niemal codziennie. Tuwim, Słonimski, Lechoń, Sygietyński, niekiedy Iwaszkiewicz. Przychodzili wcześniej, jeszcze przed teatrem. I zaczynali próby, ja szłam do teatru, a oni sobie u mnie siedzieli, pisali, układali teksty, Sygietyński muzykę. Kiedy wracałam po teatrze, oni jeszcze siedzieli. Potem zaczęli zapraszać gości. Przychodzili Leon Schiller, Irena Krzywicka, Jaś Parandowski z żoną. Feliks Topolski, Jurek Paczkowski i inni”<sup>7</sup>.

Zimińska wracała zmęczona z teatru i czasami kładła się spać bez kolacji, bo goście spustoszyli spiżarnię. Problemy bywały również z kąpielą, bo na przykład nagi Słonimski tłumaczył jej w łazience, że obowiązuje kolejka. Inna sprawa, że aktorka nie zawsze docierała do domu, czasami wolała iść na dansing. Z tego powodu miewała problemy z regeneracją po nocnych szaleństwach; kiedyś Adolf Dymśa zamówił orkiestrę strażacką, aby obudziła ją rano na próbę.

Aktorkę łączyły również bliskie kontakty z przedstawicielami arystokracji, w jej życiu pojawiali się „Sobańscy, Tarnowscy, Lubomirscy”. Bywała w arystokratycznych siedzibach, w Kruszynie u Lubomirskich i w Kozłówce u Zamoyskich. Szczęólnego rodzaju stosunki łączyły ją ze Stanisławem Lubomirskim:

„I właściwie ta nasza przyjaźń... Czy to była miłość? Nie, lubił, kiedy opowiadałam o sobie, lubił, kiedy śpiewałam w domu, i cenił mnie również za to, co robiłam na scenie - tak mi się wydaje. To chyba było tak. Był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego poznałam”<sup>8</sup>.

Inny charakter miała znajomość z właścicielem Hotelu Europejskiego, księciem Sewerynem Czetwertyńskim. Arystokrata wielokrotnie ratował Mirę z opresji, szczególnie w

sytuacjach, gdy Jan Tarnowski uszczęśliwiał ją upolowaną zwierzyną. Pewnego dnia podarował jej dziesięć zajęcy, innym razem zmusił do przyjęcia ubitego dzika. Kucharze Czetwertyńskiego uporali się z problemem, ale goście Zimińskiej nie przepadali za dziczyzną.

W tym czasie przeżyła wielką miłość; zakochała się w Jerzym Stempowskim, który był synem partnera życiowego Marii Dąbrowskiej. Imponował jej inteligencją, ogromną wiedzą, a nawet kompletnym brakiem wyposażenia mieszkania (miał tylko żelazne łóżko i kilka tysięcy książek).

„Jerzy to był dla mnie najważniejszy człowiek w życiu - wspominała po latach. - Czy ja wiem, czy ja wiem... Wiem, że nigdy byśmy do siebie nie pasowali. On biedny mędrzec, jakiś filozof. Ja artystka, zawsze elegancka, wonna - w mercedesie. Śmieszne”<sup>9</sup>.

Na zawsze zachowała do niego sentyment, jednak w jej życiu pojawił się Tadeusz Sygietyński. Właściwie nawet nie pojawił się, on był w nim już od lat. Utalentowany muzyk i kompozytor współpracował z teatrami rewiowymi, „kręcił się ciągle za kulisami”, przyjaźnił się ze skamandrytami. I rzeczywiście „ciągle był”, komponował, „przychodził i grał na fortepianie - a grał tak pięknie”.

Zamieszkali razem dopiero po wybuchu wojny, Mira doszła do wniosku, że „nie jest jej dobrze na świecie”, a jak wiadomo, nieszczęścia zbliżają.

„Znakomity człowiek, kochany - przyznawała wiele lat po jego śmierci. - I właściwie to był przyjaciel mojego życia. Towarzysz mojego życia. Byłam szczęśliwa, że gra, że jest. Ja właściwie nie umiałam żyć bez jego muzyki. Jeśli czegoś mi teraz brakuje, to Tadeusza. Słyszę, jak grają jego piosenki. Ale już nie są te same”<sup>10</sup>.

Pobrali się wiele lat później, w 1954 roku.

## OKUPACYJNE KONTROWERSJE

Jeden z pierwszych nalotów niemieckich na Warszawę zastał Mirę w salonie fryzjerskim w Bristolu. Wojna wojną, ale luksusowa kobieta miała przecież swoje potrzeby. Niebawem jednak stolica poznała inną Mirę. Wrześniowe oblężenie przetrwała w mieście,

pracowała w szpitalu polowym, została również lekko ranna podczas jednego z nalotów. Doceniono jej postawę, po latach otrzymała Krzyż Armii Krajowej.

We wrześniu 1940 roku aresztowano ją wraz z grupą literatów w podwarszawskim Karolinie. Trafiła na Pawiak, a jej zachowanie w hitlerowskim więzieniu zasługuje na słowa najwyższego uznania. Pomimo tragicznych warunków nie załamała się, a swoją postawą podtrzymywała na duchu współwięźniarki. Za cichą zgodą nadzorczyń śpiewała przed towarzyszkami niedoli, odgrywała również różne skecze, dając im chwilę zapomnienia.

„Czasem udało nam się prześliznąć do »salonu« - wspominała Barbara Wiśniewska-Sokołowska - aby na występach Zimińskiej »napić się i nadyszeć uśmiechniętej Warszawy«. Podziwialiśmy wtedy panią Mirę, taką na co dzień, bez szminki i świateł reflektorów, przybraną tylko w jakiś udrapowany ręcznik, ale zawsze jednakowo urzekającą swym olbrzymim talentem” 11.

W tym czasie trwały już gorączkowe zabiegi o jej zwolnienie. Najważniejszą rolę odegrali Sygietyński oraz Dymsza, którym udało się namówić do interwencji Stanisława Heinricha, dyrektora koncesjonowanych (tzn. działających jawnie, za zgodą okupanta) teatrzyków rewiowych. Heinrich oświadczył na gestapo, że z powodu uwięzienia znanej aktorki jego nowy projekt (kabaret Złoty Uł) nie rozpocznie działalności, a Zimińska została aresztowana przez przypadek.

Ceną za zwolnienie miał być jej udział w przedstawieniach kolaboracyjnej sceny, na co Mira wyraziła zgodę. Zasięgnięto jeszcze opinii Dobiesława Damięckiego, członka zarządu Związku Artystów Scen Polskich, która to instytucja nakazała aktorom bojkot koncesjonowanych scen. Damięcki uznał, że „jest to siła wyższa” i zgoda Zimińskiej na występy w Złotym Ulu „nie może wywołać żadnych zastrzeżeń ze strony Związku”.

Mira faktycznie została zwolniona i wzięła udział w trzech programach kabaretu. Występowała również na innych kolaboracyjnych scenach, a Sygietyński współpracował nawet z Teatrem Komedia zarządzanym przez Igo Syma i Józefa Horwatha. Mira i Tadeusz utrzymywali z nimi również stosunki towarzyskie.

Sprawa kolaboracji polskich aktorów z Niemcami należy do wyjątkowo wstydliwych

tematów. Z reguły pomijana jest milczeniem, całkowicie zresztą niesłusznie, ponieważ wyciszenie sprawy nie spowoduje jej zniknięcia. Warto jednak temat potraktować indywidualnie, inną wagę miała bowiem kolaboracja w sytuacjach zagrożenia życia, a czym innym była współpraca z okupantem z chęci zysku. Nie należy też chyba oceniać wyborów, których dokonywali ludzie w czasach okupacji. Był to wyjątkowej kategorii kataklizm, a aktorzy musieli z czegoś żyć i utrzymać rodziny. Dochodził do tego jeszcze zwykły ludzki strach o siebie i bliskich. Najlepiej zatem przedstawić wyłącznie fakty, ocenę pozostawiając czytelnikom.

Uczciwie zresztą trzeba przyznać, że bojkot ogłoszony przez ZASP przyniósł ograniczone efekty. Wielu aktorów grało na koncesjonowanych scenach, dopisywała również widownia. Frekwencja sięgała aż 80 procent, co oznaczało, że teatry odwiedzali nie tylko folksdojczy z rodzinami. Pewien odsetek widzów stanowili wprawdzie okupacyjni nuworysze - waluciarze, handlarze i szmalcownicy, nie brakowało jednak również przeciętnych warszawiaków. Częstymi gośćmi kabaretów bywali także żołnierze podziemia, odreagowujący stres po udanych akcjach.

Zimińskiej zarzucano jednak zachłanność na pieniądze, miała otrzymywać po sześćset złotych za spektakl, podczas gdy zwykła gaża nie przekraczała stu złotych. Ale przecież była gwiazdą i to jej nazwisko ściągało tłumy na widownię. Zresztą z czegoś musiała żyć, trudno więc dziwić się artystce, że sprzedawała się drogo.

Innym zarzutem stawianym Sygietyńskim było pisanie donosów o żydowskim pochodzeniu innych aktorów. Nie wiadomo jednak, ile w tym prawdy, a rozstrzygające jest powojenne orzeczenie Sądu Centralnego ZASP, w którym uznano ich postawę za nienaganną. W każdym środowisku donosy zawsze się zdarzały, niezależnie od panujących okoliczności. Nie wiadomo, czy rzeczywiście pisali je Sygietyńscy, ich koledzy natomiast zrobili po wojnie wiele, aby im zaszkodzić.

Niezależnie od popisów na koncesjonowanych scenach, Mira demonstrowała patriotyzm. Regularnie występowała w kawiarniach prowadzonych przez aktorów (Arria u Aktorek, Sztuka i Moda), gdzie zawsze mogła liczyć na pełną frekwencję. Jej obecność przyciągała klientów, podnosiła obroty, umożliwiając pomoc finansową rodzinom uwieczonych. Na jej występy rezerwowano miejsca tydzień wcześniej, chociaż nie była

jedyną gwiazdą. Nawet w charakterze kelnerek pracowały tam bowiem uznane sławy, nigdy wcześniej w jednym miejscu nie można było spotkać tylu znanych osób.

„Szczególnym powodzeniem i - rzekłbym - szacunkiem wśród inteligencji warszawskiej - wspominał Jerzy Waldorff - cieszyła się schowana w głębi podwórza na Mazowieckiej od placu Napoleona [...] restauracja i kawiarnia aktorów »Arria«, gdzie rolę gospodyni pełniła Mieczysława Ćwiklińska, zaś kawiarką przy maszynie ekspresowej była Ewa Bandrowska-Turska. Zwykliśmy tam spotykać się po południu z Edmundem Rudnickim. Specjalnie zaś pilnowaliśmy okazji, kiedy swoje piosenki przy akompaniamencie męża nuciła Mira Zimińska, a przerwy jej występów zapelniali grą na dwóch fortepianach Andrzej Panufnik i Witold Lutosławski” 12.

Niezwykle ważnym okresem w życiu Sygietyńskich okazało się powstanie warszawskie. Jeżeli Mira miała rzeczywiście coś na sumieniu, to swoją postawą w dniach stołecznej apokalipsy całkowicie odpokutowała winy. Występowała dla powstańców i ludności cywilnej, często w bezpośredniej bliskości walk. W walczącej Warszawie wszędzie zresztą było blisko do linii frontu.

„Na wydziale architektury Politechniki była olbrzymia sala - wspominała Zimińska. - Nasi chłopcy bardzo chcieli, żeby w niej koncertować, choć gmach ten był dość blisko pozycji niemieckich. Występowałam tam kilka razy. Raz, pamiętam, grała Irena Dubińska. Grał Jan Ekier. Mnie akompaniował Tadeusz. Okna sali wychodziły na Koszykową. Sala była nabita. Jakiś snajper usiłował się wstrzelić, ale chybił. Kula trafiła w ścianę pomiędzy mną a Tadeuszem - nad fortepianem. Osypało mnie tynkiem. Ładnie ten tynk strzepnęłam, przesunęłam się nieco i śpiewałam dalej. Dostałam wielkie brawa” 13.

Jeszcze większe dostał Jan Ekier, który z filozoficznym spokojem podniósł z podłogi pocisk, położył go na fortepianie i kontynuował koncert.

Nie zawsze jednak kończyło się tak spokojnie. Inną imprezę w tej samej sali zakłócił atak niemieckich bombowców.

„I oto w trakcie koncertu nadleciały samoloty niemieckie - opisywał Zdzisław Libera - które zrzuciły bomby. Tynk zaczął spadać z sufitu i ze ścian, wewnątrz sali wypełnił gęsty pył,

powstało zamieszanie. Pani Mira przerwała koncert, głos jej nagle zamilkł, jakby ugrzązł w gardle, oczy napełniły się łzami. Obecni na sali przeżyli to wydarzenie głęboko, wczuwając się w coś dramatycznego o wymiarze tragicznego symbolu, miazdząca siła barbarzyństwa zmierzyła się ze sztuką. - Nie było warunków do kontynuowania koncertu” 14.

Mira nie ograniczała się wyłącznie do koncertów, pomagała również w szpitalach. Szczególnie przejmująca jest historia, gdy ciężko ranny powstaniec poprosił artystkę, aby trzymała go za rękę podczas operacji. Młodzieńcowi usunięto gałkę oczną bez znieczulenia (!), a Zimińska była przy nim cały czas obecna.

## KAROLIN

Sygietyńscy przetrwali w stolicy do kapitulacji powstania, a następnie przez obóz w Pruszkowie dotarli do Tarczyna. Do Warszawy wrócili już dwa dni po zajęciu jej przez Sowieców, następnie jednak przenieśli się do Łodzi. Tam niezmordowana Mira wznowiła karierę. Grała w Ich czworo Zapolskiej i Żołnierzu królowej Madagaskaru, koncertowała w Lublinie i Krakowie. Nie zapomniała o stolicy, razem ze Stefanem Rachoniem dali osiemnaście recitali w sali Wedla na Pradze.

Kiedy Zimińska wracała do dawnej formy, jej partner planował dzieło swojego życia. Zawsze miał upodobanie do polskiego folkloru, pozostając pod ogromnym wpływem dzieł Oskara Kolberga. W nowym ustroju państwa dostrzegł szansę dla siebie, komuniści popierali sztukę ludową, a w Polsce nie było dotychczas profesjonalnych zespołów propagujących rodzimy folklor.

Zapatrzeni w sowieckie wzorce dygnitarze dostrzegli, jakie triumfy za wschodnią granicą święcą Zespół imienia Piatnickiego czy Chór Aleksandrowa. Zapadła decyzja o stworzeniu w Polsce podobnej grupy, a właściwym do tego człowiekiem okazał się Tadeusz Sygietyński.

„[...] Miał wizję »Mazowska« już przed wojną - uważał Aleksander Jackowski. - Już wtedy chciał pokazać wieś jako coś szalenie szlachetnego. Lud dla niego nie był tylko zbiorowiskiem chłopów. Ta kultura miała dla Sygietyńskiego swój wykwiut. Uważał, że muzyka ludowa może zabrzmieć bardzo pięknie i że wszyscy ludzie mogą jej z dużą



przyjemnością słuchać” 15.

Sygietyński chciał raz na zawsze „przekreślić los Janków Muzykantów”, a siłą zespołu mieli stać się kształceni od podstaw młodzi ludzie. Opętany swoją ideą zaraził nią partnerkę, Mira zresztą myślała już o rezygnacji z kariery estradowej. Chociaż zawsze ciągnęło ją na scenę, zdawała sobie sprawę z upływu lat, a nigdy nie miała wielkiego głosu. Sygietyński wiedział, że może na niej całkowicie polegać. Powtarzał, że „ma Mirę”, która czuje, że założenie zespołu ludowego „jest dużą sprawą”.

Państwowy Ludowy Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze” został powołany w listopadzie 1948 roku. Zimińska zajęła się sprawami organizacyjnymi, na plan pierwszy wysunęło się znalezienie odpowiedniej siedziby. Zrezygnowała z pałacu Branickich w Białymstoku, uznając, że budowla jest zbyt oddalona od Warszawy, co uniemożliwi zaangażowanie odpowiedniej kadry pedagogicznej. Zwróciła natomiast uwagę na pałacyk w Karolinie, w pobliżu Nadarzyna. Wprawdzie mieściło się w nim sanatorium dla nerwowo chorych, ale z końcem roku miało zostać zlikwidowane. Czas jednak nagiął, ostatecznie Sygietyńscy wynajęli piętro budowli, gdzie umieścili pierwszą grupę dzieci.

Zimińska działała metodą faktów dokonanych; gdy zwalniał się pokój, natychmiast wprowadzała tam swoich podopiecznych. Z tego powodu wezwano nawet kiedyś milicję, co nie zmieniło postępowania aktorki. Dzieci zakłócały spokój pensjonariuszom zakładu, nie znosili ich również ludzie poszukujący w Karolinie wytchnienia od codziennych stresów. A Zimińska nie traciła animuszu, nie mając dostatecznej liczby łóżek, zwróciła się o pomoc do pobliskiej jednostki wojskowej.

„Pojechałam do wojska - wspominała po latach. - Zameldowałam się u jakiegoś pułkownika czy generała. [...] Przyjął mnie z tzw. sercem. Pożyczył nam »piętrusy«, solidne, żelazne. Dał też koce. Były nieco sfatygowane - z żółtych aż zrobiły się bure. Ale w naszych warunkach był to dar królewski” 16.

Piętrowe łóżka powiększyły przestrzeń życiową zespołu. Jednak ostateczne decyzje miały zapasć w Warszawie, posiadłość w Karolinie próbowało zaanektować Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, chcąc stworzyć tam szpital.

Ale Sygietyńscy również mieli swoich zwolenników i ostatecznie wygrali batalię. To jednak do końca nie rozwiązało problemów lokalowych. Rok po powstaniu „Mazowska” w skład zespołu wchodziła „blisko setka dziewcząt i chłopców”, a oprócz tego nauczyciele, instruktorzy oraz pracownicy fizyczni i umysłowi - razem około czterdziestu osób. Aby uzyskać miejsce do ćwiczeń, postawiono w pobliżu prowizoryczny drewniany barak, zakładając, że po 2-3 latach zastąpi go murowany budynek. Ale jak to często w Polsce bywa, barak przetrwał kilkadziesiąt lat.

Pojawiły się również problemy natury obyczajowej. Zimińska, znana przez lata ze swobodnego trybu życia, teraz stała się strażniczką obyczajów młodzieży.

„Nie będę ukrywała, iż to, że mieszkają - i dziewczyny, i chłopcy - w jednym budynku, trochę nas ze zrozumiałych względów niepokoiło. Niepokój nasz podsycali odwiedzający swoje pociechy rodzice” 17.

Aktorka zwróciła uwagę na pobliski pałacyk należący przed wojną do Jerzego Toeplitza. Budynek był niezamieszkały, czasami tylko odbywały się w nim zebrania partyjne. Zimińska uznała, że obiekt idealnie nadaje się dla potrzeb zespołu.

„[...] W połowie 1950 roku nadarzyła się okazja. Przyjechali do nas pan premier Cyrankiewicz i pan wicepremier Berman. [...] Zaśpiewaliśmy im, odtańczyliśmy to, co wtedy młodzież już umiała. Zrobili sobie fotkę. Na pożegnanie pan Cyrankiewicz zapytał: »Czy pani czegoś nie potrzeba?«. Ja mówię: »Owszem. Młodzież bardzo źle mieszka. A tu naprzeciw stoi dom. Pusty. Ja ten dom znam. Jest to dom po Toeplitzach, obszerny, jest w nim dużo pokoi. Tylko raz na tydzień odbywają się w nim posiedzenia. Czy moglibyśmy ten dom dla młodzieży dostać?«. Pan premier bez wahania powiedział: »Ależ owszem«, 18.

Cyrankiewicz z reguły pomagał artystom (małżeństwo z Niną Andrycz zrobiło swoje) i słowa dotrzymał. Pretensje miał natomiast minister gospodarki komunalnej, Kazimierz Mijał. Podczas obrad sejmu stwierdził, że „kabaretowa aktorka zabiera domy potrzebne do szkolenia politycznego”. Ale czy po człowieku, który oskarżał PZPR o zdradę komunistycznych ideałów, można było spodziewać się czegoś innego?

„Zachowała się interesująca statystyka - zauważył współpracownik Sygietyńskiego,

Kazimierz Korcelli - z kilku tysięcy kandydatów wybrano do Zespołu 118 osób, 67 dziewczyn i 51 chłopców. Jak wyglądała struktura socjalna Zespołu? Otóż 65 procent to były dzieci chłopskie, 30 procent dzieci robotników, a 5 procent dzieci rzemieślników związanych bytowo ze wsią. Ogromna większość rodziców chłopskich artystów to była biedota, małorolni, największą dziedziczką wśród karolińskich dzieci była dziewczyna, której rodzice posiadali 8 ha gruntów, ale większą od ilości hektarów ilość dzieci” 19.

Pochodzenie społeczne członków „Mazowsza” powodowało zrozumiałe problemy natury estetycznej i zdrowotnej. Młodzież przyzwyczajona do wiejskich zasad higieny osobistej w żaden sposób nie chciała się przystosować do wymagań Zimińskiej.

„Pewnych nawyków nie wykształciły w nich ani dom, ani szkoła. Stan higieny, nie najlepszy przed wojną, jeszcze się w latach wojny pogorszył. Często grzebień nie wystarczał. Dowiedziałam się, że jest taki skuteczny środek zagraniczny. Zdobyłam go i zaczęłam posypywać główki. Ale oto spotkałam się ze sprzeciwem. Nie chcieli i już. Dwie dziewczyny, siostry, zamknęły się w pokoju i powiedziały, że nigdy nie wyjdą i nie pozwolą się zhańbić” 20.

Higiena to jednak nie wszystko, należało pokonać jeszcze bariery natury obyczajowej. Podopieczni jadali bigos nożem, „głośno siorbali”, a poważnym problemem okazały się wspólne ćwiczenia taneczne młodzieży obojga płci:

„[...] Kłopot był z kostiumami do ćwiczeń. Nie ze zdobyciem materiału i uszyciem. Otrzymały majteczki i białe bluzki - przewiewne, higieniczne, żeby im było łatwiej i przyjemniej wykonywać ćwiczenia. Za nic nie chciały wyjść w tych majtkach. »Jak my się w tym pokażemy chłopcom. Żeby tylko nie przyszli«. No i chłopcy musieli przez pewien czas ćwiczyć osobno” 21.

Inna sprawa, że młodzi adepci „Mazowsza” raczej nie podejrzewali, iż będą tak ciężko pracować. Oprócz treningu muzycznego i tanecznego kontynuowali przecież normalną edukację. Były też jeszcze zajęcia dodatkowe, w praktyce mieli zajęty czas do późnego wieczora:

„Rano szli do szkoły. Udało się bowiem załatwić, że przyjęto ich na ranną zmianę. Po

powrocie ze szkoły jedli obiad. Po południu były zajęcia w Karolinie z przerwą na podkurek (tak nazywano u nas podwieczorek). Potem znowu lekcje, kolacja i często śpiew do godziny 21-ej. Zaczęła się nauka śpiewu, tańca, gry na instrumentach. Chcieli się uczyć. Z jakim zapalem to robili. Gdyby ci dzisiejsi choć trochę go mieli” 22.

## TRUDNE POCZĄTKI

„Mazowsze” miało być autentycznym zespołem ludowym i Sygietyńscy zadbali o wszystkie szczegóły. Jednym z najważniejszych elementów scenicznego wizerunku miały stać się kostiumy wykonawców i właśnie z tego powodu wybuchł gwałtowny spór.

„Zwalczały się dwa stanowiska - wspominała Mira. - Jedni twierdzili, że zespół ludowy musi występować w kostiumach ludowych. Drudzy uważali, że stroje te, z reguły wełniane, są zbyt ciężkie, by można w nich tańczyć, że młodzież musi być ubrana w coś lekkiego, powiewnego. Od początku opowiadałam się z Tadeuszem za stanowiskiem pierwszym” 23.

Skupowano po wsiach dawne ubiory, „przełamując nieufność wiejskich babin, by zechciały wydobyć z różnych skrzyń, kufrów, schowków i poddaszy różne kiecki, które nosiły ich mamy, babcie i prababcie”. Stosowano przy tym sprawdzone metody, dawano ogłoszenia w kościołach, licząc, że resztę zrobi szeptana propaganda. I faktycznie, niebawem plotkowano na mazowieckich wsiach, że za stare ubrania można uzyskać całkiem niezłe pieniądze. A to znacznie ułatwiało pracę wysłannikom „Mazowsza”.

Innym problemem okazały się instrumenty. W budżecie przewidziano środki na ich zakup lub rekonstrukcję, niestety, zapomniano o bębnach. A jak wiadomo, ze specjalistami od spraw finansowych dyskusja bywa trudna.

„Sygietyński dopominał się o bęben - wspominał Teodor Butyniec. - Księgowy kładł rękę jak baptysta na Biblię i wznosząc ramiona, w preliminarzu nie zaplanowano. Dyrektor chciał uderzyć pięścią w stół: »Ja muszę mieć bęben!«, 24.

Najdziwniejszą jednak sprawą związaną z pionierskim etapem dziejów „Mazowsza” był nieuregulowany status Miry Zimińskiej. Partnerka życiowa kierownika artystycznego

zespołu oficjalnie nie sprawowała bowiem żadnej funkcji. Wprawdzie podzieliła się z Sygietyńskim obowiązkami i „Tadeusz miał zajmować się sprawami muzycznymi”, ale „w praktyce to się mieszało”. Nie zmienia to jednak faktu, że Mira przez kilka lat pracowała bez żadnego angażu.

„Moja rola w »Mazowszu« była szczególnie trudna - twierdziła po latach - nie tylko ze względu na brak formalnego statusu i w konsekwencji niesprecyzowanego zakresu obowiązków i odpowiedzialności. W tej prawdziwej wieży Babel ktoś to wszystko musiał trzymać w garści, wkraczać w sytuacje trudne, reagować na drobne i poważniejsze przewinienia i wykroczenia. Rada Pedagogiczna była w naszych warunkach ciałem dość specjalistycznym. Pomoc organizacji młodzieżowej nie wchodziła, niestety, w Karolinie w rachubę. Pracownik ds. wychowawczych miał zazwyczaj »poważniejsze« sprawy na głowie” 25.

Sygietyński odmawiał oficjalnego zatrudnienia żony, uważając, że wzbudzi to niepotrzebne komentarze. Mira ustępowała, nie po to jednak zrezygnowała z kariery estradowej, aby „być żoną przy mężu”. Wprawdzie uznała, że najważniejszy jest zespół, ale sytuacja wyjątkowo ją irytowała.

Po czterech latach otrzymała formalny etat, jednak uważała (całkiem słusznie), że jej wkład w powstanie „Mazowsza” nigdy nie został doceniony. Korespondowała w tej sprawie z władzami, ale bez skutku. W 1960 roku wysłała list do ministra kultury i sztuki, zaznaczając, że pracę w zespole rozpoczęła we wrześniu 1948 roku, a pierwsze pobory otrzymała dopiero za kwiecień 1954 roku. I do tego w „śmiesznej wysokości 2184 złotych”.

„Wierzyłam jednocześnie w uczciwość ludzi - pisała - którzy pracowali w instancji nadrzędnej, że sprawa ta zostanie uregulowana, tym bardziej że można było już pracę tę zobaczyć i ocenić. Kiedy jednak dostrzegłam swoją naiwność, miałam jednak nadzieję, że moja osobista interwencja u wszystkich kolejnych kierowników Ministerstwa Kultury i Sztuki i w Wydziale Kultury KC PZPR da rezultaty. Owszem, wszyscy dziwili się, zapewniali i na tym się skończyło” 26.

Na odpowiedź ministra trzeba było czekać aż półtora roku; uprzejmie ją powiadomiono, że brak jest danych o jej charakterze pracy w „Mazowszu”. Uniemożliwiło to

naliczenie zaległych należności, poza tym sprawa uległa przedawnieniu. Zgodnie bowiem z obowiązującym prawem powinna wystąpić z roszczeniami w ciągu trzech lat od chwili zaistnienia sytuacji.

## GORZKI SMAK SUKCESU

Po raz pierwszy „Mazowsze” zaprezentowało się publiczności 6 listopada 1950 roku w Teatrze Polskim w Warszawie. Występ zespołu był jednym z punktów programu uroczystej akademii z okazji rocznicy rewolucji październikowej, a imprezę zaszczylicili swoją obecnością najważniejsi dygnitarze partyjni i rządowi.

„Publiczność coraz żywiej i bardziej spontanicznie reagowała na nasze występy - wspominała Maria Malaszek - czasami oklaski zrywały się nawet w trakcie śpiewu czy tańca. To było przyjemne, choć przeszkadzało w prawidłowym wykonaniu. Kiedy skończyliśmy Kukułeczkę, reakcja publiczności była aż zaskakująca. Sala zagrzmiała oklaskami, słyszało się tupanie, wiele osób, nie pomnąc powagi akademii, wykrzykiwało pochwalne słowa pod naszym adresem. Wreszcie widownia zaniosła się ciągłym wołaniem. »Biis, biis«, 27.

Bierut był zachwycony, a w prasie pojawiły się entuzjastyczne recenzje. Zgodnie z obyczajami epoki nie zachowywano umiaru w pochwałach, „Trybuna Ludu” porównywała występ zespołu do „mazurków Chopina i ballad Mickiewicza”.

„Mazowsze” zostało zaproszone na tournée po Związku Radzieckim, co władze postawiło w stan najwyższej gotowości. W Karolinie pojawiła się specjalna komisja mająca zbadać repertuar zespołu pod względem ideologicznym. Zdyskwalifikowano kilka piosenek, a po przesłuchaniu Ej, przeleciał ptaszek przewodnicząca komisji, Zofia Lissa, stwierdziła, że „to nie jest polska piosenka”.

Nie skończyło się na jednej interwencji. W program zespołu ingerowały czynniki rządowe, a kolejne posiedzenie komisji poprowadził wiceminister kultury i sztuki Włodzimierz Sokorski.

„Głównie interesował go problem, czym zacząć i czym skończyć obie części programu - twierdziła Zimińska. - Proponował rozpocząć program Kantatą o Stalinie.

Następnie miały pójść dwie pieśni »wydźwiękowe«, po nich piosenki ludowe. W czasie dyskusji przewodniczący komisji zmodyfikował swoją propozycję: część pierwszą otwierać miała pieśń Pochód przyjaźni, a po niej wykonać miano utwór o planie 6-letnim, a następnie piosenki ludowe - na zakończenie zatańczyć mazura; część drugą wiceminister Sokorski proponował zacząć pieśnią o Stalinie, a zakończyć oberkiem. Na wyjazd do Związku Radzieckiego zespół powinien - zdaniem przewodniczącego - przygotować dwie pieśni o Stalinie” 28.

Tournée zostało jednak przełożone, wzmocniono natomiast nadzór ideologiczny. Wprawdzie młodzież w komplecie należała do ZMP, ale uznano, że „prawomyślność” kadry pozostawiała wiele do życzenia.

„Karolin zasypany został pismami, wezwaniami, monitami - wspominała Mira - a nawet pilnymi telegramami o informacje o działalności wychowawczo-ideologicznej, o różne sprawozdania, w tym wykazy pracowników »należących do PZPR i stronnictw politycznych«, 29.

Podstawowym problemem dla wszystkich kontroli była Zimińska. Miała nieuregulowany status prawny w zespole, a styl jej pracy szokował ludzi przyzwyczajonych do stałych godzin urzędowania. Zimińska „całe przedpołudnia spędzała w łóżku”, dla niej „życie zaczynało się wieczorem”, a wtrącała się praktycznie do wszystkiego. Warszawskim urzędnikom nie odpowiadał również autorytatywny sposób bycia aktorki.

„Była bardzo dobrą organizatorką - uważał Henryk Wiśniewski. - Ale jako kobieta przewrotna jak żadna. Zaangażowałem kobiety do kuchni. Jedna się nie spodobała, myślę, że źle podawała do stołu. Mira kazała ją zwolnić. Nie zważała, że dopiero podpisałem z tą panią umowę o pracę. I że trzeba jej było zapłacić za trzy miesiące wypowiedzenia. To samo było z młodzieżą. Jeśli zauważyła, że chłopiec jakoś źle chodzi, ma złą postawę, od razu kazała zwalniać” 30.

Mira „nie lubiła dzielić się sławą i sukcesami”. Jeżeli ktoś zdecydowanie się wyróżniał, od razu go usuwała. „Mazowsze” miało być kolektywem, a nie zespołem gwiazd.

Oddzielny problem stanowiły kontakty Zimińskiej z bezpośrednimi przełożonymi.

Sygietyński był bowiem tylko kierownikiem artystycznym zespołu, a stanowiska dyrektorskie obsadzali ludzie z zewnątrz. Często zresztą niemający większego pojęcia o sztuce, jeden z dyrektorów pracował wcześniej w przemyśle mięsnym. Mira, przedwojenna gwiazda o manierach wielkiej damy, nie potrafiła dojść z nimi do porozumienia; w tym czasie planowano już usunięcie jej z Karolina. Zimińskiej odmówiono paszportu na wyjazd do ZSRR, Sygietyński pojechał sam, ale dni jego pracy w „Mazowszu” również były policzone.

Zespół zdążył już zdobyć niezwykłą popularność, a kupienie biletów na jego koncerty graniczyło z cudem. Doświadczyła tego osobiście Maria Dąbrowska i zdesperowana napisała do Sygietyńskich:

„Pomimo największych w tym kierunku wysiłków nie zdołałam kupić biletu na żaden z 3 występów »Mazowsza«. Bardzo chciałabym to widzieć i błagam, zechciejcie mi przysłać jakąś kartkę, za którą wpuściliby mnie, abym chociaż gdzieś w kącie, na stojąco, mogła to obejrzeć. Za prawo wejścia chętnie zapłacę - to mi nie robi różnicy. Podpisano: Maria Dąbrowska (na wypadek, jeśliście zapomnieli kto to - autorka »Nocy i dni«)” 31.

Sukcesy nie przeszkodziły rządowym decydom w obrzydzeniu życia założycielom zespołu. Zimińskiej zabroniono wstępu do Karolina, razem z Sygietyńskim została również usunięta ze służbowego mieszkania. Tadeusz musiał dojeżdżać z Warszawy, niebawem jednak i dla niego zaczęło brakować miejsca. Tym bardziej że miał swoje słabości, nie było więc problemów ze znalezieniem pretekstu do dymisji.

„Wielką słabością Sygietyńskiego był alkohol - wspominał Jan Obirek. - Mówiąc dosadniej - lubił tego »zagazować«. Czemu o tym nie powiedzieć? Mieliśmy koncert w Szczecinie, zdaje się 22 lipca. Widownia pełna notabli, śpiewaliśmy Nocka szumiała. Profesor, upojony, oczy mu świecą - dyryguje! Myśmy skończyli - on wciąż dyryguje. Połapał się, siadł” 32.

Do prawdziwego skandalu doszło podczas pobytu „Mazowsza” w Czechosłowacji. Na jednym z bankietów Sygietyński zdecydowanie przesadził z alkoholem i naubliżał gospodarzom.

„Z trudem wstał z krzesła - relacjonował Stefan Żuława - i głośno powiedział: »Mam



was wszystkich gdzieś!«. Po czym skierował się do wyjścia. W drzwiach odwrócił się jeszcze. Ledwo stojąc na pałkowatych nogach, powtórzył: »Tak, dobrze słyszeliście! Mam was wszystkich gdzieś!«. Następnego dnia, raniutko, na żądanie polskiego rządu, odleciał samolotem do Warszawy” 33.

Inne relacje opisują bardziej drastyczne szczegóły. Podobno Sygietyński miał podawać w wątpliwość jakość federacji Czechów i Słowaków, wykrzykując, że jego „Mazowsze” jest więcej warte niż cała ich państwowość. I że w ogóle to „ma w dupie Czechosłowację”.

Po tym wydarzeniu musiał złożyć dymisję, oficjalnym powodem była choroba (astma). Dymisja została od razu przyjęta.

#### „WARSZAWA”

Zimińska nie należała jednak do osób, które łatwo się poddają. Skierowała zainteresowania w stronę folkloru warszawskiego, i jak zwykle u pani Miry droga od pomysłu do realizacji nie była zbyt długa.

„Tuż obok nas, na Krakowskim Przedmieściu 41, miał swoją siedzibę cech rzemiosła krawieckiego. Dowiedziałam się, że mają tam duży, rzadko używany lokal. Poszłam do prezesa i pytam: »Panie prezesie, a może wspólnie założylibyśmy mały zespół warszawski. Pan pożyczylby nam na pewien czas salę. Wasi członkowie przysyłałby tu swoje dzieci. Po południu, po szkole - uczyłyby się śpiewać i tańczyć«. - »Ależ pani Miro - powiedział pan prezes - to doskonały pomysł. Lokal może pani zająć choćby jutro«, 34.

Zimińska osobiście dokonywała selekcji kandydatów, do przesłuchań akompaniowała Wanda Ruśkiewicz. Dopiero potem przekazała sprawę Sygietyńskiemu, podobno czekała już na niego „trzydziestka dobrze śpiewającej młodzieży”.

Chyba jednak było trochę inaczej: Barbara Rylska (i nie tylko ona) zapamiętała, że pan Tadeusz osobiście prowadził przesłuchania kandydatów. Nabór odbywał się za pośrednictwem ogłoszeń prasowych, co wykluczało zachowanie tajemnicy.

„Pierwszy raz spotkałam Sygietyńskiego w Ministerstwie Kultury - wspominała Rylska - a dokładniej w sali dzisiejszego kina »Wars«. Trwały przesłuchania do »Warszawy«. Kiedy - z uczuciem, to prawda - zaśpiewałam gamę, profesor ryknął śmiechem. Stwierdził, że »nawet tego nie potrafię wykonać bez interpretacji«, 35.

Relacje członków zespołu były zgodne, Sygietyński sprawiał wrażenie „dobrego wujka”, Zimińska zaś „bardzo groźnej ciotki”. W nowym zespole podzielili się obowiązkami, Tadeusz „zatopił się w muzyce”, Mira natomiast zajęła się sprawami organizacyjnymi. Dbała również o wizualną oprawę zespołu, „otoczyła się książkami o dawnej Warszawie” i pilnie „studiowała” dawną modę. Zawsze jednak pozostawała sobą.

„Pani, siedząca obok profesora - wspominała Halina Ossowska - poprosiła, żebym zdjęła zakieciak. Usłyszałam »Figurę masz dobrą...«. To była pani Mira. Potem dowiedziałam się, że na przesłuchanie do zespołów prowadzonych przez Sygietyńskich mógł przyjść nawet ktoś bardzo utalentowany i piękny. Ale jeśli nie był »w typie« pani Miry, nie zostawał przyjęty. Dlatego utarło się, że członkowie »Mazowsza« (a także »Warszawy«) byli jednakowi. Faktycznie na scenie, w kostiumach, byliśmy do siebie w jakiś sposób podobne” 36.

Powszechnie uważano, że „Mira miała dużo do powiedzenia”, a „nawet rządziła profesorem”. Ale jak przystało na rasową kobietę, nie demonstrowała tego publicznie. Najważniejsze sprawy załatwiała w cztery oczy, za zamkniętymi drzwiami.

Z powstania „Warszawy” zadowolone były również władze. Sygietyńscy znaleźli coś dla siebie i uznano, że sprawa ich obecności w „Mazowszu” została ostatecznie zamknięta. Nie bez wpływu było zapewne, że jednym z najbliższych współpracowników nowego zespołu został Julian Tuwim, z którego zdaniem czynniki rządowe wyjątkowo się liczyły. Poeta zobowiązał się nawet przygotować wybór tekstów starych stołecznych piosenek, jednak nie zdążył już tego projektu zrealizować.

W marcu 1954 roku zespół nagrał płytę z ośmioma piosenkami, która cieszyła się dużym powodzeniem. W sukcesie nie przeszkodził nawet fakt, że płyta wyprzedziła sceniczną premierę pierwszego programu.

## ŚMIERĆ TADEUSZA SYGIETYŃSKIEGO

„Bez serca profesora Sygietyńskiego i bez ręki pani Miry »Mazowsze« zaczęło katastrofalnie podupadać - notowała Maria Malaszek. - Prawdopodobnie stało się to jasne nie tylko dla nas. Coraz częściej do Karolina zjeżdżały ministerialne komisje. Panie i panowie kręcili głowami, na długie godziny zamykali się z przedstawicielami dyrekcji, radzili, odjeżdżali. A chór śpiewał gorzej i gorzej. Z tańcami szło jeszcze jako tako, ale na przykład dyscyplina pracy w zespole była daleka od ideału. W każdej dziedzinie czuło się rozprężenie, brak organizacji i dobrego kierownictwa” 37.

Dopiero teraz okazało się, ile dla „Mazowsza” znaczyła twarda ręka Zimińskiej. To ona wprowadzała konieczną dyscyplinę, potrafiła również utrzymać w ryzach ambicje grona pedagogicznego.

Inna sprawa, że zespół pod kierownictwem artystycznym Ireny Szadziwskiej zabrnął w ślepią uliczkę. Młoda działaczka partyjna (miała 23 lata) realizowała zupełnie abstrakcyjne pomysły, na koncerty w Bułgarii przygotowano utwory bułgarskie (to jeszcze można zrozumieć) oraz pieśni i tańce chińskie i tybetańskie!

U Sokorskiego pojawiła się delegacja członków „Mazowsza”, wnosząc o powrót Sygietyńskiego. Inna grupa skierowała list z podobną prośbą do Bieruta, władze rozpoczęły więc negocjacje z kompozytorem. Pan Tadeusz opierał się, aż wreszcie ustąpił, żądając jednak angażu dla Miry. Ministerstwo skwapliwie przystało na ten warunek, a muzyk zachował również kierownictwo w „Warszawie”.

Ponadroczna nieobecność Sygietyńskich w Karolinie spowodowała opłakane skutki. Zespół znajdował się w stanie niemal całkowitego rozkładu.

„Jeśli idzie o stan, w jakim znajduje się młodzież »Mazowsza« - pisał Sygietyński w notatce służbowej - to alarmuję, że stan ten jest niepokojąco zły (Wyrażam się łagodnie). [...] Nie owijając w bawełnę: 60 bardzo dobrych, 10 surowych rokujących nadzieję - reszta szmelc. Orkiestra jest jedną z najgorszych, jaką kiedykolwiek słyszałem. Całość zespołu jest częściowo zmylona, częściowo skłócona, co - jeśli pozwoli się na dopływ świeżego i zdrowego powietrza - można naprawić dość szybko” 38.

Chociaż Zimińskiej w Karolinie „prawie nikt nie lubił”, to jednak wszyscy wiedzieli, że jej obecność była konieczna dla działalności zespołu. Pod wspólnym kierownictwem Miry i Tadeusza sprawy ponownie ruszyły we właściwym kierunku i niebawem „Mazowsze” zadebiutowało za żelazną kurtyną. Występy w Paryżu przyniosły ogromny sukces.

Był to już jeden z ostatnich triumfów Sygietyńskiego, muzyk od dawna chorował, a lekarze w końcu rozpoznali chorobę nowotworową. Wysłano go na operację do Sztokholmu, gdzie usunięto mu cały płat płuca. Po powrocie trafił do Lecznicy Ministerstwa Zdrowia w Warszawie, gdzie miał już pozostać do końca. Zdawał sobie sprawę ze swego stanu, mówiąc, że „raka płuc nie da się wyleczyć papierosami i wódką”. A przy tym nie był zdyscyplinowanym pacjentem.

„Pani Mira dość pilnie kontrolowała, kto do niego przychodzi - opowiadał Tadeusz Kruk. - Przyjaciół miał bardzo wielu. Odwiedzał go Stanisław Ryszard Dobrowolski, Władysław Broniewski. Pani Mira ich rewidowała. Sprawdzala płaszcze. Zaglądała do marynarek. Ale w 1955 roku modne były dość szerokie nogawki u spodni.

Pani Mira powiedziała mi kiedyś: »Wiesz, co? Przyłapałam Broniewskiego. Do paska związałam półlitrowkę na sznurku, wpuszczał w nogawkę. W to miejsce wstydziałam się zajrzeć. Później wkładali butelkę do rezerwuaru w toalecie, żeby się chłodziła. Odeszłam kiedyś od łóżka chorego, na korytarz, do lekarza. Wracam, patrzę. A tam Broniewski w skowronkach, Tadeusz uśmiechnięty, wesoły. Wyście pili - mówię. Ależ skąd!!! No to chuchnij!«  
Miała rację” 39.

Stan chorego systematycznie się pogarszał, nie opuścił już lecznicy. Zmarł 19 maja 1955 roku.

## CARYCA Z KAROLINA

Dziesięć dni po pogrzebie Sygietyńskiego do Karolina przyjechał Włodzimierz Sokorski. Nie wyraził zgody na objęcie przez Zimińską stanowiska kierownika artystycznego, twierdząc, że to „ośmieszony zespół”, ponieważ Mira „nie posiada podstawowych kwalifikacji muzycznych”. Miejsce Sygietyńskiego zajął doskonały dyrygent Witold Rowicki.

Nie na długo, pod koniec lipca bowiem po kłótni z Zimińską odszedł z zespołu. Nowym kierownikiem artystycznym mianowano Mirę, z czego jednak nie wszyscy byli zadowoleni. „Mazowsze” opuścili choreografowie i do następnego koncertu przygotowywali zespół specjaliści z zewnątrz. Zimińska miała już wówczas jasną wizję przyszłości.

„Pragnęłam utrzymać dotychczasowy kierunek artystyczny »Mazowsza« z repertuarem opartym głównie na opracowaniach i kompozycjach Sygietyńskiego - ale jednocześnie zamierzałam wprowadzić do programu pieśni i tańce z innych regionów. W tece kompozytorskiej Tadeusza pozostało sporo rzeczy dotychczas niewykorzystanych” 40.

W rzeczywistości zachowały się nieliczne, nieznanne wcześniej kompozycje Sygietyńskiego. Czasami jego notatki zawierały tylko kilka taktów zapisu nutowego, Zimińska przedstawiała jednak utwory innych autorów jako odnalezione kompozycje męża. Wprowadzała je do programu, a nazwisko zmarłego partnera miało swoją rangę. W ten sposób powoli realizowała własne plany.

Zmiany były widoczne już na premierze nowego programu. Mira postawiła na efekt wizualny, to była zapowiedź nowego kierunku rozwoju artystycznego. Koncerty „Mazowsza” stały się pokazem barw i kształtów, strona plastyczna występów była równie ważna jak muzyka i choreografia. Zimińska idealnie potrafiła wyczuć potrzeby zachodniego odbiorcy, niebawem zespół już regularnie koncertował za żelazną kurtyną.

„Tam obowiązywały reguły wolnego rynku - stwierdził Henryk Bielski. - Ulegając namowom zachodnich impresariów, pani Zimińska postawiła na widowiskowość. Kosztem piosenek rozmnożyła układy taneczne, dodała ruch sceniczny. Być może dzięki temu zespół przetrwał aż do czasów obecnych” 41.

Miała ułatwione zadanie, bo na początku 1957 roku objęła stanowisko dyrektora „Mazowsza”. Władze nie miały zresztą specjalnego wyboru, a o nominację Zimińskiej prosili również przedstawiciele zespołu. I to nawet ci, z którymi nie miała dobrych stosunków. Wprawdzie doskonale wiedzieli, że Mira jest osobą mściwą i pamiętliwą, ale tylko ona mogła zapewnić „Mazowszu” dalsze sukcesy.

„Kiedy weszliśmy do gabinetu ministra kultury, zapadła ciężka cisza - wspominał Jan Kacprzyński. - Wtedy, choć miałem z panią Zimińską mocno na pieńku, szczerze powiedziałem: »Zdaję sobie sprawę, że jeśli Zimińska wróci do ‘Mazowsza’, to mnie z zespołu wyrzuci. Ale jestem przekonany, że tylko ona potrafi ‘Mazowsze’ ocalić od upadku i prowadzić dalej«. Czas pokazał, że w obu kwestiach miałem rację. Niedługo po objęciu kierownictwa zespołu pani Mira zwróciła się do mnie: »Pewnie chciałbyś już odejść z zespołu, prawda?«. Odszedłem. Ale mimo to uważam, że pani Zimińska była najwłaściwszą osobą, by kontynuować dzieło Sygietyńskiego” 42.

Marian Hemar zauważył, że „gdyby nie Mira, nie byłoby Sygietyńskiego ani »Mazowsza«,,. Miał dużo racji, Zimińska rozszerzyła program do blisko czterdziestu regionów etnograficznych, wprowadziła również własne opracowania pieśni religijnych i patriotycznych. W czasach jej kadencji „Mazowsze” zdobyło światowe uznanie, występując w ponad pięćdziesięciu krajach świata. Czasami jednak zgłaszano pretensje, że występ zespołu łatwiej obejrzeć w Chicago niż w kraju. Ale Zimińska stosowała twarde reguły ekonomii, a wyjazd na Zachód był bardziej opłacalny niż koncerty na polskiej prowincji. Rządziła żelazną ręką, nie przejmując się głosami oponentów, dla niej liczył się tylko efekt finalny.

„[...] Ci, którzy znają działalność takiego mechanizmu jak teatr - pisał Tymon Terlecki - jak zespół młodzieży składający się z setki osób, czują w nim żelazną nie pobłażającą nikomu rękę, jej olbrzymie doświadczenie sceniczne, jej kulturę pieśniarską i muzyczną, jej wiedzę i pasję. Zimińska współpracowała z Sygietyńskim w tworzeniu koncepcji »Mazowsza«. Dzisiaj jest sama jego duszą, siłą napędową, stróżem ambicji i poziomu. Brawo »Mazowsze«! Brawo, brawo, brawo Mira!” 43.

Zimińska była typem pracoholika i podporządkowała całe swoje życie zespołowi. Podobno miała blisko dwa i pół tysiąca dni niewykorzystanego urlopu, co jednak wydaje się liczbą przesadzoną. Ostatecznie pracowała na etacie „tylko” nieco dłużej niż czterdzieści lat.

Miała jednak poczucie misji dziejowej, wiedziała, że jeszcze za życia stała się legendą. I kiedyś, podczas lotu z zespołem przez Atlantyk, zażartowała, że do jej wizerunku przydałaby się jeszcze katastrofa. Zginęłaby wówczas „legenda »Mazowsza« i ona”. A to zapewne unieśmiertelniłoby ją na zawsze.

U schyłku życia żałowała jednak, że nie wychowała sobie właściwych następców. Tak zresztą często bywa z silnymi osobowościami, z reguły potrzebują wyłącznie wykonawców, a nie partnerów. Zimińska zauważyła to zbyt późno, ale wiedziała, że „Mazowsze” przetrwa i będzie jej największym powodem do chwały. Artystek estradowych w epoce Drugiej Rzeczypospolitej było wiele, ale „Mazowsze” pozostało jedyne w swoim rodzaju.

Mira Zimińska-Sygietyńska zmarła 26 stycznia 1997 roku w Warszawie i została pochowana u boku męża na Powązkach Wojskowych.

## Rozdział VI.

Aktorka straconych nadziei

### TRUDNE POCZĄTKI

Nie bez powodu Elżbieta Czyżewska nie lubiła mówić o swoim dzieciństwie. Rzeczywiście, chyba żadna ze współczesnych jej polskich aktorek nie miała za sobą równie traumatycznych przeżyć. Urodzona w maju 1938 roku ojca nie znała (zginął podczas wojny), matka zmagająca się z chorobą alkoholową. Uchodziła wprawdzie za niezłą krawcową, jednak z powodu nałogu straciła klientelę. Niewiele zarabiała i cała rodzina (Elżbieta miała jeszcze młodszą siostrę) mieszkała w obskurnej kamienicy w Warszawie na Tamce.

„Do mieszkania wchodziło się jak do sklepu, prosto z ulicy - wspominała jej szkolna przyjaciółka Teresa Panasiuk. - To pierwsze pomieszczenie było bardzo wąskie, taka kicha. Z niego wchodziło się do drugiego pokoju, gdzie przez okna widać było mur zaporowy na Ordynackiej, czerwony, okropny. W domu nie było kanalizacji, wodę trzeba było przynosić. Duża bieda, nawet jak na tamte, trudne, powojenne lata”<sup>1</sup>.

Po zakończeniu wojny Elżbieta rozpoczęła naukę w pobliskiej szkole podstawowej prowadzonej przez siostry szarytki. Szkoła została po czterech latach zlikwidowana, Czyżewska jednak już wcześniej opuściła tę placówkę.

„Babcia miała piękną twarz - opowiadała Magdalena Komorek, siostrzenica Elżbiety - przed wojną pozowała do reklamy pasty do zębów. Była też alkoholiczką i złą matką. Miała przerażające metody wychowawcze - jak jedna córka narozrabiała, lanie dostawała druga. Obie oddała do domu dziecka”<sup>2</sup>.



Elżbieta w wieku dziewięciu lat trafiła do sierocińca i zapewne tym faktem można wytłumaczyć wiele cech jej charakteru. W domu dziecka przebywała do piętnastego roku życia, następnie wraz siostrą wróciły do matki. Pobyt w sierocińcu wywarł jednak wpływ na jej przyszłą karierę, trafiła wówczas do Zespołu Pieśni i Tańca „Skolimów”. W liceum była już gwiazdą uczniowskich akademii, które z reguły odbywały się na scenie pobliskiego Teatru Polskiego.

Nie myślała jednak o studiach aktorskich i na egzamin wstępny trafiła przypadkowo. Miała być partnerką w scenach odgrywanych przez koleżkę, okazało się jednak, że chłopak nie zdał egzaminu, Czyżewskiej natomiast od razu zaproponowano indeks.

## DEBIUT

Rok później po raz pierwszy stanęła przed kamerą. Na Mazurach, gdzie spędzała wakacje, Jan Łomnicki kręcił film krótkometrażowy i zaproponował jej niewielką rolę. Czyżewska skorzystała z oferty, jednak największe wrażenie zrobiła na asystencie reżysera, Stanisławie Barei, który obsadził ją w swoich trzech kolejnych filmach.

Publiczność zauważyła ją w Mężu swojej żony, a praca w tym filmie dostarczyła jej dodatkowej satysfakcji:

„Dzięki tej roli mogłam »zemścić się« na moim filmowym partnerze - Wiesławie Gołasie. Był on moim profesorem w szkole teatralnej, czyli panem i władcą, i... postawił mi trójkę z szermierki. W filmie ja jestem tą, której jedno słowo może go zdruzgotać lub uszczęśliwić”<sup>3</sup>.

Duży wpływ na rozwój jej kariery miał kontakt ze słynnym STS-em, gdzie poznała Agnieszkę Osiecką. Została pierwszą wykonawczynią Kochanków z ulicy Kamiennej, co przyniosło jej niezwykłą popularność. Wprawdzie Elżbieta nie uchodziła za specjalnie utalentowaną wokalistkę, ale jej interpretacja podbiła serca słuchaczy.

W 1960 roku ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Warszawie i od razu dostała angaż do Teatru Dramatycznego. Nie musiała zresztą specjalnie się starać, podobno „przyniesiono go jej w zębach”. Miarą popularności młodej aktorki stało się prowadzenie

sopockiego festiwalu w 1964 roku. Niektórzy uważali jednak, że nie była to najlepsza decyzja.

„Czyżewska popełniła, tak myślę - pisał Ryszard Kosiński na łamach »Życia Literackiego« - latem ubiegłego roku nie najbagatelniejszą gafę. Wystąpiła jako konferansjer na festiwalu sopockim. To już nie o to chodzi, że robiła tę konferansjerkę nie najlepiej. Ostatecznie nie takie tuzy sceny mają złe dni. Rzecz w tym jednak, że świadomie przyjęta przez nią maniera infantylnej zapowiadaczki wzięta była za całą prawdę o Czyżewskiej”<sup>4</sup>.

Udział w festiwalu nie zaszkodził jednak jej karierze. Kalina Jędrusik żaliła się nawet, że rzadko dostaje jakąś rolę, podczas gdy Czyżewska gra w czterech filmach rocznie. W Domu bez okien zagrała akrobatkę, większość scen na trapezie wykonując osobiście, czym wprawiała w popłoch kolegów z planu. Męska część widowni zachwyciła się natomiast jej rolą w komedii Giuseppe w Warszawie, gdzie wcieliła się w rolę zwariowanej (ale bardzo seksownej) działaczki ruchu oporu. Pojawiała się również w poważniejszym repertuarze, na przykład w dramacie Kazimierza Kutza Milczenie, który reprezentował Polskę na festiwalu w Wenecji. Wzbudziła tam sensację swoją toaletą, gdy na przyjęcie założyła obcisłą sukienkę i kapelusz z gałązką głogu. Cieszyła się tak dużym powodzeniem, że zamieniła się z Kutzem pokojami, aby unikać wizyt wielbicieli.

Problemy stwarzała również sukienka. Wprawdzie znakomicie podkreślała walory fizyczne, jednak stała się źródłem dodatkowych kłopotów.

„Była strasznie obcisła - wyjaśniał Kutz - zapinana od tyłu na suwak błyskawiczny, za każdym razem musiałem osobiście ją zapinać, bo sama przecież nie dałaby rady. Po projekcji filmu całą ekipą chodziliśmy od knajpy do knajpy, popijając grappę. [...] Nagle Ela szepce mi, że chce siusiu. A przecież miała na sobie tę obcisłą sukienkę. Zauważyłem jakiś kiosk, obok wąską szparę, gdzie można było załatwić potrzebę. Poszedłem razem z nią, rozpiąłem ją, po wszystkim zapiąłem. To było dość skomplikowane i trwało przeszło kwadrans. W tym czasie wszyscy musieli na nas czekać, strasznie wkurwieni, bo te polskie samce miały oczywiście ochotę na Elkę, ale nic nie mogli zrobić. Ja ją chronilem. Dlatego ze złości puszczono plotkę, że mieliśmy z Elką seksualną przygodę, mówiło się: »Kurwa, tego jeszcze nie było, żeby pojechać do Wenecji i pierdolić się za kioskiem«,<sup>5</sup>.

Następne lata przyniosły role w Rękopisie znalezionym w Saragossie, Niekochanej i w Małżeństwie z rozsądkiem. W tym ostatnim obrazie partnerował jej Daniel Olbrychski.

„Byłem wtedy świeżo po ślubie z Moniką Dzieńisiewicz - wspominał aktor - i w jakimś sensie z nią wiąże się pewna historia. Raz Elka przyszła na plan w rudozłotej peruce. Patrzę zdziwiony: »Co, tak będziesz grała?«. A ona: »Tak, bo chciałam ci zrobić przyjemność. Wiem, że się kochasz w rudowłosej, więc pomyślałam, że teraz łatwiej ci będzie pokazać to uczucie podczas zdjęć«. Pamiętam, że to właśnie w Małżeństwie z rozsądkiem miałem po raz pierwszy przed kamerami całować swoją partnerkę długo i namiętnie. I tą partnerką była właśnie Elżunia. Spytała: »To twój pierwszy raz?«. »Tak« - odpowiedziałem. »No to będziesz miał udany debiut« i wpiła mi się w usta”<sup>6</sup>.

Najwyraźniej pan Daniel miał tylko jedną metodę zdobywania przychylności koleżanek z planu. Rok później, podczas kręcenia Jowity to samo oznajmił Kalinie Jędrusik i kolejna partnerka uwierzyła w jego słowa. Z czasem jednak musiał zaprzestać stosowania tego proceduru, ostatecznie grał w licznych popularnych filmach.

## MIŁOŚĆ I POLITYKA

Jeszcze w trakcie studiów Elżbieta poślubiła Jerzego Skolimowskiego. W pamięci znajomych zapisali się jako znakomicie dobrana para, ludzie zdolni, utalentowani i z perspektywami na przyszłość. Zdarzały im się jednak (jak na artystów przystało) dość ekscentryczne zachowania.

„Kiedyś zabrała mnie do swojej kawalerki na Wolę - wspominała Teresa Panasiuk - była wtedy związana z Jerzym Skolimowskim. [...] Najśmieszniejsze było to, że pokój był przedzielony szafą na pół. Z jednej strony była część Elżbiety, a z drugiej - Skolimowskiego. Bardzo dziwne było to spotkanie. Potem się okazało, że Skolimowski kręcił wtedy swój dyplomowy film, Rysopis. Kiedy go obejrzałam, zrozumiałam, po co była ta szafa, bo w tym filmie zostały użyte różne fragmenty naszych rozmów. Pamiętam, że wygłupialiśmy się, przymierzałyśmy różne peruki”<sup>7</sup>.

Czyżewska występowała również w filmach męża - zagrała w Rysopisie, wcielając się w trzy różne postacie, oraz w Walkowerze. Tam pojawiła się w epizodycznej roli dziewczyny

na dworcu.

Sytuacja zmieniła się, gdy do Polski przyjechał korespondent „New York Timesa”, David Halberstam. Znany dziennikarz, laureat Nagrody Pulitzera został z radością powitany przez polskie władze. Jako jeden z pierwszych odważył się bowiem pisać prawdę o wojnie w Wietnamie, dzięki czemu stał się osobą niewygodną dla Białego Domu.

Czyżewską poznał po premierze sztuki Po upadku i szybko ją oczarował. Aktorka zdecydowała się na rozwód, co Skolimowski przyjął z oburzeniem („geniuszy się nie opuszcza!”). Uraz pozostał mu zresztą do dnia dzisiejszego i nawet po śmierci Elżbiety konsekwentnie unikał wypowiedzi na temat ich małżeństwa.

Kilka miesięcy po rozwodzie Czyżewska wyszła za Halberstama. Ślub odbył się na raty, ponieważ polskie władze stwarzały problemy. Mimo iż chociaż jako korespondent uchodził za przeciwnika polityki Waszyngtonu, to jako Amerykanin pozostawał pod ścisłą obserwacją. W stan gotowości postawił funkcjonariuszy telegram do redakcji „New York Timesa”:

„Przepraszam, że w tak szczególny sposób przerwałem dostarczanie wiadomości, ale sprawy się skomplikowały. W każdym razie jest ona uroczym, kochanym i zabawnym łobuziakiem i jesteśmy naprawdę szczęśliwi. Jest bardzo utalentowana i jestem przekonany, że będzie potrafiła mnie podtrzymywać”<sup>8</sup>.

Depeszę odczytano w II Departamencie MSW i w ostatniej chwili uniemożliwiono uroczystość wyznaczoną na 25 kwietnia 1965 roku. Przyjęcia weselnego nie udało się jednak odwołać, odbyło się więc zgodnie z planem. Czyżewska i Halberstam pobrali się ostatecznie sześć tygodni później; tym razem uroczystość miała skromny charakter. Świadkiem ze strony Czyżewskiej była Halina Mikołajska.

„Bajka? Jaka bajka? - wspominała Elżbieta. - Po ślubie zamieszkaliśmy w hoteliku przy ulicy Zgody, gdzie byli zakwaterowani korespondenci. Co jest romantycznego w tym, że cały czas byliśmy obserwowani, a nasze telefony były na podsłuchu? Zaczęłam dostawać coraz mniej propozycji zawodowych. Ale to nie koniec kłopotów: wkrótce Halberstam opublikował artykuł, w którym krytykował poczynania Wiesława Gomułki. W kraju rozpętała

się nagonka antysemicka. A David nie dość, że był Żydem, to jeszcze przybywał z »Żelaznej Kurtyny«,9.

Oficjalnie wszystko układało się jak najlepiej. Hotel dla korespondentów był (jak na warszawskie warunki) luksusowym obiektem, mąż kupił Elżbiecie volkswagena garbusa. Czyżewska niekiedy prowadziła w stanie nietrzeźwym (już wtedy miała skłonności do alkoholu) i pewnego dnia straciła prawo jazdy. Podstawowym problemem pozostawała jednak stała inwigilacja Halberstama. Amerykanin był cały czas śledzony, kopiowano jego notatki, obserwowano wszystkie spotkania. Kiedy wyjeżdżał w teren, stołeczna centrala żądała od lokalnych jednostek meldunków na temat „podjętych przedsięwzięć operacyjno-informacyjnych i operacyjno-dezinformacyjnych”. W każdej notatce na jego temat przypomniano, że jest Żydem i że otacza się dziennikarzami pochodzenia żydowskiego. Podobno najbardziej interesowały go informacje na temat „polskiego rzekomego antysemityzmu” oraz „pogromu” w Kielcach 10.

Inwigilacja nie ograniczała się wyłącznie do osoby Halberstama. Kontrolowano również Czyżewską, sprawdzano jej korespondencję i obserwowano przyjaciół. Ostatecznie dziennikarzowi cofnięto akredytację, a bezpośrednią przyczyną okazał się krytyczny wobec Gomułki artykuł na łamach „New York Timesa”. Uznano, że jest to element „całości kształtu jego dezinformującej i oszczerczej działalności” wobec PRL.

Elżbieta została w kraju, miała nad Wisłą status gwiazdy, uważała zresztą, że antysemicka nagonka w marcu 1968 roku szybko ucichnie. Zmieniła jednak zdanie, kiedy jako żona amerykańskiego Żyda sama stała się jej ofiarą.

„[...] Dlaczego nasza wybitna, polska przecież aktorka - pisano na łamach »Walki Młodych« - zdradza nasze żywotne, polskie interesy? Czyżby tak ją otumaniał zielony kolor amerykańskich banknotów? Jak można nazwać taką kobietę? Aktorkę, która wszystko zawdzięcza Polsce Ludowej, a która tak niegodnie obraża nas wszystkich. Naród polski” 11.

## EMIGRACJA

Elżbieta wyjechała do męża do Paryża i niebawem Halberstam miał okazję przekonać się, że żona nie należy do osób specjalnie lękliwych.

„David miał być świadkiem na moim ślubie w Niemczech - opowiadała niemiecka dziennikarka i przyjaciółka Halberstama Barbara Ungeheuer. - To był czas zimnej wojny, Elżbieta nie mogła dostać wizy od ręki. Wypożyczyła od angielskiej sekretarki paryskiego biura »New York Timesa« jej paszport, ucharakteryzowała się na nią i spokojnie przekroczyła granicę francusko-niemiecką. Wtedy zrozumiałam, że David wybrał sobie za żonę świetną aktorkę i odważnego człowieka” 12.

Czyżewska wróciła jeszcze do kraju, zagrała we Wszystko na sprzedaż Wajdy. Od reżysera zażądano cofnięcia jej angażu, władze inspirowały również lawinę korespondencji od oburzonych „patriotów”. Aktorkę śledzono, obrzydzano jej życie na każdym kroku, aż wreszcie zdecydowała się na wyjazd do USA.

„Wyjechała zaraz po zdjęciach - wspominał Wajda. - Nie czekała na premierę. Pewnie nie chciała czytać tego, co będą o niej pisać. Na lotnisku najpierw była prośba o autograf, a potem upokarzająca rewizja osobista. W Nowym Jorku zamieszkali w samym środku Manhattanu - trzypiętrowe mieszkanie urządzone przez Elę z wielkim gustem, ogród, no i wielki świat” 13.

Halberstam chciał pomóc jej w karierze za oceanem. Wynajdywał castingi, towarzyszył podczas przesłuchań, płacił za naukę języka. Efektów nie było, wprawdzie Czyżewska nauczyła się perfekcyjnie angielskiego, jednak nigdy nie pozbyła się fatalnego akcentu. Nie pomogły lata ćwiczeń z najlepszymi specjalistami, jej wymowę porównywano z „tarcie paznokciem o szybę”. To odstręczało producentów, nie powierzano jej nawet ról cudzoziemek.

Pomoc okazał natomiast Andrzej Wajda. Za jego sprawą zagrała w 1974 roku rolę Marii Lebiadkin w Biesach Fiodora Dostojewskiego na scenie uniwersyteckiego Yale Repertory Theatre. Reżyserował osobiście Wajda.

„U mnie grała taka skromna dziewczyna, Meryl Streep - wspominał reżyser - która była tak zafascynowana Elżbietą, że wręcz chodziła za nią. Miało się wrażenie, że »uczy się« jej. Gdy Meryl Streep niedługo potem zagrała główną rolę w Wyborze Zofii, to jakby z jej akcentem mówiła po angielsku; może to wizerunek Elżbiety sprawił, że tak wyraziście

zbudowała rolę Polki zgarniętej przypadkowo do Auschwitz?” 14.

Po latach Elżbieta miała pretensje do Halberstama, że nie wykorzystał swoich znajomości, aby pomóc jej w karierze. Nie mogła zrozumieć, że w USA panowały inne obyczaje, a jej uroda nie bardzo odpowiadała ówczesnym kanonom piękna.

„W moich czasach mówiło się, że aktorki są takie same - przyznawała Elżbieta. - Nie było piękności. Najlepszy dowód, że ja mogłam zrobić karierę osoby urodziwej, choć przecież nie należałam do dziewczyn wyróżniających się urodą. Jeśli komuś się mogło tak wydawać, to tylko dlatego, że występowałam w filmach, w których partnerzy mówili mi »jaka jesteś ładna« lub wyśpiewywali inne komplementy, jak Daniel Olbrychski w Małżeństwie z rozsądku. Uroda niejako zeszała na mnie z ekranu” 15.

Czyżewska uważała, że David potrzebował żony głównie w celach reprezentacyjnych. Pochodził z zamożnej rodziny, ojciec był lekarzem wojskowym, a brat znanym kardiologiem. Elżbieta miała przystosować się do panujących w rodzinie reguł, czego nie potrafiła i nie chciała zrozumieć. Nudziły ją spotkania rodzinne, podczas których panowie rozmawiali w swoim gronie, panie zaś plotkowały wyłącznie o dzieciach.

Inna sprawa, że aktorka wybrała specyficzną metodę kontestacji. Zdarzało się, że podawała do stołu ubrana w „kusy biały fartuszek i biały czepek, a gdy się odwracała, nie można było mieć wątpliwości, że pod fartuszkiem nie ma nic”. To w mieszczańskim środowisku wywoływało prawdziwą grozę.

Na domiar złego Elżbieta w ogóle nie myślała o macierzyństwie. Dzieci nie lubiła i gdy jedna z jej przyjaciółek doczekała się potomka, Czyżewska zerwała z nią kontakty. Prawdopodobnie jednak chciała ratować rozpadające się małżeństwo, wykorzystując do tego celu siostrzenicę.

„Miałam 12 lat - wspominała Magdalena Komorek - kiedy mama z ciocią uknuły, że ciocia sprowadzi mnie do Stanów i zaadoptuje. - Czy ciocia chciała, żebym wyrastała w normalnym świecie, czy to mój przyjazd miał im pomóc w sklejeniu małżeństwa, które już się wtedy nie układało? A może jedno i drugie? Ciotka mnie ubierała w eleganckie sukienki, wujek zabierał do eleganckich restauracji, chodziłam do szkoły przy ONZ, z rodziną

Kennedych zdarzyło mi się płynąć na jachcie, a u Kurta Vonneguta bawiłam się puzzlami jego dzieci. Byłam tam nieszczęśliwa i tak się buntowałam, że po roku wypuścili mnie z tej złotej klatki i odesłali do mamy” 16.

Stosunki pomiędzy małżonkami stopniowo się pogarszały, a Czyżewska coraz częściej nadużywała alkoholu. Ostateczny jednak cios małżeństwu zadało upodobanie Elżbiety do pomocy rodakom. Halberstam ciągle podróżował służbowo, a jego żona urządziła w ich apartamencie przytulisko dla polskich emigrantów.

„Przyjeżdżało do niej wielu ludzi z Polski, mieszkali, jedli, pili - opowiadał jej nowojorski przyjaciel Bernard Weissman. - Kilka razy byliśmy wtedy w jej domu. Na stole rozrzucone spaghetti, na podłodze brud. Ona była bardzo czysta, ale jak była pijana, to nic nie mogła zrobić. Halberstam dużo wyjeżdżał, miał mnóstwo odczytów, zarabiał na tym wielkie pieniądze. Kiedyś wrócił wcześniej rano, zadzwonił do drzwi i otworzył mu nagi mężczyzna. To był koniec. Później przyznała nam się, że popełniła największy błąd w życiu” 17.

#### LEGENDARNY PECH PANI ELŻBIETY

Czyżewska była spragniona wiadomości z kraju i właściwie każdy, kto przyjeżdżał z Polski, mógł u niej zamieszkać, wystarczyło zadzwonić. Przy okazji spotkań z rodakami urządzała imprezy suto zakrapiane alkoholem. Polaków przedstawiła jako kuzynów i Halberstamowie mieli przeświadczenie, że w Polsce żyją niezwykle liczne rodziny. Postawę Czyżewskiej w pełni mogą docenić ludzie pamiętający ówczesne stosunki wśród polskiej emigracji w USA. Inna sprawa, że taki tryb życia stał się jednym z powodów choroby alkoholowej Czyżewskiej, z którą miała zmagać się przez następne lata życia.

Rozwód z Halberstamem orzeczono w 1977 roku, Elżbiecie przyznano alimenty, chciała jednak pracować w zawodzie. Próbowała grać w filmach studenckich i na alternatywnych scenach Broadwayu, bez większego jednak powodzenia. Pracowała jako dublerka, ucząc się wszystkich ról kobiecych do przedstawienia, ale nawet w tej profesji miała pecha. Zabezpieczane przez nią inscenizacje zawsze odbywały się w pełnej obsadzie i Elżbieta beczynn timeraciła czas w garderobie.

Pięć lat po rozwodzie z Halberstamem zaopiekowała się Joanną Pacułą, która świeżo



przybyła do USA. Nie wiemy, co zaszło między aktorkami, wiadomo tylko, że po awanturze Pacuła wyprowadziła się i niebawem rozpoczęła karierę w Hollywood. Na motywach tego wydarzenia inny polski emigrant, Yurek Bogayevicz, zrealizował film zatytułowany Anna. Była to opowieść o czeskiej aktorce (emigrantce po praskiej wiośnie), która przyjęła do siebie młodą rodaczkę. Ta nie miała skrupułów i pozbawiła ją wszystkiego: od ważnych adresów i telefonów po mężczyznę. A następnie zrobiła błyskawiczną karierę.

Elżbieta miała zagrać w tym filmie, jednak producenci zgłosili obiekcje: obawiano się jej alkoholizmu. Rolę dostała Sally Kirkland, Czyżewska poczuła się upokorzona, miała wrażenie, że okradziono ją nawet z własnego życiorysu. A na dodatek Kirkland zdobyła Złoty Glob i nominowano ją do Oscara.

„Niewiele można było zrobić - stwierdziła Agnieszka Holland, współscenarzystka Anny - bo Czyżewska nam nie dała tej szansy. Miała w sobie takie napięcie, zachowywała się autodestrukcyjnie. Robiła awantury, jakby chciała w życiu grać karykaturę postaci, którą miała grać na planie. Producenci się przestraszyli i dali rolę innej aktorce. Zdumiewało mnie takie marnotrawstwo talentu i inteligencji: strasznie chciała grać, a potem robiła coś, co ludzi zniechęcało. I o tym był właśnie ten scenariusz, o fantastycznej kobiecie, która zrobiła wiele, żeby sobie zaszkodzić. Może Czyżewska się przestraszyła swojego obrazu odbitego w filmie?” 18.

Równie fatalnie zakończyła się przygoda z Polowaniem na karaluchy Janusza Głowackiego. Na scenie teatru w Woodstock Czyżewska zagrała główną rolę, jednak po przeniesieniu przedstawienia do Nowego Jorku zaangażowano inną aktorkę. Głowacki tłumaczył, że nie miał nic do powiedzenia i że o wszystkim zdecydowali producenci. Elżbieta ponownie została z niczym.

## UPADEK

Pomimo niepowodzeń zawodowych nie chciała wracać do Polski i zawsze była dumna z faktu, że mieszka w Nowym Jorku. Czasami jednak przyjmowała krajowe propozycje, niestety żaden z filmów nie okazał się przebojem. Inna sprawa, że niewiele zostało z jej dawnej urody i widzowie pamiętający ją z lat sześćdziesiątych byli mocno zaskoczeni. Dodatkowe problemy stwarzał charakter Czyżewskiej, co podczas zdjęć do Debiutantki omal

nie doprowadziło do tragedii.

„Dorota [Stalińska - S.K.] grała główną rolę - wspominała reżyserka, Barbara Sass. - W tym czasie było o niej głośno. Czyli konkurentka aktorka. Do tego młodsza. Konkurentka kobieta. [...] Konflikt na planie wynikł przede wszystkim za sprawą Eli, chociaż w którymś momencie Dorota także to podchwyciła. W jakimś sensie sprzyjał temu scenariusz. Bohaterki tego filmu rywalizują o względy jednego mężczyzny. [...] Jest taka scena w domu nad morzem, starsza się upija i goni za swoją rywalką. Dochodzi do zwarcia w wodzie, walczą ze sobą. I przysięgam, to była jedna z dramatyczniejszych chwil w moim życiu, ponieważ w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że Ela chce Dorotę naprawdę utopić. Że to przestają być żarty na potrzeby filmu. To było też zaskakujące z tego powodu, że Stalińska była przecież silną fizycznie osobą, a Ela delikatną kobietką, a wyglądało tak, jakby Dorota nie dawała z nią rady. Byliśmy przerażeni. Szybko skończyliśmy zdjęcia” 19.

Stalińska zawsze twierdziła, że ocalenie zawdzięcza wyłącznie przewadze fizycznej, ale nie miała żalu do Czyżewskiej. Raczej jej współczuła, widziała, jak Elżbieta przemyciła na plan alkohol i jak próbowała zwrócić na siebie uwagę, „namiętnie obnażając publicznie swoje pomarszczone ciało”. Ktoś inny zauważył natomiast, że aktorka robiła wrażenie, że może „przespać się z każdym”.

Jednak czasami potrafiła pokazać się z lepszej strony. W torebce oprócz alkoholu nosiła książki, gdyż bardzo lubiła czytać. Jej ulubionym miejscem w Nowym Jorku była ogromna biblioteka, w której przesiadywała godzinami. Była osobą bardzo inteligentną i miała dużą wiedzę.

„Bywała nieznośna, zwłaszcza w pewnym okresie swojego życia - opowiadała Zuzanna Łapicka-Olbrychska - mimo to ludzie do niej lgnęli. Dlatego że przy niej nie było nudno. To rzeczywiście było imponujące, jak ona chłonęła wiedzę, swobodnie konwersowała na tematy z każdej dziedziny. Z każdym, czy to z profesorem fizyki, czy artystą malarzem” 20.

O swoich zainteresowaniach potrafiła rozmawiać z pasją, inna sprawa, że z reguły gruntownie знаła temat. Podczas pewnego nowojorskiego przyjęcia z taką znajomością tematu wypowiadała się w sprawie autorstwa dzieł Szekspira, że wzięto ją za specjalistkę,

która przybyła z serią wykładów. Potrafiła jednak również zanudzać otoczenie swymi obsesjami, wmawiając, że Chrystus ożenił się z Marią Magdaleną.

Czasami zachowywała się jednak całkowicie nieracjonalnie, w czym zapewne dużą rolę odgrywała choroba alkoholowa. Elżbiecie Kępińskiej nie mogła zapomnieć, że przed laty odebrała jej rolę w Listach śpiewających Osieckiej, a Agnieszce spaliła kiedyś wszystkie (!) ubrania w kominku. Osieckiej musiała na dwa tygodnie wystarczyć odzież, którą miała na sobie, ponieważ dopiero po upływie tego czasu Czyżewska wybrała się na zakupy.

„Kiedyś mama przez kilka dni wkładała zakiet od garsonki do innej spódnicy - wspominała Agata Passent. - Zapytałam, co się stało ze spódnicą od tego kompletu. »A wiesz - usłyszałam - dół spaliła mi dość dawno Elżbieta Czyżewska, bo już nie mogła na tę garsonkę patrzeć. Górę jednak udało mi się uratować«, 21.

Na Osiecką obraziła się zresztą po Białej bluzce. Agnieszka wykorzystała bez wiedzy przyjaciół elementy ich biografii i Czyżewska znalazła w książce wiele faktów ze swego życiorysu. I to takich, o których raczej wolała zapomnieć.

Niewiele brakowało, aby upodobanie Elżbiety do towarzystwa rodaków zakończyło się tragedią. Gdy brakowało jej Polaków, szukała ich w pobliskich knajpach. Pijała tam wódkę z przypadkowymi ludźmi, czasami zapraszając nowo poznanych do domu.

„Wzięła do siebie do domu jakiegoś faceta, którego poznała w kawiarence na dole - opowiadała aktorka Zofia Czerwińska. - I on się na nią rzucił, bynajmniej nie w celach erotycznych, tylko chciał zabić. Okazało się, że to psychopata. Elka cudem mu się wymknęła. Była ciężko chora ze strachu. Od tamtej pory przeszła terapię i przestała kompletnie pić” 22.

## OSTATNIE LATA

Jej ostatnim nowojorskim adresem było małe mieszkanie przy 43. Ulicy w pobliżu Time Square. Tuż obok znajdował się Town Hall, a naprzeciwko Henry Miller Theatre. Lokal niemal w całości wypełniały książki, kasety i bibeloty. Panował totalny nieład, wszędzie walala się odzież, obuwie i parasolki. Elżbieta nie uznawała górnego światła, mieszkanie zawsze pozostawało w dyskretnym półmroku.

„Działalem w nowojorskim Komitecie »Solidarności« - opowiadał jej przyjaciel, socjolog Jerzy Warman - i ktoś zawołał, że trzeba pomóc Elżbiecie Czyżewskiej w przeprowadzce. Wyprowadzała się z 60. Ulicy do małego prowizorycznego pokoju. Zobaczyłem człowieka w głębi smutku i alkoholizmu. Jakbym usłyszał Smutne ptaki Ravela. Doprawdy nie umiem pojąć, skąd tyle znalazła siły w swoim kruchym ciele, by po kilkunastu latach (czy nawet więcej) wyjść z nałogu. Ale znalazła” 23.

Wieczorami widywano ją, jak spacerowała ze swoją czarną suczką o imieniu Halina (podobno wierzyła, że to duch Haliny Mikołajskiej). Zawsze miała na sobie szpilki, kapelusz i rękawiczki, w dłoni natomiast trzymała srebrną popielniczkę.

„Ela - opowiadał Michał Kott - podrzutek jak jej czarna kulawa suczka, zawsze nosiła ze sobą własną małą popielniczkę, aby nie śmiecić w naszej brudnej dzielnicy. Wściekle inteligentna, lepiej czytana niż większość profesorów w kraju, gdzie się osiedliła, cała »zbudowana z ran« - ale jakimś cudem bez cienia ksenofobii i najgorszych uprzedzeń polskich, poza pogardą dla własnego zdrowia: piła, paliła, ideowo chyba przeciwna była gimnastyce poza nocnym spacerem. Przez wiele ostatnich lat już w ogóle nie piła, ale nawet wtedy, kiedy piła, była zawsze przeraźliwie trzeźwa w swoich osądach” 24.

Ostatnią próbą powrotu na wielką scenę była sztuka Szósty stopień oddalenia Johna Guare'a. Przedstawienie święciło triumfy na Broadwayu i jego autor (przyjaciel Czyżewskiej) oddał jej prawa do warszawskiej inscenizacji. Postawił tylko jeden warunek, główną rolę męską miał zagrać czarnoskóry aktor. Z tym akurat nie było problemu, rolę otrzymał urodzony w Polsce absolwent warszawskiej PWST, Omar Sangare. Warszawska inscenizacja okazała się jednak prywatną i zawodową klęską Czyżewskiej.

Nikt z dawnych przyjaciół nie chciał jej udzielić gościny, zamieszkała więc w tak zwanej Łoży Stalina - jednym z pomieszczeń w Teatrze Dramatycznym. Nie układała się jej współpraca z ekipą. Z reżyserowania zrezygnował Jan Łomnicki, a gdy Czyżewska zachorowała, odwiedzał ją tylko Sangare, przynosząc zupę w menażce.

Sztuka dostała miazdzące recenzje, nie spodobała się również publiczności. Przyczyną klęski była zapewne jej tematyka, historia Afroamerykanina z nizin społecznych uwodzącego

młodzieńca z bogatego domu, aby dostać się do wyższych sfer, była zbyt abstrakcyjna dla polskich widzów.

Pierwsze rozczarowanie Czyżewska przeżyła już podczas premiery. Choć połowę sali wypełnili ludzie uważani przez nią za przyjaciół (dała im darmowe zaproszenia), to nie dostała oklasków na wejściu. Nie była w stanie ukryć rozczarowania, co wpłynęło na jej grę. Pod koniec sezonu sztuka wypadła z repertuaru, a Czyżewskiej pozbyto się w mało elegancki sposób. Znalazła na portierni list informujący ją o nakazie opuszczenia przydzielonego lokalu. Dyrektor teatru nie znalazł nawet czasu, aby osobiście poinformować ją o rozwiązaniu kontraktu.

Usiłowała jeszcze grać w niskobudżetowych produkcjach, jednak również bez powodzenia. Traktowano ją zresztą jak zło konieczne i nawet gdy przysyłano po nią samochód, to okazywało się, że był on przeznaczony dla aktorów drugoplanowych.

Zniechęcona powróciła do Nowego Jorku, dostawała tam niewielkie role (w tym w jednym z odcinków Seksu w wielkim mieście), epizodycznie pojawiała się również na scenach teatralnych. Nadzieję przyniosła oferta od HBO, zaproponowano jej udział w jednej z produkcji koncernu. Stacja gotowa była nawet pokryć koszt regularnych przelotów ze wschodniego wybrzeża do Los Angeles, jednak dla Czyżewskiej było już za późno. Lata alkoholizmu, ogromne ilości wypalanych papierosów i pomoc strażakom na gruzach WTC dały o sobie znać.

Zdiagnozowano u niej nowotwór przetyku i lekarze nie dawali jej większych szans. Jedynym pocieszeniem było odzyskanie amerykańskiego ubezpieczenia zdrowotnego, okazało się bowiem, że Halberstam sfalszował datę ślubu, chcąc uniknąć płacenia dożywotnich alimentów.

Namawiano ją do napisania wspomnień, a Random House (jedno z czołowych wydawnictw amerykańskich) zachęcało pokazną zaliczką i swobodą twórczą. Nic z tego jednak nie wyszło, niechętnie udzielała również wywiadów. Nie chciała rozmawiać o chorobie, przeszła trzy operacje, ale cierpiała z godnością wielkiej damy. Podczas rekonwalescencji w Jewish Home namiętnie grywała z innymi pacjentami w scrabble, ale zawsze wolała wizytę w szpitalnej bibliotece. W 2010 roku okazało się, że ma przerzuty,

jednak do końca broniła się przed pójściem do szpitala. Trafiła tam w ostatnim stadium choroby i po paru dniach zmarła. Kilka miesięcy później, w październiku 2010 roku, odbył się jej oficjalny pogrzeb na Powązkach Wojskowych. Nie przyszło zbyt wiele osób, odeszła, tak jak żyła, ignorowana przez ludzi, którzy jej wiele zawdzięczali. Sama zresztą najlepiej podsumowała własne życie:

„I co z tego, że dzisiaj zachowałabym się inaczej? Zagrałabym w innym filmie albo nie rozstałabym się z jakimś mężczyzną. Dojrzałość, żeby nie powiedzieć starość, uczy nas pokory. Czasu nie można cofnąć, decyzji nie da się zmienić, więc lepiej dla nas samych jest zaakceptować to, co się wydarzyło. Piesku, jedno jest pewne. Życia nie da się powtórzyć” 25.

## Rozdział VII.

Alina Szapocznikow

### TRAUMA

Pamiętam, jak na jakimś wernisażu w »Zachęcie« - wspominał malarz Jerzy Tchórzewski - zauważyłem bardzo ładną dziewczynę, pytam się Wojtka Fangora, co to za dziewczyna, a on mówi: »a to Aluśka Szapocznikow, rzeźbiarka, przyjechała z Paryża, chcesz ją poznać?«<sup>1</sup>.

Tchórzewski oczywiście chciał i „jej uroda stała się taką ładną oprawą ich artystycznej przyjaźni”. Aparycję plastyczki powszechnie zresztą doceniano, inna sprawa, że dziwnym trafem niemal wszystkie rzeźbiarki epoki PRL były zjawiskowo pięknymi kobietami.

Szapocznikow sprawiała wrażenie osoby o radosnym usposobieniu, jednak pod pozorami wesołości ukrywała wyjątkowo dramatyczną przeszłość. Pochodziła z rodziny żydowskich lekarzy, ojciec był dobrze prosperującym stomatologiem, a matka pediatrą. Przed wybuchem wojny mieszkali w Pabianicach na tak zwanym Nowym Mieście, dzielnicy zasiedlonej przez polską inteligencję.

Gdy miała 12 lat, w 1938 roku zmarł na gruźlicę ojciec, a po wybuchu wojny zaginął młodszy brat. Alina wraz z matką znalazły się w pabianickim getcie, gdzie pracowały w miejscowym szpitalu. Po jego likwidacji trafiły do łódzkiego getta, a następnie zostały wywiezione do Oświęcimia. W Auschwitz przebywały około tygodnia, po czym osadzono je w obozie Bergen-Belsen. Miały jednak szczęście, lekarze byli Niemcom potrzebni i zapewne dlatego przeżyły. Matce bowiem udało się ochronić córkę.

Najdłużej przebywały w czeskim Terezynie, a znajomość Aliny z grupą osadzonych tam miejscowych Żydówek wpłynęła na jej powojenne losy. Po uwolnieniu z obozu nie chciała bowiem wracać do Polski i podała jako miejsce urodzenia Czeski Cieszyn. Jako Alina

Szapocznik trafiła do Pragi, gdzie podjęła studia w Wyższej Szkole Artystyczno-Przemysłowej. Przeżycia okupacyjne pozostawiły jednak ogromne ślady na jej psychice.

„Po prostu Ty na niektóre rzeczy patrzysz jeszcze tak ładnie, kulturalnie, grzecznie - pisała do Ryszarda Stanisławskiego - tak jak właściwie powinno być, i może niekiedy zazdrozczę Ci tego. Ale różnica polega na tym, że w czasie Twego kształtowania się, w czasie ostatnich 10 lat nie przeszedłeś tego chrztu rozpacz, tego wszystkiego, nie skończyło się bez reszty wszystko kilkakrotnie, jak to miało miejsce u mnie w ghektach i obozach. Wybacz, Ryś, wstydę się za to, wiesz, jak nie znoszę, jak brzydzę się tych ludzi, którzy wypominają sobie, czy »chwałą« się latami męki, którą przeżyli. Ale Ty mnie musisz zrozumieć”<sup>2</sup>.

Nad Wełtawą poznała Bedricha Stefana, starszego o trzydzieści lat rzeźbiarza. Połączył ich romans, Alina dawała mu do zrozumienia, że sprawę traktuje poważnie, ale jednocześnie spotykała się z kolegą ze studiów, Zdenkiem Palcrem. Rywale wiedzieli o sobie, podobno się nienawidzili, obu jednak spotkał ten sam los. Szapocznikow nie myślała wówczas jeszcze o poważnych związkach i nie przejmując się ich uczuciami, wyjechała na stypendium do Paryża.

Podobno dla Palcra była wielką, niespełnioną miłością życia. Ten czeski rzeźbiarz, grafik i autor plakatów nigdy o niej nie zapomniał, poświęcił jej zresztą jedną ze swoich najbardziej znanych prac - Kochanków. Bedrich natomiast ograniczył się do tęsknych listów, marząc o obserwowaniu dziewczyny w kąpiel.

Alina należała w tym czasie do czeskiej partii komunistycznej. Zapewne szczerze wierzyła w jej program, nie popierała jednak metod zdobywania władzy. Na wiadomość o zamachu stanu w Pradze podarła legitymację partyjną, a zabójstwo Jana Masaryka utwierdziło ją w tym przekonaniu. Ciągle jednak czuła się komunistką i wstąpiła w szeregi Komunistycznej Partii Francji.

## PARYŻ PO RAZ PIERWSZY

Studia nad Sekwaną odmieniły Szapocznikow jako artystkę i kobietę. Była wolnym



słuchaczem na zajęciach w pracowni Paula Niclausse'a w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych, związała się również uczuciowo z Ryszardem Stanisławskim. Starszy od niej o pięć lat student historii sztuki wprowadził ją w polskie środowisko, imponował jej również jako mężczyzna. W lutym 1949 roku zdecydowali się razem zamieszkać i po krótkim epizodzie hotelowym wynajęli mieszkanie w XX dzielnicy.

Alina odwiedziła matkę w Polsce, razem spędziły dwa tygodnie w Zakopanem. Przebywając w Warszawie, miała okazję poznać ówczesną sytuację polityczną. Można już było dostrzec zapowiedzi socrealizmu w sztuce, co w pełni akceptowała. W liście do Stanisławskiego napisała, że komunizm jest jedyną słuszną drogą.

„Rysiu, pracować trzeba w państwie i dla państwa, które przeprowadzi wielką, budowniczą i rewolucyjną przemianę socjalną”<sup>3</sup>.

Posłała mu nawet do Paryża Historię WKP(b), jednak partner pozostał sceptyczny wobec nowej polskiej rzeczywistości. Sugerował, aby „czerpała wiadomości z prawa i lewa”, a nawet „bardziej z prawa”. Zapewniłoby to realne spojrzenie na sytuację, a przecież nawet relacje pochodzące od wrogów ustroju nie mogły „zmienić ich socjalistycznego światopoglądu”.

Zresztą nawet w Paryżu otrzymywali bieżące informacje o wydarzeniach nad Wisłą. Regularnie bowiem odwiedzali „polską lożę” w jednej z restauracji w dzielnicy łacińskiej. Gościli tam przybysze z kraju: Jan Kott, Adam Ważyk, Stefan Żółkiewski, Tadeusz Kantor i Eryk Lipiński.

„Pierwsze lata po wojnie - pisał Aleksander Wallis - to dla plastyki lata chude. Rozwój odbiorczości w omawianym okresie przedstawiał sobą linię wznoszącą się od zera, przy czym widoczny wzrost - z rozmaitych przyczyn - następuje dopiero w latach 1950 [...]. Odbiorczość państwa na poważną skalę zapoczątkowana została dopiero w latach 1949-1950 wraz z ofensywą realizmu socjalistycznego”<sup>4</sup>.

Niebawem jednak problemy zdrowotne przysłoniły zagadnienia ideologiczne. We wrześniu 1949 roku u Szapocznikow zdiagnozowano gruźlicę jajników i znalazła się w szpitalu. Następnie wysłano ją do prewentorium w Jouy-en-Josas koło Paryża, tam stan chorej

uznano za zadowolający. Wiosną następnego roku wyjechała ze Stanisławskim w góry, gdzie nastąpił nawrót choroby. Ocaliła ją eksperymentalnie zastosowana streptomycyna, jednak gruźlica uniemożliwiła ukończenie studiów. Jej praca dyplomowa, Akt (Wielka postać), była nawet wstępnie nominowana do pierwszej nagrody.

Choroba spowodowała bezpłodność artystki, co miało wpływ na jej postrzeganie świata. W twórczości Szapocznikow zaczęły pojawiać się elementy feministyczne, dość niewinne z dzisiejszego punktu widzenia, ale jednak zauważalne. To wystarczyło, aby uznano ją za jedną z prekursorów feminizmu w plastyce. I chyba słusznie, choć znacznie różniła się od obecnych aktywistek.

„[...] Dzisiejsze feministki raczej nie przyjęłyby jej do swojego grona - uważała historyk sztuki Anna Żakiewicz. - Artystka nie eksponowała damskiej fizjologii, nie walczyła również z biologią. Ona ją w pełni akceptowała”<sup>5</sup>.

Pobyt Aliny w szpitalach okazał się niezwykle kosztowny i groził całkowitą ruiną finansową. Udało się jej jednak uzyskać umorzenie większości opłat, chociaż długo nie odzyskała równowagi finansowej. Była jednak osobą młodą, pełną radości życia i nie zamierzała zrezygnować z poznawania Francji. Razem ze Stanisławskim kupili stary, mocno sfatygowany samochód i ruszyli w podróż po kraju. Nocowali pod namiotem, zwiedzali zabytki kultury i muzea, a gdy zabrakło im pieniędzy, zdobywali je w pomysłowy sposób. Odwiedzili Pabla Picassa w jego willi w Vallauris, chociaż słynny artysta nie przyjmował nieznajomych. Udali jednak, że są umówieni, i zastali go podczas podlewania pomidorów.

„»Chcieliśmy panu złożyć hołd« [...], mówię, jak przystało na gentlemana - wspominał Stanisławski. - Alina na to dodaje: »i pożyczyc trzy tysiące franków!« Od razu, z miejsca! [...] Alina miała taką odwagę, która mnie czasem krępowała”<sup>6</sup>.

Tupet czasami popłaca, a Picasso zawsze miał słabość do pięknych kobiet. Pożyczył dwa tysiące franków.

## SOCREALIZM

W 1951 roku Szapocznikow i Stanisławski opuścili Francję, trwała zimna wojna i

polskich studentów wezwano do kraju. Odmowa oznaczała emigrację polityczną, do czego żadne z nich nie chciało dopuścić. Mieli lewicowe przekonania i szczerze wierzyli, że sztuka jest ważnym frontem walki ideologicznej.

W Warszawie zamieszkali w magazynach Centralnego Biura Wystaw Artystycznych, niebawem jednak otrzymali własne mieszkanie. Alina podjęła pracę przy projektach wystroju kamienic stołecznego MDM-u i przydzielono jej kawalerkę przy ulicy Marszałkowskiej. Szybko zaistniała w krajowym środowisku plastycznym, brała udział w konkursach na: pomnik Chopina, uczczenie olimpiady w Helsinkach, pomnik w Oświęcimiu-Brzezince. Wykonała również portret Bolesława Bieruta przeznaczony na wystawę poświęconą dziesięcioleciu PPR.

Możliwość tworzenia i wystawiania oznaczała pogodzenie się z obowiązującymi kanonami sztuki socrealizmu. Szapocznikow doskonale to rozumiała, nigdy zresztą nie zapomniała, że to Armia Czerwona przyniosła jej uwolnienie z hitlerowskiego obozu. Zapewne na swój sposób uznawała, że komunizmowi zawdzięcza życie.

„Lewicowością zaraziła się we Francji - uważał jej przyjaciel, Wojciech Fangor. - Zresztą nie dziwi mnie to po tym, co przeżyła podczas II wojny światowej. Musiał na nią podziałać klimat miłości tamtejszych elit do ZSRR. Poza tym Picasso czy Léger byli dowodami, że można być porządnym komunistą i znakomitym artystą”<sup>7</sup>.

Obozowa trauma nie wywarła jednak specjalnego wpływu na jej twórczość. W odróżnieniu od innych artystów nie rozdrapywała ran, można odnieść wręcz wrażenie, że w ogóle chciała tę część biografii wyrzucić z pamięci.

„O przeszłości wtedy się nie rozmawiało - wspominał fotograf Tadeusz Rolke. - Ona wiedziała, że siedziałem w więzieniu stalinowskim, ja wiedziałem, że ona była w obozie. Nieraz czułem, że znamy się tak dobrze, że temat musi wypłynąć, ale nigdy do tego nie doszło”<sup>8</sup>.

Tematy okupacyjne pojawiały się w jej pracach umiarkowanie, z reguły przy okazji różnego rodzaju konkursów państwowych. Startowała jednak w nich regularnie, знаła wartość swego talentu i chciała zrobić karierę.

„Znała wszystkich ważnych w środowisku artystycznym - mówił Wojciech Fangor - miała parcie na sławę, chciała mieć jak najwięcej zamówień i je dostawała. Jak? Miała swoje sposoby: kobieca, wdzięk osobisty, wszystkim nam się podobała. Ale nikt nie miał do niej o to pretensji, bo była naprawdę dobra”<sup>9</sup>.

Jedno z jej ówczesnych dzieł znane było niemal każdemu mieszkańcowi stolicy, Szapocznikow wzięła bowiem udział w konkursie na pomnik przyjaźni polsko-radzieckiej. I chociaż nie została nagrodzona, przeważała opinia sowieckiej ambasady. Rzeźba stanęła w holu głównym Pałacu Kultury i Nauki, gdzie eksponowano ją aż do 1992 roku. Dopiero wówczas przeznaczono ją do likwidacji, oficjalnie ze względu na zły stan techniczny „spowodowany długotrwałym użytkowaniem”. A człowiek mający przeprowadzić jej demontaż na własnej posesji pytał, czy „ten Szapocznikow to dobry rzeźbiarz?”.

Dla komunistów rządzących Polską Alina była bezcenna. Nowa władza potrzebowała takich ludzi: ideowa artystka tworząca nad Wisłą i należąca do zachodniej partii komunistycznej była bardzo pożądaną postacią.

„Znała języki - dodawał Fangor - swobodnie poruszała się w świecie zachodniej sztuki, dużo wyjeżdżała, przyjaźniła się z kuratorami, artystami. Była niezastąpiona dla władzy jako wizytówka nowego systemu. Wiedziała o tym i godziła się na taką rolę. Jak przybywała jakaś oficjalna delegacja ludzi kultury z zagranicy, umawiano ich na kolację z Aliną i Ryszardem”<sup>10</sup>.

W 1952 roku Szapocznikow wyszła za Stanisławskiego, a kilka miesięcy później adoptowali niemowlę, któremu dali imię Piotr. Alina mogła czuć się szczęśliwa, jej kariera nabierała rozpędu, a do tego miała wreszcie upragnione dziecko.

Nie mogła również narzekać na warunki bytowe, oboje z Ryszardem usiłowali nawet prowadzić życie podobne do tego w Paryżu. Jadali bagietki (ich kupienie w Warszawie nie było łatwe) i pili dobre, czerwone wino (z czym były jeszcze większe kłopoty). Zaopatrzenie uzupełniali podczas służbowych podróży zagranicznych.

„Kupiłem ci między innymi 5 par najlepszych nylonów - pisał Stanisławski do żony. -

Piotrusiowi sandałki, skarpetki (3 pary), spodenki krótkie na szelkach, 3 też na szelkach. Dla Ciebie jeszcze trochę drobnostek” 11.

Nie zapominał oczywiście o niedostępnych w kraju kosmetykach, a szczególnie o szmince w kolorze clair firmy Charles of the Ritz.

Zmiany polityczne spowodowane upadkiem systemu stalinowskiego nie zaszkodziły pozycji Szapocznikow. Zniknęły natomiast ograniczenia narzucane przez socrealizm i Alina zaczęła eksperymentować z bryłą, tworzywem i barwą. Pojawiły się nowe tematy, rzeźbiarka pozbawiona ograniczeń ideologicznych poszukiwała własnej drogi artystycznej.

„Coś się stało z rzeźbami Aliny Szapocznikow - pisał w 1959 roku krytyk Andrzej Osęka - nie są to już owe jednorodne bryły, układające się w liryczny i przekorny kształt dziewczęcego aktu. [...] Forma - w Pierwszej miłości w jakimś stopniu już zamknięta, ostateczna - doznała wstrząsu, podlega procesom niepokojącego samozniszczenia. Sprawy i bryły kiedyś proste i w sposób naturalny szlachetne - dziś przeczą same sobie; istota rzeczy nie jest już, jak dawniej, oczywista i tylko jedno staje się pewne: że nie ma drogi powrotnej” 12.

Nie zaszkodziło jej nawet odesłanie do Francji legitymacji partyjnej. Władze wciąż okazywały rzeźbiarce przychylność, razem ze Stanisławskim otrzymali mieszkanie na Rynku Starego Miasta. Miała własne wystawy w Zachęcie, otrzymywała liczne nagrody. Reprezentowała również Polskę na biennale w Wenecji.

Pozwalała sobie na zachowania, na które nie odważyliby się inni artyści. Kiedy w 1959 roku miała lecieć razem z grupą polskich twórców do Moskwy, spóźniła się na samolot. Obecny na jego pokładzie premier Cyrankiewicz opóźnił odlot i maszyna czekała na Szapocznikow. Wreszcie dowieziono ją samochodem bezpośrednio (!) na płytę lotniska i dopiero wówczas delegacja odleciała. Nic zatem dziwnego, że uważano, iż Alina „miała pełną świadomość swojej pozycji”, a co więcej „lubiała to”. Inna sprawa, że Józef Cyrankiewicz zawsze miał pozytywny stosunek do urodziwych artystek.

## EMIGRACJA

„Alina bardzo przeżyła 1956 rok, stracone złudzenia co do komunizmu - uważał Fangor. - Odesłała do Paryża legitymację partyjną, rzuciła kamień jako materiał afirmatywny, zapewniający trwałość, stabilność, wszystko to, co symbolizował komunizm. Przerzuciła się na nowoczesne żywice. Dużo robiła obiektów z porzewiałych prętów, drapieźnych, mniej oczywistych” 13.

W 1957 roku rozwiodła się z mężem. Rozstanie odbyło się w kulturalnej atmosferze, niedawni małżonkowie zachowali dla siebie ciepłe uczucia. Alina korespondowała ze Stanisławskim do końca życia, a ich listy są kapitalnym źródłem szczegółów jej biografii.

Stanisławski związał się z Urszulą Czartoryską, w życiu Aliny zaś pojawił się grafik i plakacista Roman Cieślewicz. Pod jego wpływem zaczęła myśleć o emigracji, razem doszli do wniosku, że w Polsce nie mają szans na prawdziwą karierę.

Decyzję przyspieszyła oferta od magazynu „Elle” dla Cieślewicza. Była to propozycja nie do odrzucenia, a Szapocznikow chciała towarzyszyć partnerowi. Miała wprowadzić w Polsce ustaloną pozycję, jednak warunków do uprawiania sztuki nad Wisłą nie można było porównywać z panującymi w wolnym świecie. W kraju zresztą osiągnęła już niemal wszystko, a po śmierci matki nic już jej z Polską nie wiązało.

W 1963 roku Szapocznikow i Cieślewicz (razem z małym Piotrem) przyjechali nad Sekwanę. Tam grafik zrobił błyskotliwą karierę.

„Romek kwitnie i rozkwita coraz bardziej w Paris - pisała Szapocznikow w liście do kraju. - Z »Elle« wygryzł Knappa i jest tam królem niepodzielnym, obstawionym sekretarkami - rządzi się i pęcznieje we wpływy i pieniądze, które niestety nierozumnie przepuszcza na finansowanie mojej sztuki, której, jak wszystko, co inne i ciekawe, nikt tu nie chce” 14.

Wprowadzić Alinę dostrzegła miejscowa krytyka, początkowo jednak funkcjonowała na marginesie życia artystycznego. Doceniano jednak jej pionierskie projekty, a w szczególności odlewy elementów swojego ciała. Porównywano ją ze słynnym Césarem Baldaccinim, którego zresztą wyprzedziła w nowatorstwie. Pierwszy bowiem odlew swego ciała - nogę - zrealizowała jeszcze w Warszawie, a dopiero rok później Francuz odlał swój

kciuk i umieścił rzeźbę w programie jednej z wystaw.

Po Nodze pojawiły się kolejne prace artystki życzliwie przyjęte przez krytykę i publiczność. Dzieła Aliny regularnie trafiały do programów wystaw, zaczęły być rozpoznawane przez publiczność. Sukcesom zawodowym obojga towarzyszyło bogate życie towarzyskie.

„To były dwie gwiazdy - wspominał krytyk Szymon Bojko. - Oni się nakręcali. W latach 60. byli jedną z najgorętszych par Paryża, bardzo atrakcyjni towarzysko. Ona zdolna, piękna, swobodna. On znakomity grafik, plakacista, umocowany w świecie mody. Na imprezach u nich spotykały się dwa światy i to w najlepszym wydaniu: sztuki i glamour. Rzeźbiarze i projektanci, kuratorzy i modelki” 15.

#### PORTRET WIELOKROTNY

W 1965 roku powstała pierwsza wersja jednego z najsłynniejszych dzieł Aliny, Portretu wielokrotnego. Wykorzystując odlew swojej twarzy, umieściła na granitowej podstawie dwa zachodzące na siebie wizerunki. Rozpoczęła również iluminowanie rzeźb za pomocą umieszczonej wewnątrz instalacji elektrycznej. Iluminowana oraz serie Piersi i Usta wzbudziły duże zainteresowanie, czego dowodem była pierwsza indywidualna wystawa w Galerie Florence Houston-Brown w Paryżu. Ekspozycję przeniesiono następnie do Kopenhagi i Sztokholmu, a w rozszerzonej formie (jako wystawę retrospektywną) zaprezentowano również w warszawskiej Zachęcie.

Artystka nie zerwała zresztą kontaktów z krajem, odwiedzała Polskę, czasami nawet tworzyła w swojej pracowni przy ulicy Brzozowej w Warszawie. Odmówiła jednak podjęcia pracy w szkołach artystycznych w Poznaniu i Gdańsku, zajęcia dydaktyczne w kraju oznaczałyby bowiem rezygnację ze swobody twórczej.

W lutym 1967 roku poślubiła w Paryżu Cieślewicza, w tym samym roku podwoiła również swój Portret wielokrotny, tworząc jego ostateczną wersję. Na XIX Salonie Młodej Rzeźby zaprezentowała eksperyment o nazwie Ca coule en rouge (Tonąca w czerwieni), pracę skomponowaną z intymnej bielizny wypełnionej watą i usztywnionej poliestrem.

„Kieruję się w stronę ciała, tej »sfery całkowicie erogennej« - pisała Szapocznikow kilka lat później - w stronę najbardziej nieokreślonych i najulotniejszych jego odczuć. Przez odciski ciała usiłuję utrwalić w przezroczystym polistyrenie ulotne momenty życia, jego paradoksy i jego absurdalność. [...] Jestem przekonana, że wśród wszystkich przejawów nietrwałości ciało ludzkie jest najwrażliwszym, jedynym źródłem wszelkiej radości, wszelkiego bólu i wszelkiej prawdy, a to z powodu swej ontologicznej nędzy tak samo nieuniknionej jak - w płaszczyźnie świadomości - zupełnie nie do przyjęcia” 16.

Wykonywała liczne odlewy fragmentów ciała (nie tylko własnego), co stało się podstawą do dalszych poszukiwań. Ostatecznie powstała seria Brzuchy-poduszki, odlane w gąbce poliuretanowej miały służyć jako zwykłe poduszki. Potraktowała zresztą pracę wyjątkowo eksperymentalnie, wykonując liczne odlewy na sprzedaż.

Była pomysłowa, poszukiwała nowych form wypowiedzi, jej rzeźby łączyły w sobie pop-art, surrealizm i sztukę konceptualną. Niektóre prace u jednych wywoływały zgorszenie, dla innych zaś były manifestem kobiecości. Używała symboli feministycznych, ale również fallicznych. Szalona biała narzeczona z 1971 roku przedstawiała drobną kobietę opartą o naturalistycznego ogromnego fallusa. Szapocznikow kipiała energią, była prawdziwą pracoholiczką.

„Pracowała całymi dniami - wspominał matkę Piotr Stanisławski - nigdy nie robiła przerw, nawet na obiad. Rysowała na każdej kartce, która była pod ręką, na opakowaniach po papierosach” 17.

## NOWOTWORY

W styczniu 1969 roku zdiagnozowano u niej nowotwór piersi. Od tej pory miała dzielić życie na pobyty w szpitalach, kolejne operacje i coraz bardziej gorączkową pracę twórczą.

W jej dziełach pojawiły się nowe motywy i nieznane dotychczas środki wyrazu.

„Wiesz, trzeba by utrwalić to wszystko - mówiła do Andrzeja Wajdy - co chirurg w czasie operacji odrzuca od siebie. Zakrwawione tampony, nożyczki, lancet... No, to wszystko,



co niepotrzebne” 18.

Zatapiała w tworzywie odpady operacyjne i opatrunki, dokumentowała postępujące zmiany chorobowe. Zrezygnowała z idealizacji i upiększania, jej kolejne prace były autentyczne i boleśnie wierne w przekazie. Najpierw powstała Śmierć, pierwsza pozycja z planowanego cyklu Inwazja nowotworów, następnie serie: Wielkie nowotwory, Nowotwory i Nowotwory uosobione. Choroba czyniła postępy; Pogrzeb Aliny z 1970 roku okazał się rozbudowaną kompozycją złożoną z poliestrowej materii z zatopionymi w niej osobistymi fotografiami, bielizną i strzępami gazy. Nic dziwnego, że Wajda stwierdził, że „ona zdjęła własną skórę” i przekładała cierpienie na język rzeźby. Osobiście jednak uważała, że „produkuje tylko niezgrabne przedmioty”, odbiorcy docenili jednak nowatorstwo i zapal w dokumentowaniu walki ze śmiercią.

„Własne ciało odbite w plastycznych formach - uważał dziennikarz Łukasz Gazur - wyglądających jak kawałki skóry. Rozpadające się w strzępy kształty są jak pamiętnik z czasów choroby. Nie są cichym spowiadaniem się, raczej odważnym krzykiem. Wiedziała, co ją czeka. Była doktor Frankensteinem w spódnicy, bo tym martwym fragmentom siebie próbowała nadać życie poprzez kolor, a nawet prąd - podłączała je do silników czy generatorów, pozwalała im na moment poruszyć się, zabłysnąć. Stworzyła cykl takich biomorficznych lamp. Znow trudno nie myśleć o jej osobistych doświadczeniach, czyli czasie wojny, getta, niepewności. Czasie, gdy skóra więźniów stawała się abazurem, a ludzki tłuszcz był materiałem na mydło” 19.

W chwilach lepszego samopoczucia nie przerywała dawnej aktywności zawodowej. Brała udział w sympozjach i wystawach, planowała również wykonanie z marmuru (białego i różowego) modeli rolls-royce'ów naturalnej wielkości (czy też nawet w skali 2:1). Miały być niemal identyczne z oryginałami i równie bezużyteczne.

„Ta praca będzie bardzo kosztowna - twierdziła Szapocznikow - całkowicie bezużyteczna, będzie odbiciem boga luksusu. [...] Jeśli istnieje ktoś, kto jest takim fantastycznym snobem, by zamówić tę pracę i ją umieścić na swoim prywatnym trawniku, by powitać swoich gości i zaprosić ich na drinka na siedzeniach z marmuru, to mój amerykański sen zostanie spełniony” 20.

Po raz ostatni pokazała się w polskiej ambasadzie w Paryżu 2 października 1972 roku, święta natomiast spędziła w rodzinnym domu w Malakoff. Stamtąd trafiła do sanatorium Praz-Coutant w Sabaudii, gdzie pozostała już do końca. Ostatnim stadium choroby był nowotwór kości i postępujący paraliż. Zmarła 6 marca 1973 roku.

## POŚMIERTNY TRIUMF

„Tego, że była od dawna ciężko chora - mówił Andrzej Wajda - dowiedziałem się dopiero na kilka dni przed jej śmiercią. Ale że nikt z nas o tym nie wiedział, że się po Niej tego nie widziało, uznaję za normalne. Kiedy się przejdzie przez to, co ona widziała w dzieciństwie, życie nie jest ani dobre, ani złe. Ono jawi się w okrutnej jasności i nie zostawia miejsca na sentymentalizm. To oznacza nie cierpieć, ale dać wyraz cierpieniu i nie wracać do przeszłości, chyba po to, aby odpowiedzieć sobie na pytania, kim się jest dzisiaj [...]” 21.

Z reguły śmierć artysty oznacza wzrost zainteresowania jego twórczością, tymczasem w przypadku Szapocznikow było akurat odwrotnie. Zorganizowano wprawdzie kilka pośmiertnych ekspozycji (w 1975 roku również w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Łodzi), jednak jej twórczość szybko zniknęła z katalogów wystaw. W ciągu kolejnych dwudziestu lat zdarzały się zaledwie pojedyncze ekspozycje i prezentacje jej prac na wystawach zbiorowych.

Sytuacja zmieniła się w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych. W Zachęcie zorganizowano dużą wystawę retrospektywną, jednocześnie rozpoczął się renesans jej popularności na Zachodzie. Dużą w tym zasługą Piotra Stanisławskiego, syn artystki od lat skutecznie propaguje twórczość matki. Doprowadziło to do sporów z polskimi muzeami, szczególnie gdy Stanisławski odbierał depozyty, aby sprzedawać je zachodnim galeriom. Polskich placówek najczęściej nie było stać na ich zakup, jednak rzeczywiście trudno mówić o właściwej reklamie twórczości Szapocznikow, gdy eksponowano ją w prowincjonalnych (z punktu widzenia światowej kultury) salach muzealnych.

Polskę opuściło ponad pięćdziesiąt prac artystki, a Stanisławski zlecił ich sprzedaż galeriom w Kolonii i Nowym Jorku. Spotkał się z zarzutami o „uszczuplanie polskiej spuścizny kulturowej”, ale trudno nie przyznać mu racji. Większość z czterdziestu prac Szapocznikow z muzeum w Łodzi przez lata leżała w magazynach, światło dzienne ujrzały dopiero w 2004 roku przy okazji wystawy w warszawskiej galerii IRSA Fine Art. Na świecie

ceny za dzieła artystki osiągają obecnie kilkadziesiąt tysięcy euro, a krytycy nie szczędzą pochwał. Potwierdzeniem jej pozycji w świecie sztuki stała się indywidualna wystawa w Museum of Modern Art w Nowym Jorku otwarta we wrześniu 2012 roku. Spodziewano się jej jako „jednego z najbardziej oczekiwanych wydarzeń” jesieni, a frekwencja zaskoczyła nawet organizatorów. Przygotowywana jest pierwsza zagraniczna monografia rzeźbiarki, a w 2009 roku polska telewizja nakręciła dokument Każde dotknięcie zostawia ślad. W planach jest również realizacja (na Zachodzie) filmu fabularnego o artystce.

Renesans popularności Szapocznikow przybiera czasami zadziwiające formy. Władze dzielnicy Żoliborz przypomniały sobie, że przed Teatrem Komedia od kilkadziesiątu lat stoi zapomniana przez wszystkich rzeźba Kobieta z dzieckiem. Mocno zniszczoną niedawno poddano gruntownej renowacji i triumfalnie osadzono na nowym cokole. Dziennikarki „Gazety Wyborczej” dotarły nawet do bardzo już sfatygowanej Przyjaźni wywiezionej z Pałacu Kultury i Nauki, która stoi na prywatnej posesji.

Szapocznikow zajęła wreszcie należne jej miejsce w gronie polskich artystów i obok Katarzyny Kobro uznawana jest za najwybitniejszą polską rzeźbiarkę XX stulecia. Podobnie jak Kobro była pionierką, tworząc indywidualny język form, odmienny od dotychczas istniejących. I tak samo jak ona w pełni doceniona została dopiero wiele lat po śmierci.

„Pewnej niedzieli, w pełnym słońcu - napisała Alina Szapocznikow półtora roku przed śmiercią - zmęczona kilkugodzinnym polerowaniem mojego rolls-royce'a w różowym portugalskim marmurze, usiadłam w zamyśleniu, żując machinalnie moją gumę do żucia.

Wyciągając z mych ust przedziwne rzeczy, zdałam sobie nagle sprawę z niezwyklej kolekcji rzeźb abstrakcyjnych, które przechodzą mi przez zęby.

Wystarczy sfotografować i powiększyć moje przeżute odkrycia, aby stwierdzić fenomen rzeźbiarskiej kreacji.

Żujcie dobrze, rozglądajcie się dookoła was.

Twórczość mieści się między marzeniem i codziennością” 22.

## Rozdział VIII.

### Inne oblicze Haliny Poświatowskiej

#### HASKA

Typowo polskim obyczajem jest przedstawianie wybitnych twórców naszej kultury w sposób całkowicie oderwany od realnej biografii. Poeci, malarze czy muzycy nie mają życia osobistego, a jeżeli już pewne informacje docierają do opinii publicznej, to łatwo ulegają klasyfikacji. I tak Witkacy postrzegany jest jako narkoman i dziwak, Leśmian jako erotoman, Broniewski i Gałczyński natomiast to alkoholicy. Według podręczników większość polskich poetów „cierpiała za miliony”, poświęcając się niemal wyłącznie wzniosłym sprawom. Co oczywiście nie do końca jest prawdą, wystarczy przypomnieć sobie bujne życie erotyczne i towarzyskie Adama Mickiewicza.

Przyzwoity poeta powinien odczuwać ból z powodu nieszczęśliwej miłości, najlepiej jedynej w całym swym życiu. Nic bowiem bardziej nie stymuluje natchnienia jak permanentny żal. Dotyczy to również artystów nam współczesnych, a doskonałym tego przykładem stało się życie Haliny Poświatowskiej. Wokół krótkiej i tragicznej biografii „poetki miłości” narosło bowiem wiele mitów, które do dzisiaj pokutują wśród czytelników. Trzeba zresztą przyznać, że rodzina poetki i krytycy zrobili wiele, aby je podtrzymać.

Inna sprawa, że własną legendę tworzyła również Poświatowska. Z rozmysłem kreowała swój życiorys, do czego szczególnie przyczyniła się jej autobiograficzna *Opowieść dla przyjaciela*. Utrwaliła ona obraz młodej kobiety walczącej ze śmiertelną chorobą i nieszczęśliwej z powodu śmierci męża.

Halina Myga urodziła się w maju 1935 roku w Częstochowie. Na chrzcie otrzymała imię Helena, miejscowy ksiądz uznał imię Halina za niechrześcijańskie, ale oficjalnej zmiany dokonała dopiero w 1961 roku. Była córką ślusarza specjalizującego się w produkcji parasolek i miała troje rodzeństwa (jedna z sióstr zmarła w dzieciństwie). Na całym jej życiu zaważyły trzy dni stycznia 1945 roku, gdy Częstochowę zajmowała Armia Czerwona. Kiedy ukrywała się z matką w zimnej i wilgotnej piwnicy, nabawiła się anginy. Choroba zakończyła się powikłaniami. Zapadła na zapalenie stawów, a następnie na reumatyczne zapalenie wsierdzia. Konsekwencją była poważna wada serca - niedomykalność zastawki mitralnej.

Regularną edukację szkolną przyszła poetka pobierała tylko przez dwa lata, więcej czasu spędzała w szpitalach i sanatoriach. Naukę kontynuowała w domu, a świadectwo dojrzałości uzyskała eksternistycznie w liceum korespondencyjnym.

„[...] Szpitale w Warszawie, Krakowie, Poznaniu - wspominała jej matka, Stanisława Myga. - Niezliczona ilość szpitali. Półtora roku tak ciężkiej choroby, że trzeba było Haśkę wynosić do ogródka na hamak lub leżak, bo nie mogła chodzić”<sup>1</sup>.

W 1953 roku znalazła się pod opieką profesora Juliana Aleksandrowicza w Krakowie, wybitny specjalista nie przewidywał jednak dla niej długiego życia.

„Utrzymywał się zastój w płucach. Męczyła ją duszność. Większość doby spędzała, siedząc w łóżku. Świadoma swego stanu, kpiła z siebie, kpiła z innych, a przede wszystkim kpiła z nas, lekarzy, i naszego zawodu”<sup>2</sup>.

Zachowanie chorej „nie licowało z delikatną postacią” i „zniechęcało do niej” lekarzy. Ale Halina pokrywała w ten sposób lęk przed śmiercią, była kilkunastoletnią, ciężko chorą dziewczyną, która bardzo chciała żyć. Bała się śmierci, zwierzała się na ten temat Aleksandrowiczowi.

Lekarz znalazł specyficzną terapię, zauważył bowiem na jej nocnym stoliku tomik wierszy Wisławy Szymborskiej. Postanowił wpłynąć na pacjentkę, aby zainteresowała się poezją.

„Zrodził się wówczas plan działania - wspominał po latach. - Może by tak przestawić

unicestwiającej ją myśli o śmierci na myśli o tworzeniu, które mogłoby wypełnić pustkę jej życia? Przeprowadziliśmy panią Wisławę. Obie kobiety się sobą zafascynowały. W kilka miesięcy później pani Wisława wykreowała Hańkę na poetkę”<sup>3</sup>.

Spotkanie ze starszą o dwanaście lat Szymborską przyniosło nieoczekiwane rezultaty. Halina zaczęła powracać do zdrowia, „pisała w każdej wolnej chwili”, poezja stała się dla niej ucieczką od codzienności, od bólu towarzyszącemu jej od dzieciństwa.

Aleksandrowicz potrafił znaleźć również inny sposób na oderwanie pacjentki od ponurej codzienności. Sprawował nad nią opiekę przez wiele lat, zasłużył na słowa wdzięczności od wszystkich wielbicieli poezji.

„W oddali widzę łódź motorową - opowiadał Jerzy Lisiewicz - pędzącą z wielką szybkością w dół rzeki. Po chwili orientuję się, że prowadzi ją profesor Aleksandrowicz, trzymając w dłoniach ster, a obok niego stoi Halina - szczęśliwa, roześmiana, z rozwianymi włosami. Widzą mnie, pozdrawiamy się gestami rąk. Patrzyłem długo za nimi, myśląc, jak wielką uludą jest taka jaśniejsza chwila w jej życiu”<sup>4</sup>.

## ADOLF POŚWIATOWSKI

W lipcu 1953 roku przyszła poetka poznała w sanatorium w Kudowie-Zdroju Adolfa Poświatowskiego. Starszy od niej o pięć lat był studentem reżyserii łódzkiej szkoły filmowej i również chorował na serce. Cierpiał na anginę pectoris, co nie dawało mu szans na długie życie.

Halina od razu mu się spodobała i zaproponował jej rolę w swoim dyplomowym filmie.

„Oczywiście powiedziałam, że to nonsens - pisała do kuzyna, Janusza Romana - ale nie mogłam mu odmówić przyjemności [...] obfotografowania mnie na 12 odbitkach. Łaziliśmy dzisiaj po południu po parku i pod każdym krzakiem, z bliska i z daleka, w słońcu i w cieniu robił zdjęcia, i to zawsze w takich głupich pozach. No, mniejsza o to, niech się chłopak cieszy, bardzo ciekawie gada, a mnie to wystarczy, a poza tym zaciekawia mnie, czy naprawdę łązi za mną (na razie tylko dwa razy, bo znam go dopiero od wczoraj wieczór) tylko

ze względu na ten zaplanowany film”5.

Halina w sanatorium nie mogła narzekać na brak powodzenia, wyrażała nawet żal, że „nie może chodzić ze wszystkimi”, którzy rywalizują o jej względy. Zachwyty męskich pacjentów nie powinien jednak specjalnie dziwić, przyszła poetka była bowiem piękną dziewczyną.

„167 centymetrów wzrostu, zgrabna, ładna, fryzura różna - wspominał ją brat, Zbigniew Myga - przed wyjazdem do Stanów długa, potem na ogół krótka, pod koniec życia taka za uszy. Nie była blondynką, nieprawda, miała kasztanowe włosy. Oczy zaś szare, ale mówiła, że zielone”6.

Młodszy bracia z reguły ulegają fascynacji starszymi siostrami, jednak urodę Haliny dokumentują liczne zdjęcia. Prezentowała typ zbliżony do Audrey Hepburn, a jednocześnie kojarzyła się z modelkami impresjonistów. Była niezwykle atrakcyjną kobietą o urodziwej twarzy i nieodgadnionym spojrzeniu.

„Miała piękne oczy o kształcie dużych migdałów i nieokreślonym kolorze - uważała kuzynka Halina Schweiger. - Było w nich trochę seledynu, trochę ciemnej zieleni i niebieskiego. Miały wyraz i głębię. Ich uroku nie oddaje żadna fotografia ani rysunek”7.

Zachwycony jej urodą był również słynny szablista Jerzy Pawłowski. Poznał poetkę w 1958 roku, gdy podróżowała do USA na pokładzie „Batorego”. Miała wówczas dwadzieścia trzy lata, była w rozkwicie swojej kobiecości, nie zatem dziwnego, że cieszyła się ogromnym zainteresowaniem mężczyzn.

„Halina była adorowana przez wszystkich oficerów i wszystkich majtków. Emanowała kobiecością, była szalenie sexy. Muszę przyznać, że zdjęcia nie oddają jej uroku osobistego, nie oddają jej blasku. Halinka była bardzo radosna; jak to się potocznie mówi - śmiała się pełną gębą. Miała dosyć dużą buzię, szeroki uśmiech, toteż nie dziwię się, że szalał i laził za nią cały sztab oficerski. Gdyby nie moja choroba morską, miałbym u niej większe szanse”8.

Nikt z wielbicieli Haliny nie widział w niej jednak poetki, wprawdzie mówiła, że pisze

wiersze, ale „nie brano tego poważnie”. Powodzenie zawdzięczała wyłącznie swojej osobowości i urodzie.

Związek z Poświatowskim wprowadził w popłoch rodzinę i lekarzy. Ciężko chora na serce dziewczyna zamierzała związać się z równie chorym mężczyzną. Nie rokowało to dobrze, a po ślubie jeden z lekarzy wyraził taką opinię: „Te dwa serca razem, to samobójstwo, osobno mieliby jakieś szanse, razem nie”. Ale młodzi postawili na swoim, pobrali się w kwietniu 1954 roku.

W powszechnej opinii związek z Poświatowskim miał być tą jedyną, największą miłością w życiu Haliny. To jednak pogląd nieprawdziwy, nie kochała męża tak bardzo, jak można byłoby wnosić z jej poezji. Korespondencja pisarki z krakowskim aktorem Janem Niwińskim wskazuje, że była raczej oszczędna w uczuciach dla Adasia (tak go nazywała). Wydaje się, że nie potrafili dojść do porozumienia w kwestiach erotycznych i Poświatowski rozczarował ją jako kochanek. Nie współżyli ze sobą przed ślubem; poetka przyznawała, że „była wtedy jeszcze słaba i chora”, dlatego „więc grzecznie i głupio poczekali”. Uznała to jednak za nierozsądne, ponieważ „gdyby to się stało przed ślubem”, to zapewne „uciekłaby od niego w tym pierwszym tygodniu”.

Dalsze wyznania Haliny zaskakują jeszcze bardziej. Przywykliśmy uważać ich małżeństwo za związek dwóch pokrewnych dusz, którym do egzystencji była potrzebna wzajemna obecność. I chociaż każde zbliżenie erotyczne mogło zakończyć się tragicznie, nie rezygnowali z nich. Tymczasem po śmierci Adolfa Poświatowska przyznała, że w czasie trwania małżeństwa nie odczuwała specjalnej tęsknoty za mężem. Z dużą przyjemnością przebywała „w Rabce dwa i trzy miesiące” i „wcale nie tęskniła za swoim Adasiem”. Ten wprawdzie „przesyłał rozdzierające listy”, ona jednak podejrzewała, że „nie była zdolna do takiej miłości”.

Sytuacja opisana w listach do Niwińskiego zdecydowanie różni się od obrazu przedstawionego w Listach do przyjaciela. Tam nie ma mowy o rozczarowaniu, jest wielkie uczucie, wzajemna bliskość i udane życie erotyczne.

„Moje ciało, które dotychczas było jedynie obiektem zainteresowania lekarzy, stało się nagle ważne i użyteczne. [...] Prędko przywykłam zasypiać z głową wtuloną w jego



ramiona z plecami mocno przywartymi do jego piersi. Odwracając się w nocy na bok, czułam, jak jego ręce przygarniają mnie przez sen”<sup>9</sup>.

Zdrowie Poświatowskiego systematycznie się pogorszało, regułą stały się nocne ataki duszności. Mimo to nie chciał zrezygnować ze studiów i wreszcie doszło do najgorszego: zmarł w marcu 1956 roku w Hotelu Europejskim w Krakowie. Halina przebywała wówczas w Rabce.

„Ta śmierć, mój przyjacielu, dotknęła mnie bardziej niż wszystko, które przeżyłam dotąd. Ta śmierć dotyczyła mnie bardziej. To ciało tak mi znajome, że nieledwie zdawało się być kawałkiem mojego ciała, miała przysypać teraz ziemia. Jego głęboko osadzone oczy, jego wiarę w życie, jego miłość. Odchodził ode mnie, zostawiając mnie bardziej samotną niż wtedy, kiedy go nie było jeszcze. Nie umiałam się z tym pogodzić”<sup>10</sup>.

Wyznania Poświatowskiej są jednak wyłącznie poetycką autokreacją. Poeta ma prawo przekształcać rzeczywistość, tworząc wizerunek dla czytelników, podobne zabiegi mają zresztą długą tradycję. Bardziej jednak realistyczna wydaje się opinia Haliny wyrażona w liście do Niwińskiego. To nie jest wypowiedź pisarki żyjącej w świecie poezji, ale raczej reakcja pełnokrwistej kobiety, która po dwóch latach małżeństwa została wdową:

„Adaś był niezłym chłopcem i umarł, a nie roztkliwiam się nad nim zanadto - wprost przeciwnie, wściekam się, że mi zrobił takie horrendalne świństwo”<sup>11</sup>.

Po latach pozostał jednak obraz opuszczonej artystki, znajdującej natchnienie we własnej rozpacz. Taki wizerunek przyjęto niemal bezkrytycznie i kiedy w 1986 roku „Przekrój” opublikował fragmenty listów do Niwińskiego, doszło do skandalu. W obronie „dobrego imienia” Haliny stanęła bowiem jej siostra.

„[...] Poświatowska była jak najdalsza od uznania, że wszystko jest na sprzedaż, choć wątki autobiograficzne są kluczem do jej twórczości literackiej. Autor, nawet nieżyjący, ma prawo do własnego oblicza, ma prawo przedstawić się czytelnikowi tak, jak tego pragnie, i prawo to należy szanować”<sup>12</sup>.

Rodzina poetki dołączyła do długiej listy specjalistów od stawiania na piedestale

zmarłych artystów. W naszym kraju należy bowiem do dobrego tonu niszczenie dokumentów i pomijanie faktów nieodpowiadających utrwalonej legendzie. Dzięki takim zabiegom Poświatowska uważana jest za kobietę, która załamana po śmierci męża poszukiwała kontaktu z nim w poezji, aby wreszcie połączyć się przez śmierć. Niechętnie wspomina się również o fakcie, że po śmierci Adolfa w życiu Haliny byli inni mężczyźni. Nie bardzo pasuje to bowiem do jej legendy.

### „HYMN BAŁWOCHWALCZY”

Zapewne nikt nigdy nie usłyszałby o utworach Poświatowskiej, gdyby nie zakończyła się epoka stalinizmu. Jej delikatna, kobieca poezja nie miała bowiem racji bytu w czasach realizmu socjalistycznego, gdy publikowano wiersze o planie sześcioletnim, przyjaźni polsko-radzieckiej czy dzielnych traktorzystkach. Zaleceniom władz podporządkowywali się autorzy tej miary, co Tuwim, Brzechwa czy Gałczyński, a w publikowanych antologiach z trudem znajdowało się miejsce dla lirycznych utworów Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

Halina Poświatowska zadebiutowała na łamach „Gazety Częstochowskiej”, w grudniu 1956 roku ukazały się jej dwa wiersze: Szczęście i Człowiek z Annapurny. Rubrykę literacką tygodnika prowadził wówczas Tadeusz Gierymski, który nie cenił specjalnie tych utworów, a decyzję o publikacji podjął raczej pod wpływem współczucia dla chorej dziewczyny.

Za właściwy debiut ogólnopolski należy uznać opublikowanie wierszy Haliny w krakowskich pismach: „Zebra” i „Kierunki”. O młodej poetce zaczęło robić się głośno, w czym miała niewątpliwie zasługi promocja Wisławy Szymborskiej. W czasach „odwilży” zwrócić na siebie uwagę nie było łatwo, wydawali przecież tej miary twórcy, co: Grochowiak, Harasymowicz, Białoszewski czy Herbert. W 1958 roku na rynku pojawił się pierwszy tomik poetycki Poświatowskiej - Hymn bałwochwalczy - który wzbudził sensację.

„Straciłem już nadzieję na podobny fenomen w polskiej kobiecej poezji - pisał Stanisław Grochowiak. - Na fenomen autentycznego erotyzmu. Wszystkie polskie pisarki erotyków (to bluźnierstwo, bo nie wyłączam z tej plejady nawet Jasnorzewskiej) nosiły na sobie mundurki z pensji imienia Emilii Plater. Ich erotyzm był przeżarty albo rakiem wstydu, albo zwyrodnieniem formy” 13.

Grochowiakowi wtórował Jerzy Kwiatkowski:

„Poświatowska jest taktowną bałwochwalczynią Erosa. Nie waha się pisać o cielesnej istocie miłości, nie lęka się tematu ciała. [...] Poezja Poświatowskiej jest ziemską, nie niebieską. Dotyczy spraw, którym żaden człowiek nie jest obcy, mówi o nich w sposób prosty, bezpośredni, komunikatywny. Jej ambicją jest stworzenie nowej konwencji, nowego językowego kanonu dla erotycznych przeżyć współczesnego człowieka, współczesnej kobiety” 14.

Olśniewający debiut zapowiadał wielką przyszłość. Niestety los zdecydował inaczej i za życia poetki ukazały się jeszcze tylko dwa zbiory wierszy (trzeci wyszedł pośmiertnie). To niestety niewiele, jak na skalę jej talentu.

## USA

Kiedy w Polsce zachwycano się Hymnem bałwochwalczym, Halina za oceanem walczyła o życie. Po śmierci męża jej zdrowie zdecydowanie się pogorszyło; dzięki staraniom profesora Aleksandrowicza trafiła do kliniki kardiologicznej w Poznaniu. Miała zostać tam zoperowana, ale po szczegółowych badaniach zabieg okazał się niemożliwy. W Polsce nie było jeszcze specjalistycznej aparatury i lekarze dawali poetce maksimum rok życia. Aleksandrowicz jednak się nie poddał i rozpoczął starania o operację za granicą. Nawiązał kontakt z amerykańskimi specjalistami z Filadelfii, którzy zgodzili się wykonać operację na otwartym sercu. Halina Poświatowska miała zostać pierwszą osobą na świecie (!), u której zwężono zastawkę mitralną.

Problem oczywiście stanowiły pieniądze. Zabieg wprawdzie miała sfinansować jedna ze stacji telewizyjnych w zamian za prawa do transmisji na żywo (!), jednak koszt podróży i pobytu w USA przekraczał możliwości finansowe rodziny poetki. Tutaj również Aleksandrowicz okazał się niezastąpiony. Udało mu się zainteresować losem Poświatowskiej Polonię amerykańską, w efekcie w sierpniu 1958 roku Halina popłynęła na pokładzie „Batorego” za ocean.

Operację przeprowadzono w listopadzie; po otwarciu klatki piersiowej okazało się, że serce chorej jest w gorszym stanie, niż przypuszczano. Dowodzący zespołem chirurgów

doktor Henry T. Nichols nakazał jednak kontynuację zabiegu, który zakończył się sukcesem. Poświatowskiej podarowano jeszcze dziewięć lat życia.

„Kiedy obudziłam się na szósty dzień po operacji - pisała w Opowieści dla przyjaciela - bólu nie było. Ze zdziwieniem poczułam, że mogę oddychać swobodnie, klucie ustąpiło z płuc. Patrzyłam na swoje zabandażowane piersi. Bandaże leżały spokojnie, lekko unoszone oddechem. Tam, gdzie moje serce zwykle pulsowało gwałtownie, teraz była cisza. Jeszcze raz odetchnęłam głęboko, ból odszedł” 15.

Poetka wracała do formy i niebawem zaskoczyła otoczenie decyzją o pozostaniu w USA. Postanowiła kontynuować naukę w jednym z college'ów, a składając dokumenty, załączała do każdego podania egzemplarz Hymnu bałwochwalczego. Ostatecznie zdecydowała się na znakomity żeński Smith College w Northampton w stanie Massachusetts. Od władz uczelni otrzymała stypendium w wysokości 2200 dolarów rocznie, dostała również pomoc finansową od Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku i Fundacji Kościuszkowskiej.

Wyjeżdżając za ocean, Poświatowska nie знаła angielskiego, przed rozpoczęciem nauki uczęszczała na kursy językowe na Columbia University. Okazało się jednak, że to zbyt mało, niewystarczająca była również jej znajomość literatury anglosaskiej.

„Nie umiałam koncentrować się zarazem na składni wypowiedzianych zdań i na ich treści - wspominała. - Rozumiałam niewiele, rozumiałam jedynie słowa, podczas gdy sens wykładu przeciekał obok moich uszu, nie utrwalony przez pamięć ani tym bardziej nie utrwalony w kwadratowym zeszycie” 16.

Nie należała jednak do osób poddających się zwątpieniu. Ona, która wygrała życie, uznała, że pokona przeciwności, i dlatego uczyła się po kilkanaście godzin na dobę. Pierwsze egzaminy zakończyły się porażką, ale kolejna próba wzbudziła już uznanie wykładowców. Program studiów absorbował ją (studiowała literaturę i filozofię), ale zaczynała tęsknić za Polską.

„Ten kraj jest piękny - pisała - i ludzie są dla mnie dobrzy, ale dławi mnie smutek gorszy od bólu. Smutek rośnie każdego dnia, karmiony słońcem i powietrzem, przenika każdą

myśl. Nie umiem się śmiać, przyjaciele i najpiękniejsze krajobrazy są mi obojętne. Czy to jest tęsknota?” 17.

Na pewno czuła się w Northampton wyobcowana i przyrównywała swoją egzystencję do życia w klasztorze lub sanatorium. Drażnił ją brak dyskusji, wymiany myśli, podporządkowanie wszystkiego ocenom i niezdrowej rywalizacji. Podczas sesji egzaminacyjnych na terenie kampusu panowała całkowita cisza, a znerwicowanym studentkom dostarczano posiłki do pokojów. Uważała ten świat za sztuczny i chory.

„Grupka studentów zagranicznych, licząca około 30 osób - pisała w Notatniku amerykańskim - czuje się obco i prawie niepotrzebnie na terenie Smith. Zwabione wysokimi stypendiami naukowymi i przychylnością dyrekcji przyjeżdżają dziewczęta zza oceanów, nie wiedząc, że przyjdzie im za to płacić pracą ponad siły i gorszą od pracy samotnością” 18.

Zapewne wpływ na postrzeganie Ameryki miała również niefortunna historia miłosna z wykładowcą filozofii i poetą Josephem Margolisem. Poznała go podczas wakacji w 1960 roku, gdy uczęszczała na zajęcia uzupełniające na Columbia University w Nowym Jorku. Margolis był od niej znacznie starszy (miał czterdzieści lat), był żonaty (jego rodzina przebywała w Cincinnati); przeżyli wakacyjną przygodę.

„Spędzamy ze sobą całe dni - pisała Poświatowska w Opowieści dla przyjaciela. - Po każdym wykładzie wychodzimy razem pod obstrzałem zdziwionych spojrzeń. Zaintrygowane starsze panie szepczą, blond dziewczyna patrzy na mnie z nieukrywaną pogardą i tylko księża pozostają nieporuszeni, zaabsorbowani niezmiennie bladoniebieskim egzemplarzem »Etyki« Moore'a. Idziemy do pobliskiej restauracji na lunch, a potem wsiadamy w dudniącą kolejkę podziemną, która unosi nas do Greenwich. Wynurzamy się z podziemnego tunelu w okolicy skweru Waszyngtona i wolnym krokiem przemierzamy wąskie ulice, wmieszani w kolorowy tłum” 19.

Margolis jej imponował, podkreślała później, że z jej strony była to miłość. On natomiast traktował to jak kolejną przygodę ze studentką, których miał wiele. Pod koniec wakacji powrócił do Cincinnati, a ona szukała ukojenia, tłumacząc jego wiersze. Nie robiła sobie żadnych nadziei, wiedziała, że nie odgrywa w życiu Margolisa żadnej roli.

Nie wiadomo natomiast, co właściwie łączyło Halinę z Jerzym Kosińskim. Poznali się w Nowym Jorku, a intrygującym dowodem zainteresowania pisarza pozostała seria zdjęć Poświatowskiej wykonanych w Central Parku. Kilka lat później poetka napisała opowiadanie *Niebieski ptak*, będące rodzajem polemiki (a właściwie zemsty) z jego *Malowanym ptakiem*. Przedstawiła w nim Kosińskiego jako kabotyńca, narcyza i erotomana, niecofającego się przed bluźnierstwem i manipulacją. Jedynym talentem pisarza miała być jego niespożyta energia seksualna, co trudno raczej uznać za nobilitację na literacki parnas. Kosiński zareagował w amerykańskim stylu, dwadzieścia lat po śmierci Poświatowskiej przedstawił ją w powieści *Pustelnik z 69 ulicy*. Halina została sportretowana pod nazwiskiem Heleny Powskiej jako chora na serce huculska (!) poetka. Pisarz opisał zbliżenie erotyczne z Huculką proszącą o miłość („kochaj mnie jak mężczyzna”). Bohaterka powieści, podobnie jak Halina po operacji i powrocie do kraju, napisała zionące nienawiścią opowiadanie.

Kosiński na długo zapamiętał Poświatowską. Wspominał ją w przedmowie do drugiego wydania *Malowanego ptaka*, mówił o niej podczas swojej wizyty w Polsce w 1988 roku. Znajomości z Haliną nie pomijają również amerykańscy biografowie pisarza.

Romanse i nauka nie przeszkadzały Poświatowskiej w poznawaniu USA. Była nad Niagarą, na Florydzie, w Ohio i Pensylwanii. Szczególnie jednak upodobała sobie Nowy Jork, było to jedyne miejsce w Ameryce, gdzie wreszcie czuła się dobrze. Zamieszkała u starszej o cztery lata Caroline Karpinski, historyka sztuki. To ona stała się jej przewodniczką po Nowym Jorku:

„Po kolacji Caroline towarzyszyła mi w niekończących się wędrówkach po mieście. Dudniącą kolejką podziemną jechałyśmy w dół wyspy. Tam był inny New York. Ulice dużo węższe niż w centrum i światła nie tak natrętne. Po obu stronach ulic niewysokie, trzy - i czteropiętrowe kamieniczki, strome schodki z żelazną balustradą prowadzą do wejściowych drzwi. Na niskich piętrach liczne kawiarnie, warsztaty rękodzielnicze i pracownie malarskie, w których za kilkadziesiąt centów można nabyć własny portret. Neonowe szyldy przywabiają tłum krążący w oparach tytoniowego dymu, w smugach światła przenikających na ulicę z otwartych zapraszająco drzwi” 20.

W swoich wędrówkach nie ominęła nawet Harlemu:

„Czerwonobrunatne, nieotynkowane budynki, okna często pozbawione szyb, bezdrzewne ulice pokryte warstwą kurzu i śmieci. Lubiłam tam chodzić pośród ciemnego tłumu. [...] Chodziłam pośród nich i pomimo brudu, pomimo kurzu, który podnosił się w słońcu i wspinał na wysokość twarzy, czułam, że przynależę tu bardziej niż do eleganckiej Piątej Alei w okolicy muzeum Metropolitan” 21.

Nie zdecydowała się jednak na pozostanie w USA. Skończyła wprawdzie college z wyróżnieniem, ale nie chciała kontynuować studiów za oceanem. Odrzuciła ofertę Stanford University w Kalifornii (proponowano jej stypendium w wysokości 2500 dolarów) i zdecydowała się na powrót do kraju. Ameryka była jednak nie dla niej.

### IRENEUSZ MORAWSKI

Jedną z najdziwniejszych znajomości Poświatowskiej był jej związek z niewidomym poetą Ireneuszem Morawskim. Poznali się w dość prozaicznych okolicznościach: dwa lata przed wyjazdem Haliny do USA Morawski pojawił się na jej wieczorze poetyckim. Pan Ireneusz zapowiadał się na literata, pisał opowiadania i niebawem rozpoczął studia polonistyczne we Wrocławiu. Przez kilka lat korespondowali ze sobą, a czasami spotykali się w Częstochowie, gdzie Morawski odwiedzał ojca.

„[...] Poznałam takiego początkującego literata - pisała Poświatowska do Jana Niwińskiego - przyprawdzili mi go do domu - ślepy od urodzenia prawie - domyśla się Pan, że to zrobiło na mnie wrażenie - chciałabym Panu pokazać jego nowelkę - (ale on jej nikomu nie daje) - jakie to wszystko rozedrgane - jak ten człowiek się szamocze - i jakie okrutne, i jakie powiedzmy sobie w myśl zasad chrześcijańskich - celowe - gdyby miał oczy, nie mógłby tak pisać - na pewno!” 22.

Prawie od początku korespondencji Poświatowska nosiła się z zamiarem jej opublikowania. Podczas pobytu poetki w USA matka Haliny zwróciła się do Morawskiego o udostępnienie wszystkich listów. Do poety zaczęło wówczas powoli docierać, że Poświatowska nie była wobec niego szczerą, a jej listy stanowiły jedynie tworzywo literackie.

„W sprawie tej korespondencji przechowuję pewien uraz - pisał Morawski wiele lat później. - Halina prawdopodobnie już przy wymianie pierwszych listów umyśliła sobie, że

one powinny być, muszą być i będą opublikowane. Pisanie listów pod opublikowanie jest »robieniem« literatury, a literatura do czytania przez wszystkich jest jakby spowiedzią, która tak długo manipuluje grzechem, aż grzech ten ukryje i przeinaczy. Obawiam się, że w listach przewidzianych pod opublikowanie musi - chcąc nie chcąc - przemieszkiwać duch nieszczerości. A wartości nieszczerych listów trzeba przyglądać się zupełnie szczególnie - nieprawdaż?” 23.

Korespondencji jednak nie przerwali, a wyznania Poświatowskiej trudno zinterpretować. Czy rzeczywiście czuła coś do Morawskiego, czy też słowa: „kochanie”, „wieczorami tęsknię za Tobą”, czy też „całuję Twoje listy”, należy uznać za kolejną próbę autokreacji?

Wymiana listów urwała się w 1963 roku, ale Poświatowska nie zrezygnowała z próby ich publikacji. Pewne fragmenty znalazły się w *Opowieści dla przyjaciela*. W 1966 roku poetka powiadomiła Morawskiego o wydaniu książki, w której „jest tyle o niej, co i o nim”. Tłumaczyła, że niegdyś ją zranił i „musiała to opisać”.

Morawski nie był zachwycony, uważał bowiem, że książka zafałszowała rzeczywistość.

„Halina jest zbyt poprawna, zbyt dobra w tej książce. Poświatowska była osobą bardzo złożoną, było w niej wszystko, była dobra i łagodna, ale była też okrutna i przewrotna, a *Opowieść* prezentuje tę lepszą, ładniejszą jej stronę” 24.

Niektórzy uznali Morawskiego za „przegapioną miłość” poetki, ale to raczej nie jest zgodne z prawdą. Był dla niej osobą ważną, szczerze bowiem wyrażał swoje opinie na temat jej twórczości. Niczego nie łagodził i zmuszał Halinę do intelektualnego i twórczego wysiłku. Ona to doceniała, ale o uczuciu z jej strony nie było mowy.

„Wiem, że mnie kochasz, i jestem dość okrutna, aby ci powiedzieć, że nie podzielam tej miłości. Nie Kocham Ciebie. Nigdy Cię nie kochałam i nigdy nie byłam dla Ciebie dobra. Nigdy nie usiłowałam sprawić Ci radości. [...] Ty nie masz nade mną tej jedynej władzy, jaką daje uczucie. Nigdy z Twojego powodu nie byłam w rozpacz, nigdy w upojeniu, a jednak dla Ciebie podjęłam trud, do którego nie mógłby mnie zmusić żaden ukochany mężczyzna. Już



drugi miesiąc siedzę w ciasniutkim pokoju, piszę” 25.

Kolejnym pomysłem wydawniczym poetki miały być Listy do przyjaciela, Morawski jednak zdecydowanie zaprotestował. Dla niego cała korespondencja była sprawą wyjątkowo intymną i nie zamierzał jej ogłaszać. Chyba jednak naprawdę kochał Poświatowską, mimo że miał świadomość „absolutnego braku nadziei”. Nie chciał jednak, aby jego autentyczne cierpienie stało się kolejnym elementem kreacji wizerunku Haliny. Czy mogło być bowiem coś bardziej intrygującego niż trudna miłość chorej na serce pisarki do ociemniałego poety? Dodatkowo Morawskiemu nie można było zarzucić, że darzy Halinę uczuciem z powodu jej urody, ociemniały mężczyzna nie mógł być przecież „zaczadzony pięknem jej ciała”.

„Gdybym miał opowiedzieć więcej - mówił po latach zrezygowany - musiałbym umieć opowiedzieć kobietę, która na zawsze i bardzo chciała być kochana, a w zamian za to dawała tak wiele - pozwalała się kochać. Przeważnie ludziom to nie wystarcza. Wydaje się, że wtedy nie wystarczało i mnie. Po latach sędzę, że jak dla mnie było to i tak za dużo” 26.

Przygotowany do druku maszynopis Listów znajduje się obecnie w posiadaniu Morawskiego. Poeta jednak zdaje sobie sprawę, że odpis mają zapewne również spadkobiercy Haliny. I nie będzie mógł „wyeliminować tych tekstów z obiegu”, przez co „czuje się jak niewolnik własnej głupoty”. Poświatowska zresztą nie pozostawiła mu złudzeń, a jej szczerłość była okrutna:

„O listy się nie martw. Opiekuję się nimi troskliwie, kocham je, masz rację. One są wszystkie moje. Trudno ci będzie kiedykolwiek udowodnić, że tam, to nie jesteś najprawdziwszy Ty. Nie napiszesz już przecież takich listów do nikogo i już nikogo nie będziesz tak kochał jak mnie, prawda?” 27.

## KRAKÓW, KOSMETYKI I OBUWIE

Po powrocie z USA jesienią 1961 roku Poświatowska rozpoczęła studia na Wydziale Filozoficzno-Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Zamieszkała w Domu Literatów przy ulicy Krupniczej, jej sąsiadami (mieszkanie miało cztery pokoje ze wspólną łazienką) byli: Hanna Mortkowicz-Olczakowa, Anna Brzozowska i Jerzy Hordyński. Z czasem do Haliny wprowadziła się jej młodsza siostra (Teresa Małgorzata), częstym gościem

bywała również matka.

„Zjawia się jak krasnoludek - uważała poetka - wymyła podłogę, pomalowała drzwi, kupiła stół i krzesła. Całkiem pięknie jest u mnie teraz. Na razie bawi mnie to bardzo, straszną jestem pedantką [...] i ścieram każdą plamkę z podłogi, każdy pyłek, taki dom” 28.

W 1963 roku Halina obroniła magisterium, a kilkanaście miesięcy później otrzymała asystenturę w Zakładzie Filozofii Nauk Przyrodniczych. Rozpoczęła również pracę nad doktoratem, jeździła na konsultacje do Warszawy, do profesor Marii Ossowskiej.

W Krakowie nie koncentrowała się jednak wyłącznie na pracy naukowej i dydaktycznej. Prowadziła bogate życie towarzyskie, miała dużo znajomych, szczególnie wśród płci przeciwnej. Była bowiem „bardziej nastawiona na przyjaźnie męskie”, czując się „lepiej w towarzystwie mężczyzny niż drugiej kobiety”.

„Nieprzeciętna uroda Haški - wspominała Ludmiła Waluszewska - radość życia, ciekawość, wesołość i wdzięk sprawiały, że ludzie absolutnie nie zdawali sobie sprawy z tego, że mają do czynienia z osobą tak beznadziejnie chorą. Młode żony drżały o swój spokój, gdy na spotkaniach towarzyskich kokietowała ich mężów. Nie wiedziały, że Haška tak mało może poza intelektualnymi figlami, do których wielu nie dorosło” 29.

Dla żon czy narzeczonych wydawała się poważnym zagrożeniem. Niezwykle urodziwa, nieprzeciętnie inteligentna, nie miała żadnych zobowiązań życiowych. Wydawała się kobietą samodzielną i niezależną, a do tego jeszcze sławną. Nie ukrywała, że nudzą ją typowo damskie tematy, zawsze wolała intelektualną wymianę myśli i szermierkę słowną. A do tego miała jeszcze specyficzne poczucie humoru, bywała złośliwa i szczególnie kobietom dawała odczuć swoją wyższość.

Starannie dbała o wygląd, robiła delikatny makijaż, lakierowała paznokcie u rąk i stóp. Kosmetyki przysyłała jej z USA Caroline Karpinski, były to produkty uznanych firm, za które czasami płaciła horrendalne cło. Wierna była również perfumom Ma Griffé firmy Carven, uważała zresztą, że jest klasycznym zapachowcem. Wprawdzie w jej poezji można znaleźć odniesienia do konwalii i bzów, ale ulubione perfumy Poświatowskiej mają zupełnie inny bukiet.

„Zawsze bardzo dbała o urodę - wspominał Zbigniew Myga. - Gdy siedziała w łóżku, przyklejała na czoło kawałek przezroczystej taśmy i strofowała młodszą siostrę: »Nie marszcz brwi! Wiesz, że kobieta, aby być piękna, musi nauczyć się płakać i śmiać w taki sposób, by nie powstawały zmarszczki” 30.

Jak na rasową kobietę przystało, niemal przez całe życie eksperymentowała z uczesaniem. Najpierw miała długie włosy, ale obcięła je w USA i do końca życia nosiła już różne wersje krótkiej fryzury. Ich wspólną cechą była grzywka, dzięki wysokiemu czołu i owalnej twarzy mogła sobie na nią pozwolić. Nawet przebywając w szpitalach, odwiedzała miejscowego fryzjera, i nie zapomniała oczywiście o makijażu.

Nie wiadomo, skąd wzięła się teoria, że Poświatowska nie przywiązywała wagi do swojego wyglądu. Prawda była zupełnie inna, a na kosmetykach i fryzurze nie kończyły się zainteresowania poetki sprawami własnego wyglądu. Naturalny komfort psychiczny zapewniał jej również modny i elegancki ubiór oraz właściwie dobrane obuwie.

Zastanawiające, że znawcy życia i twórczości Poświatowskiej poświęcali czas na analizę jej miłości do konwalii, całkowicie zaś zignorowali sprawę garderoby. Listy i notatki poetki pełne są przecież wzmianek na temat strojów i na pewno nie zamierzała prezentować się jak żeńskie wydanie Wernyhory.

„Z Ameryki wróciła taka »zagraniczna« - wspominała Beata Szymańska-Aleksandrowicz. Wtedy jeszcze wyjazd za granicę był rzadkością. Halina długi czas to przeżywała. Wyróżniały ją choćby takie drobiazgi jak ten, że była znakomicie ubrana, bo przywiozła sobie fajne ciuchy” 31.

Sprawy garderoby pojawiają się regularnie w jej listach, dziękowała Caroline Karpinski za swetry i spodnie (prawdziwe džinsy), otrzymywała również z Zachodu paczki odzieżowe od zaprzyjaźnionych osób. Dostawała w nich także elegancką bieliznę, co było szczególnie ważne w warunkach szpitalnych.

„[...] Wysoka, gibka - relacjonowała Ludmiła Waluszewska - w bordowym, dołem mocno rozkloszowanym, aksamitnym szlafroku. Mówiło się o niej wśród pacjentek i

personelu. Zwracała na siebie uwagę” 32.

Wyjeżdżając jesienią 1966 roku na dwa miesiące do Paryża, uszyła na zamówienie kilka spódnic, bluzek i zakietów. A były to przecież przaśne czasy Gomułki i raczej niewiele osób w kraju zdecydowałoby się na coś podobnego. U krawców zamawiano pojedyncze sztuki garderoby, czasami mężczyźni szyli sobie garnitury, ale zamówienie kilkunastu (!) strojów uchodziło za wyjątkową ekstrawagancję.

Wyprawa do Paryża zakończyła się jednak klęską, po powrocie stwierdziła, że nad Sekwaną czuła się „jak ostatni żebrak”. Najwyraźniej nie orientowała się w trendach panującej mody, a uszyte ubrania nadawały się bardziej dla damy w średnim wieku niż modnie ubranej dziewczyny.

Prawdziwą pasją Poświatowskiej były buty. Widać wychodziła z założenia, że „w życiu piękne są tylko chwile oraz ładne obuwie”, i nie liczyła się z wydatkami. Jeszcze w USA znaczną część z kwoty z 500 dolarów przyznanych przez Polski Instytut Naukowy wydała na pantofle, podobnie zresztą zachowywała się na paryskim stypendium. Motyw obuwia pojawiał się wówczas niemal w każdym jej liście, twierdziła, że tylu cudownych modeli jeszcze nigdy nie widziała. Mając do wyboru zakup ubrań czy butów, bez wahania wybierała buty. W kraju zaopatrywała się w krakowskich Sukiennicach, ewentualnie odwiedzała sklepy dewizowe banku Pekao (poprzednika Peweksu). Kupowanie modnego obuwia stanowiło zapewne znaczące obciążenie dla jej budżetu.

Ta elegancka i modnie ubrana kobieta zaskakiwała niekiedy używanym słownictwem. Miała ulubione wulgaryzmy, sama przyznawała, że „pięknie klnie”. W jej listach regularnie pojawiają się słowa: „gówno”, „cholera”, „dupa” czy nawet „skurwysyny”. O twarzach mawiała „pyski” (nawet o własnej), jej słownictwo zdecydowanie zaprzeczało obrazowi zwiewnej, eterycznej poetki. Niewykluczone zresztą, że w codziennej mowie posuwała się do mocniejszych określeń. Ale nie wydaje się, aby komukolwiek to przeszkadzało, najwyraźniej jej czar osobisty powodował, że nie zastanawiano się nad słownictwem, a może nawet dodawało jej uroku.

W pewnej dziedzinie życia Halina zachowywała się absolutnie nierozsądnie. Dumna ze swojej doskonałej figury, starała się utrzymać szczupłą sylwetkę, co w pewnym okresie

przerodziło się niemal w obsesję. Przyjmowała ogromne ilości środków odwadniających, usunęła również ze swojego menu wszystkie produkty zawierające sól i przyprawy. Uwielbiała jednak gorzką czekoladę i orzechy laskowe, co raczej trudno uznać za jedzenie dietetyczne. Mieszkając w Krakowie, często odwiedzała Warszawiankę, gdzie gotowano dietetycznie i bez soli, jedzenie przywoziła jej także matka. Uczciwie przyznawała, że nie ma talentu kulinarnego, a „paskudztwa, które ugotuje, nie nadają się do niczego”. Zapewne potrawy bez soli, przypraw i ziół były całkowicie pozbawione smaku.

## ZNAJOMY Z KOTORU

Latem 1966 roku Poświatowska wyjechała na wakacje nad Adriatyk. W Zagrzebiu spotkała się z Caroline Karpinski (przyjaciółka sfinansowała cały wyjazd), po czym obie panie udały się autobusem do Opatii. Przez miesiąc podróżowały wzdłuż wybrzeża dalmatyńskiego, na dłużej zatrzymując się w Dubrowniku. W połowie sierpnia Caroline odjechała do Belgradu, a do Haliny przybył krakowski aktor Jan Adamski.

Był od niej starszy o dwanaście lat. Poznali się w Krakowie, Adamski wraz z rodziną mieszkał w tej samej kamienicy przy ulicy Krupniczej. Jego żoną była poetka Anna Świrszczyńska (starsza od niego o czternaście lat), miał dorastającą córkę. Ich małżeństwo nie układało się jednak, a zapewne jedną z przyczyn była znaczna różnica wieku pomiędzy partnerami.

Początkowo Adamski ukrywał swój romans z Poświatowską. Gdy pierwszy raz umówili się do kina, podczas seansu wziął ją za rękę, jednak po wyjściu „powiedział mamrocząco, że on musi w drugą stronę”, i zniknął. A mieszkali przecież obok siebie.

W Dalmacji spędzili dziesięć dni. To sugeruje, że aktor podjął już decyzję o rozwodzie, wątpliwe bowiem, aby znalazł wobec żony wiarygodne alibi. Tym bardziej że Halina dojrzała już do ponownego małżeństwa i myślała o stabilizacji u boku jednego mężczyzny. I raczej nie miała wyrzutów sumienia z powodu związku z żonatym mężczyzną.

„Bardzo jej sprzyjał tamtejszy klimat - wspominał Adamski - będący mieszanką morskiego i górskiego. Stamtąd organizowaliśmy wypadki do Kotoru - malowniczego, liczącego jedenaście kilometrów długości fiordu. Wieczorami słuchaliśmy, jakże innych niż

serbskie, pieśni dalmatyńskich. Zaprzyjaźniliśmy się z kilkoma serbskimi i chorwackimi aktorami. W Belgradzie odwiedziliśmy m.in. mojego przyjaciela, wielkiego Serba i znawcę polskiej literatury - profesora Stojana Subotina. I on bardzo lubił Halinkę” 33.

Adamski rzeczywiście rozwiódł się z żoną, nastąpiło to jednak dopiero dwa lata później, już po śmierci Poświatowskiej. Wiadomo jednak, że gdy mieszkał w Rzeszowie, ponieważ grał w tamtejszym teatrze, poetka go odwiedzała. Nie była jednak chyba do końca pewna swojej pozycji, ponieważ przebywając jesienią 1966 roku na stypendium w Paryżu, prosiła siostrę, aby sprawowała dyskretną kuratelę nad aktorem.

Pewne światło na ich wzajemne stosunki rzuca opublikowane pośmiertnie opowiadanie Poświatowskiej *Znajomy z Kotoru*. I chociaż Halina dowolnie przekształcała rzeczywistość, to jednak tym razem wydaje się, że opowiadanie całkiem realnie opisuje wydarzenia z Dalmacji.

Narratorem opowiadania jest bliżej nieznany Francuz, którego przyjaciel spotkał nad Adriatykiem dziwną parę. Oboje mówili słowiańskim językiem, kobieta chorowała na serce, a mężczyzna sprawiał wrażenie zafascynowanego jej urodą. Wyglądali na zakochanych i bardzo nieszczęśliwych. On nosił na palcu obrączkę, ona często płakała. Francuz rok później ponownie spotkał mężczyznę w Paryżu, gdy ten poszukiwał grobu ukochanej. Przyznał, że dziewczyna wyjechała nad Sekwanę i zerwała z nim kontakty. On nie mógł z nią pojechać, bo wprawdzie ją kochał, ale miał żonę i dziecko. Teraz jednak dotarł do Paryża, ponieważ miał przeczucie, że dziewczyna już nie żyje.

„Kocham ją, kocham ją bardziej niż Boga, ale Boże, Ty mi przebaczysz, Ty mnie nie potrzebujesz przecież, a ona... Ona tam jest sama! Nie, nie przebaczysz mi... A więc mnie pogrzeb na dnie twojego piekła, byle obok niej... Ja będę cierpieć za nią i za siebie!” 34.

## OSTATNIA WALKA

Serce ponownie zaczęło o sobie przypominać i w listopadzie 1965 roku Poświatowska musiała wziąć krótki urlop zdrowotny od zajęć dydaktycznych. Miewała ataki duszności, nie pomagała troskliwa opieka Aleksandrowicza ani pobyty w sanatoriach. W Dalmacji chwilami była tak słaba, że nie miała siły spacerować po stromych uliczkach Dubrownika. Czasami jej

aktywność dzienna ograniczała się wyłącznie do pobytu na hotelowym leżaku.

„Ten Dubrownik strasznie piękny - pisała do matki i siostry - tylko stanowczo za duży; Korčula była w sam raz do chodzenia po niej. Dubrownik muszę sobie rozłożyć na kilka rat”.

Stare miasto w Dubrowniku nie jest specjalnie rozległe, zabytkowe centrum można obejrzeć dokładnie w ciągu kilku godzin. Ale w mieście znajduje się wiele podejść i schodów, co dla poetki okazało się barierą nie do pokonania. Swoje robiły również letnie upały, było zbyt gorąco na spacer, na pobyt na plaży, a nawet na spanie.

Mimo iż jej zdrowie coraz bardziej szwankowało, Halina zdecydowała się wyjechać na stypendium do Paryża. Zwiedzała tam muzea, oglądała kościoły, kupowała książki i buty. I chociaż była coraz słabsza, pojechała również do Wersalu. Tęskniła jednak za Adamskim.

„Jaś - gdzie jesteś? - pisała w liście. - Tęsknię za tobą i za tym miejscem, gdzie jesteś, dlatego musisz mi powiedzieć, gdzie i jak to jest. Jeszcze ciągle nie ma listu od ciebie - pewnie nie może jeszcze być - a ja już chodzę koło skrzynki i zaglądam. I czekam tak bardzo i... boję się tego listu, bo jeśli będzie w nim znowu za mało, to co, to co... To nic, nie martw się Jaś, zapalę jeszcze jedną świeczkę w Notre Dame [...]” 35.

Zapewne chciała zapalić świeczkę w intencji ich związku i wspólnego szczęścia. Tu nie było miejsca na poetycką autokreację, Poświatowska chyba rzeczywiście zamierzała ułożyć sobie życie z Adamskim. Czuła się jednak coraz gorzej, puchły jej nogi, nie miała pieniędzy ani lekarstw. Pewną poprawę przyniosły preparaty od Aleksandrowicza przywiezione przez Wisławę Szymborską, finansowo pomógł jej natomiast były promotor, profesor Roman Ingarden.

Pobyt nad Sekwaną zadecydował o losach Poświatowskiej. Po powrocie do kraju nie mogła już prowadzić normalnego życia, a lekarze oceniali jej stan na zbliżony do tego sprzed amerykańskiej operacji.

Nie myślała jednak o ponownym wyjeździe do USA, chciała, aby zabieg przeprowadzono w kraju.

„Cztery miesiące pobytu w klinice podreperowały jej siły - wspominała jej matka. - Naprawdę mogła wyjść ze szpitala i żyć jeszcze kilka lat... Ale nie chciała. Nie chciała życia w fotelu, życia beczynnego. Chciała żyć, ale chciała też pracować. Przede wszystkim pracować i poruszać się jak ludzie zdrowi. Nie chciała być kaleką. Wstydziła się choroby” 36.

Relację Zofii Mygowej potwierdzał jej syn, młodszy brat Haliny:

„[...] Nie chciała siedzieć w fotelu otoczona poduszkami, nie potrafiła też spokojnie leżeć. Pewnie że siedziała w łóżku, bo chyba to lubiła. Zresztą, kto nie lubi? W każdym razie jestem przekonany (i rodzina chyba także - nie wiem, czy w tym momencie nie burzę jakiegoś mitu), że mogła żyć długo. Halina mogła jeszcze żyć! Nie wiem, dlaczego zgodziła się na tę operację. Chyba jej po prostu chciała” 37.

Poświatowska rzeczywiście chciała żyć normalnie, spotykać się z ludźmi, pracować i stworzyć dom u boku mężczyzny, którego wybrała. Związek z Adamskim wpłynął na jej decyzję, tym bardziej że w ostatnich miesiącach widywali się raczej rzadko. On grał w Rzeszowie, a ona była zbyt słaba, aby go odwiedzać. Pisała tylko pełne tęsknoty listy, dzieląc się z nim całkiem prozaicznymi marzeniami. Należały do nich wspólne pobyty w Rzeszowie, oprawa obrazków, kwitnąca maciejka w ogródku. Pisała, że „to bardzo miło myśleć, że ma się dom, wreszcie gdzieś dom” i że nie jest już „zupełnie biedna i bezdomna”.

Czekała na operację „jak na wybawienie”, była „ufna, cierpliwa i spokojna”. 20 września 1967 roku przyjęto ją do warszawskiego Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc przy ulicy Płockiej, gdzie dwa tygodnie później przeprowadzono zabieg. Niestety, cud nie zdarzył się po raz drugi i 11 października zmarła. Miała trzydzieści dwa lata.

Śmierć poety w młodym wieku powoduje z reguły zaliczenie go do postaci kultowych. Poświatowską uznano za jednego z „kaskaderów literatury” epoki PRL, stawiając ją na równi z Wojaczkiem, Bursą, Hłaską czy Stachurą. Nic bardziej błędnego, z tamtym towarzystwem łączyła poetkę jedynie przedwczesna śmierć. Poświatowska nie była krytykiem polskiej rzeczywistości, nie buntowała się przeciwko normom życia narzuconym przez komunistów. Była poetką miłości i nie miała w sobie nic z autodestrukcji. Dążyła do osobistego szczęścia i bardzo chciała żyć. Z całą świadomością stoczyła ostatnią walkę o osobiste szczęście i ją



przegrała.

kiedy umrę kochanie gdy się ze słońcem rozstanę i będę długim przedmiotem raczej smutnym

czy mnie wtedy przygarniesz ramionami ogarniesz i naprawisz co popsuł los okrutny

często myślę o tobie często pisze do ciebie głupie listy - w nich miłość i uśmiech

potem w piecu je chowam płomień skacze po słowach nim spokojnie w popiele nie uśnie

patrzac w płomień kochanie myślę - co też się stanie z moim sercem miłości głodnym

a ty nie pozwól przecież żebym umarła w świecie który ciemny jest i który chłodny

Adamski nie był przy niej w chwili śmierci. Przebywał w Rzeszowie, rano miał przyjechać do Warszawy. Wieczorem, przed wyjazdem, usiłował kupić dla niej orzechy laskowe, o które go prosiła. Nie mógł jednak nigdzie ich dostać, okazały się już zresztą niepotrzebne.

## Rozdział IX.

Polska Safo

VINCAS BACEVIČIUS

Dziwnym zrządzeniem losu niektórzy z wybitnych naszych muzyków XX stulecia byli Polakami z wyboru. Paweł Kochański był potomkiem rosyjskich Żydów z Odessy, a Grzegorz Fitelberg synem muzyka wojskowego z Łotwy. Kropli polskiej krwi w żyłach nie miała również Anna German, a niewiele brakowało, aby osiągnięciami Grażyny Bacewicz szczycili się obecnie Litwini. Znakomita skrzypaczka i kompozytor (nie lubiła określenia „kompozytorka”) pochodziła bowiem z mieszanej etnicznie rodziny, a jej ojciec był litewskim nacjonalistą.

Vincas Bacevičius ukończył Seminarium Nauczycielskie w Wejwerach na Kowieńszczyźnie, został jednak uznany za element wywrotowy i nakazano mu osiedlenie się w Łodzi. Tam ukończył szkołę muzyczną braci Hanickich, poznał również Marię Modlińską, absolwentkę elitarnego Instytutu Maryjnego dla Panien Szlachetnie Urodzonych. Pobrali się w 1903 roku.

Pobyty w Łodzi i ślub z Polką nie zmieniły poglądów Bacevičiusa, wciąż pozostał nacjonalistą, a dzieciom nadawał imiona związane z dziejami Litwy: Witold, Kiejstut i Grażyna. Tylko najmłodszą z rodzeństwa nazwano Wandą, co zapewne było efektem kompromisu małżonków.

„Ojciec był tak fanatycznie oddany muzyce - wspominała Wanda Bacewicz - że uważał to za rzecz najważniejszą. I miał chyba rację. Od piątego roku życia wszystkie dzieci uczył gry na paru instrumentach, tak że idąc do konserwatorium, byliśmy wszyscy absolutnie

przygotowani”<sup>1</sup>.

Grażyna, urodzona w lutym 1909 roku, dzieciństwo spędziła w domu, w którym panował kult muzyki. Dziewczynkę od pierwszych miesięcy życia otaczało brzmienie różnych instrumentów.

„Spałam w kołysce - pisała po latach - moi bracia w łóżeczkach (siostry nie było jeszcze na świecie), a wokół nas rozbrzmiewały dźwięki: wiolonczeli, skrzypiec, fortepianu, czasem głosu ludzkiego, a nawet trąbki”<sup>2</sup>.

Ojciec miał ambicję stworzyć z dzieci kwartet, postawił jednak na wszechstronność, każde z nich grało na więcej niż jednym instrumencie.

„Mam już 5 lat - opisywała Grażyna. - Doganiam chłopców - zwłaszcza w grze na skrzypcach. Z fortepianem gorzej. Młodszy z braci - Witek, jest niedościgły. Zresztą nie w głowie nam rywalizacja.

Trio już jest. Ojciec, maksymalista, wolałby kwartet. Zaczyna »męczyć« najmłodszą, Wandę. Chyba przed czasem. I pedagog cieszący się dobrą sławą na uczelni, w której pracuje, może postąpić czasem niepedagogicznie w domu”<sup>3</sup>.

Wydawało się, że wszystkie dzieci zrealizują ambicje Vincasa. Rodzeństwo pobierało podwójną edukację: w szkole ogólnokształcącej i w prywatnym konserwatorium Heleny Kijeńskiej-Dobkiewiczowej. To była dobra uczelnia, po drugiej wojnie światowej przekształcono ją w Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną.

Grażyna po raz pierwszy stanęła na estradzie w wieku siedmiu lat. Razem ze starszymi braćmi występowała „na różnych koncertach i koncertikach”, „czasami jako skrzypaczka, czasami jako pianistka”. Inna sprawa, że tryb życia narzucony młodym Bacewiczom zabrał im normalne dzieciństwo. Rodzeństwo poświęciło się wyłącznie nauce, poza edukacją muzyczną musieli przecież zrealizować również normalny program szkolny. Dzieciństwo pod kuratelą despotycznego ojca wywarło decydujący wpływ na dorosłe życie Grażyny. Została pracoholiczką, praktycznie nigdy nie pozwalając sobie na chwile beztroski i wypoczynku.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej w życie rodziny wkroczyła polityka. Polska i Litwa odzyskały niepodległość, ale politycy z Kowna nigdy nie pogodzili się z przyłączeniem Wilna do Rzeczypospolitej. Nie nawiązano stosunków dyplomatycznych, a Litwini utrzymywali fikcję, że kraj pozostaje w stanie wojny z Polską. Zapewne Bacevičius popierał żądania rodaków, co musiało wpłynąć na sytuację rodzinną. Niebawem zresztą ojciec Grażyny zdecydował się na bardziej radykalne rozwiązania.

W 1923 roku nielegalnie przedostał się na Litwę i pozostał tam do końca życia. Jego śladem ruszyli synowie, w Kownie pojawiła się również Grażyna. Bacevičius uważał się za Litwina i chciał, aby tę narodowość wybrały również jego dzieci.

„Grażyna ani ja nie czułyśmy się absolutnie Litwinkami - opowiadała wiele lat później Wanda Bacewicz - i owszem, Grażyna, jak już dorosła, to jeździła z bratem jednym lub drugim i koncertowała na Litwie. Ale to nic nie znaczyło”<sup>4</sup>.

Wydaje się jednak, że panią Wandę po latach zawiodła pamięć. Może zresztą z rozmysłem przeinaczała fakty lub nie o wszystkim wiedziała (w chwili emigracji ojca miała dziewięć lat). Z innych źródeł wynika bowiem, że Grażyna poważnie myślała o osiedleniu się na Litwie, podobno jednak nie chciała zrezygnować z polskiego paszportu. To chyba tylko kolejna legenda, ponieważ niepełnoletnia dziewczyna nie mogła decydować o swoim obywatelstwie. Potrzebna byłaby zgoda obojga rodziców, a Maria Bacewicz zapewne nie wyobrażała sobie emigracji córki. Wystarczająco doświadczyło ją to, że mąż przedłożył miłość do rodzinnego kraju nad jej osobę, a w jego ślady poszli synowie.

Bardzo różnie potoczyły się losy braci Grażyny. Witold (już jako Vytautas) odnalazł się w nowym otoczeniu, rozwinął ożywioną działalność muzyczną i publicystyczną. Popierał nowe prądy w sztuce, założył czasopismo „Muzika ir teatras”, przewodniczył sekcji litewskiej Międzynarodowego Towarzystwa Muzyki Współczesnej. Latem 1939 roku wyjechał na koncerty do Ameryki Południowej i po wybuchu wojny nie wrócił już do Europy. Zamieszkał w Nowym Jorku, gdzie przez lata obawiał się deportacji do ZSRR. Otrzymał wreszcie prawo stałego pobytu, ale nigdy nie zrobił kariery, do jakiej był predysponowany.

W odróżnieniu od starszego brata Kiejstut szybko zraził się do litewskich porządków i

wrócił nad Wisłę. Zasłynął jako kameralista i pedagog, a po drugiej wojnie światowej przez dwanaście lat był rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi. Otrzymał nawet doktorat honoris causa tej uczelni, szkoła od 1999 roku nosi imię Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów.

Grażyna ostateczną decyzję o wyborze narodowości podjęła dopiero w latach trzydziestych, kiedy starała się o stypendium naukowe na paryskiej uczelni. W Polsce nie udało się jej niczego załatwić, dlatego udała się do ojca na Litwę.

„Tatuś chciał Ci wyrobić stypendium (do Paryża) u ministra oświaty Šakenisa - pisał Vytautas do Grażyny wiele lat później - który to wtedy oświadczył Ojcu, że już chciał się podpisać na potwierdzenie stypendium rocznego dla Ciebie, ale Motekaitis i Balys Dvarionas wnieśli skargę do ministerstwa, że Ty jesteś Polką i wobec tego nie powinnaś dostać stypendium. Wtedy to Ty, jak pamiętasz, po dwóch triumfalnych koncertach słusznie oświadczyłaś: »a więc dobrze, jestem wobec tego Polką« i wtedy ja Cię zawiozłem do Paryża. To był punkt zwrotny w Twoim życiu, choć bardzo wtedy bolesny dla naszego Tatusia”<sup>5</sup>.

Wydaje się, że ta właśnie decyzja litewskiego ministra spowodowała, iż twórczość Grażyny Bacewicz należy do polskiej kultury.

## PARYŻ

W 1928 roku Grażyna wraz z matką i siostrą przenieśli się do Warszawy. Dziewczyna podjęła naukę w stołecznym konserwatorium w klasach: skrzypiec, fortepianu i kompozycji, a jakby tego było mało, przez pewien czas na Uniwersytecie Warszawskim studiowała równoległe filozofię. Muzyka jednak zwyciężyła i przyszła artystka skoncentrowała się wyłącznie na kompozycji i grze na skrzypcach, porzuciła bowiem również edukację w klasie fortepianu.

Warszawskie studia Bacewicz przypadły na lata kadencji Karola Szymanowskiego na stanowisku rektora. Znakomity kompozytor osiągał doskonałe efekty artystyczne, ignorując jednak całkowicie sprawy administracyjne. Zarzucano mu, że nie szanuje zasłużonych pedagogów, że „na lekcje przychodzi w palcie, a urzędowe papiery podpisuje na stojąco, w pośpiechu”.

„[...] Szymanowski po prostu czuł potrzebę pracy społecznej - uważał Jarosław Iwaszkiewicz - i dla tej swojej potrzeby znalazł zastosowanie na stanowisku rektora pierwszej Akademii Muzycznej. Bywają takie momenty w życiu artysty, kiedy mu nie wystarcza najbardziej pełna i absorbująca twórczość indywidualna i kiedy pragnie - nawet czasami nieudolnie, bo do tego nie jest stworzony - dać coś z siebie bezpośrednio społeczeństwu, czy to jako nauczyciel, czy to jako organizator, nie czekając, aż jego dość niedostępna twórczość znajdzie drogę do najszerszych warstw”<sup>6</sup>.

Biografowie kompozytora do dzisiaj uważają, że jego zaangażowanie w pracę pedagogiczną było poważnym błędem. Stracił bowiem wiele czasu, który mógł poświęcić na komponowanie, a działalność na warszawskiej uczelni odbiła się fatalnie na zdrowiu artysty. Zapominają jednak o wpływie, jaki Szymanowski wywarł na przyszłych kompozytorów. W czasie jego kadencji na warszawskiej uczelni studiowali bowiem Bacewicz i Stefan Kisielewski, a niebawem naukę rozpocząć mieli Witold Lutosławski i Andrzej Panufnik. Szymanowski wprowadził do szkoły nowe spojrzenie na muzykę, odległe od dotychczasowych skostniałych form pedagogicznych. Gdyby nie on, losy polskiej kultury potoczyłyby się zapewne inaczej.

Grażyna uchodziła za wzorową studentkę, wykładowcy zauważali „jej wrażliwość na muzykę” i „jej powagę w stosunku do przedmiotów, które studiowała”. W 1932 roku uzyskała dyplom, po czym pojechała do Paryża, aby doskonalić się w kompozycji u słynnej Nadii Boulanger. To właśnie wówczas bezskutecznie starała się o państwowe stypendium, a wyjazd ostatecznie sfinansował Vytautas, który osiągnął już stabilizację zawodową.

„Kiedy jako jeszcze zupełnie młoda dziewczyna przybyła do Paryża - wspominała Nadia Boulanger - już wtedy zdradzała wielki talent, który w ciągu lat miał się rozwijać. [...] Talent Bacewiczówny został uformowany w Warszawie. [...] Grażyna jak prawie wszyscy moi polscy uczniowie przyjechała z solidną szkołą, jednocześnie klasyczną i nowoczesną”<sup>7</sup>.

W 1933 roku Bacewicz zdobyła swoją pierwszą nagrodę za kompozycję, wygrała konkurs zorganizowany przez paryskie towarzystwo Aide aux femmes de professions libres (Stowarzyszenie Popierające Kobiety Pracujące w Wolnych Zawodach). Rok później odbył się w Warszawie jej pierwszy koncert kompozytorski, niebawem jednak poniosła dotkliwą

porażkę jako skrzypaczka. Niepowodzeniem zakończył się jej udział w I Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym imienia Henryka Wieniawskiego. Klęska była tym bardziej dotkliwa, że Bacewicz uchodziła za jedną z faworytek, a nadzieje wzrosły po pierwszym etapie konkursu.

„W przeddzień mojego występu - wspominała Grażyna - siedziałyśmy jak najspokojniej w Filharmonii. W przerwach flirtowałam sobie z doktorem Andrzejem Biernackim - moim przyszłym mężem. Odprowadził nas do domu, pożegnał nas przed bramą. Wyjątkowo długo czekałyśmy na jej otwarcie. Gdy na koniec znalazłyśmy się przed drzwiami mieszkania, klucz od zamka okazał się zbyteczny”<sup>8</sup>.

Mieszkanie zostało bowiem dokładnie splądrowane przez złodziei. Nie pozostało w nim praktycznie nic poza meblami.

„Nie, mówiąc, że nic w nim nie pozostało, popełniłam nieścisłość: na tapczanie w pierwszym pokoju, a więc na najbardziej widocznym miejscu, leżała troskliwie ułożona suknia koncertowa, w której miałam następnego dnia wystąpić, obok - z jednej strony pantofelki, z drugiej - skrzypce.

Cóż za szarmanccy i interesujący się sztuką złodzieje! Jeszcze tylko brakowało karteczki: »Życzymy powodzenia«,<sup>9</sup>.

Grażyna z matką i siostrą spędziły noc na komisariacie, a następnego dnia skrzypaczka zagrała fatalnie. Otrzymała tylko wyróżnienie, co odebrano jako klęskę.

## WOJNA

Bacewicz nie zrezygnowała jednak z kariery solistki, na tę decyzję miały zapewne wpływ francuskie recitale organizowane przez Stowarzyszenie Młodych Muzyków Polaków w Paryżu. Zaprzyjaźniła się z wówczas ze Stefanem Kisielewskim oraz z mieszkającym na stałe nad Sekwaną kompozytorem Michałem Spisakiem. Był to chyba najbardziej beztroski okres w jej życiu, „rano usiłowała komponować, a po południu były już różne szaleństwa”.

Michał Spisak żywił do niej uczucia wybiegające poza przyjaźń, Grażyna jednak ich

nie odwzajemniała. Była już wtedy żoną Andrzeja Biernackiego, pobrali się w 1936 roku.

Biernacki był znakomitym lekarzem i wróżono mu wielką karierę. I chociaż zawsze preferował pracę naukową, to zdarzył mu się w życiu egzotyczny epizod - przez dwa lata był lekarzem polskiej kolonii „Orzeł Biały” w stanie Espírito Santo w Brazylii. W 1931 roku wrócił jednak do kraju i został pracownikiem naukowym Uniwersytetu Warszawskiego.

„Którymkolwiek działem interny się zajmował - pisał jego uczeń Jerzy Borowicz - zawsze był najlepszy. Wymagający, ale niezwykle towarzyski. Lubił studentów i lubił się z nimi bawić, również przy barze” 10.

Wydawać się mogło, że Grażyna i Andrzej byli dla siebie stworzeni. Z czasem jednak się okazało, że bardzo różnili się charakterami, w efekcie małżeństwo uważano za „nie do końca udane”. Bacewicz była typem introwertyczki, nigdy nie potrafiła otworzyć się do końca, nawet przed najbliższymi osobami. Z natury była raczej chłodna, uważano, że w życiu interesowała ją tylko muzyka i urodzona w 1942 roku córka Alina. Biernacki zaś, pomimo znakomych osiągnięć zawodowych (współorganizował zwalczanie chorób zawodowych, był pionierem w leczeniu nadciśnienia i schorzeń naczyń obwodowych), pozostał człowiekiem towarzyskim i lubiącym przyjemności życia. Sytuacji małżonków nie ułatwiała zapewne, że za plecami nazywano go ironicznie „panem Bacewiczem”, co dla mężczyzny z ambicjami zawodowymi było raczej trudne do zaakceptowania.

W kwietniu 1939 roku Grażyna miała swój pierwszy koncert kompozytorski w Paryżu. Pobyt nad Sekwaną przedłużył się do lata, wróciła do kraju tuż przed wybuchem wojny. Z kampanii wrześniowej zapamiętała głównie historyczny lęk przed bombardowaniami, inna sprawa, że rodzinę ocalił jej atak paniki. Gdy opuścili Warszawę i zatrzymali się w Garwolinie, Grażyna wymusiła na towarzyszących jej osobach (mąż, matka, siostra i brat z żoną) natychmiastowe opuszczenie miasteczka. Chwilę później nadleciały niemieckie bombowce i Garwolin praktycznie przestał istnieć.

Wydarzenie to zmieniło poglądy kompozytorki na życie. Od tej pory stała się „wyznawczynią teorii determinizmu” i już „nie wierzyła w wolną wolę człowieka”. Uważała, że „każde życie, w każdym szczególe jest przewidziane”.



Zgodnie z wyznawanymi zasadami nie unikała już okupacyjnych niebezpieczeństw. Utrzymywała kontakty z przyjaciółmi muzykami, brała udział w konspiracyjnych koncertach, uczestniczyła również w oficjalnych imprezach organizowanych przez Radę Główną Opiekuńczą. Podczas powstania warszawskiego kompletnie ignorowała zagrożenie. Mąż przebywał najczęściej w powstańczych szpitalach, ciężko ranna siostra wraz z matką i córeczką znalazły schronienie w piwnicy, Grażyna natomiast, zajęta domowymi sprawami, nie schodziła na dół nawet podczas bombardowań. Uważała, że to i tak w niczym nie zmieni jej losów.

Po powstaniu trafiła do Pruszkowa, a następnie do Grodziska, gdzie Biernacki pracował w szpitalu. Uchroniło to ich przed wywózką do Niemiec, a po nadejściu Armii Czerwonej rodzina przeniosła się do Lublina. Tam, pomimo niezwykle trudnych warunków, wznowiła koncerty, występując ze swoim bratem Kiejstutem. Zdarzało się, że w salach, w których grała, temperatura spadała poniżej zera, podczas występu musiała więc zakładać ciepłe palto. Ale to były drobiazgi bez większego znaczenia. Najważniejsze, że wojna dobiegała końca, rodzina przetrwała ją bez strat, a ona na nowo mogła poświęcić się muzyce.

#### OBRAZKI Z ŻYCIA ARTYSTKI

„Od pierwszych jej samodzielnych kroków - wspominał Grażynę Witold Lutosławski - widać w niej było urodzonego, rasowego muzyka, łączącego - podobnie do wielkich mistrzów baroku - talenty twórcy i odtwórcy w jedną harmonijną całość” 11.

Coraz więcej miejsca w jej życiu artystycznym zajmowało komponowanie, chociaż czasy zdecydowanie temu nie sprzyjały. W sierpniu 1949 roku na Zjeździe Kompozytorów i Krytyków Muzycznych w Łagowie Lubuskim oficjalnie proklamowano socrealizm w muzyce.

„Nie ma zgody na muzykę formalistyczną - przemawiał wiceminister kultury i sztuki Włodzimierz Sokorski - a także na eksperymenty. Sztuka, a w tym także muzyka, ma być orężem w budowie nowego ustroju, nowego społeczeństwa. Język muzyczny ma być w swoich założeniach oparty na wielkich klasykach: tematyczności, tonalności, ludowym kolorycie i narodowym klimacie” 12.

Bacewicz nie podporządkowała się jednak dyktatowi. Nie napisała żadnego socrealistycznego utworu, nie skomponowała również „żadnej pieśni masowej, żadnej kantaty”. Z natury nie znosiła zresztą utworów programowych, uważając, że muzyka nie powinna przekazywać treści literackich. Własne kompozycje uznawała za pozbawione „normalnych życiowych” uczuć, bo podczas ich tworzenia wyrażała „po prostu siebie i swoje własne emocje”.

Bacewicz była jednak w komfortowej sytuacji. Wzorem Szymanowskiego i Chopina wprowadzała elementy ludowe do swoich kompozycji, co władze uznały za wystarczający wkład w budowę socjalizmu. Pisała również dużo bardzo potrzebnych w tych czasach utworów pedagogicznych i na pewno nie narzekała na honoraria.

„Dostajemy od państwa forszę - pisała do brata - abyśmy mogli spokojnie pracować. Czy Bach napisał choć jeden utwór nie na zamówienie? Nie sądzę, że u nas pisze się tylko pieśni masowe. Ja dostaję zamówienia na kwartety, symfonie, koncerty, utwory pedagogiczne” 13.

Za Oberka otrzymała Państwową Nagrodę Artystyczną, ten jeden z jej najbardziej znanych utworów powstał przez zupełny przypadek.

„[...] Miałam w zeszłym roku - wyjaśniała na spotkaniu ze słuchaczami - występ i w przededniu zorientowałam się, że brak mi żywego utworu na bis. Napisałam więc oberka” 14.

Na pewno wraz z mężem żyli na poziomie nieosiągalnym dla przeciętnych ludzi. Dysponowali własnym samochodem, mieli gosposię, oboje doskonale zarabiali. Biernacki również zdobył wysoką pozycję zawodową, od 1946 roku był profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, a dwa lata później objął obowiązki kierownika I Kliniki Chorób Wewnętrznych. Dzięki jego staraniom zakupiono pierwsze w Polsce aparaty do dializ, profesor przewodniczył również Komisji do spraw Rozwoju Nefrologii przy Ministrze Zdrowia.

Kiedy mąż robił medyczną karierę, Grażyna wahała się przed podjęciem ostatecznej decyzji: zastanawiała się nad porzuceniem koncertowania.

„Wiesz, zanosi się na to - oznajmiła przyjaciółce, Eugenii Umińskiej, po powrocie z Paryża - że będę robiła karierę jako skrzypaczka! Grałam w Paryżu z Pawłem Kleckim I Koncert Szymanowskiego. Bardzo to było przyjemne przeżycie, ale ja przede wszystkim chcę pisać” 15.

Koncerty oznaczały ciągłą nieobecność w domu i rozłąkę z ukochaną córką, przeszkadzały również w pracy twórczej. Bacewicz zawsze była bowiem zwolenniczką pracy systematycznej, a nie zrywami. Zresztą komponowanie narzucało również inne obowiązki:

„Do naszej pracy kompozytorskiej należy, jak wiadomo, nie samo komponowanie, ale także studiowanie, śledzenie tego, co robią w muzyce inni. Zapoznawanie się z nowymi kierunkami, prądami i osiągnięciami. I także dokonywanie własnych eksperymentów” 16.

Miała jednak obawy przed poświęceniem się wyłącznie kompozycji. Presja środowiska narzucała jej pewne ograniczenia i jeszcze w latach trzydziestych rozmawiała na ten temat z Nadią Boulanger.

„[...] Mężczyźni nie są obarczeni obowiązkami domowymi - skarżyła się Francuzce - obowiązki matki są bardziej absorbujące niż ojca. - Przy tym kompozytorzy mają jakieś szczególne szczęście do dobrych żon, rezygnujących ze swych osobistych ambicji na rzecz pracy twórczej [męża], a przecież nonsensem byłoby, aby mąż kompozytorki rzucił zawód albo zajął się domem dlatego tylko, iż miał nieszczęście ożenić się z kompozytorką” 17.

Inna sprawa, że w dotychczasowych dziejach światowej muzyki nie było kobiet piszących na taką skalę jak Bacewicz. Przez dłuższy czas uważano, że nie będzie ona w stanie skomponować utworu symfonicznego, ale I Koncert skrzypcowy jej autorstwa zadał kłam tym opiniom, a Koncert na orkiestrę smyczkową z 1948 roku przekonał resztę niedowiarków.

„Wprawdzie miała poprzedniczki w kompozycji - twierdził Jerzy Waldorff - od legendarnej greckiej Safony począwszy (nazywałem ją »słowiańską Sapho«), poprzez renesansową twórczynię oper i znamienitą lutnistkę - Francescę Caccini, aż do Germaine Tailleferre, która należała do francuskiej grupy kompozytorów »Les Six« zawiązanej z inspiracji Cocteau. Ale żadna z wcześniejszych kobiet w muzyce nie zostawiła ani w połowie tak obfitego i poważnego dorobku artystycznego jak Grażyna Bacewicz” 18.

Rzeczywiście komponowała bardzo dużo, a co więcej - swobodnie czuła się niemal w każdej formie muzycznej. Szczególny rozkwit jej możliwości twórczych nastąpił po 1953 roku, kiedy ostatecznie porzuciła karierę skrzypaczki. Nie była to łatwa decyzja, uważała bowiem, że „długoletnie obcowanie z instrumentem nasuwa myśl o małżeństwie”. A jak wiadomo, nie jest „łatwo rzucić męża lub żonę po srebrnym weselu”. Wyjaśniała jednak z humorem, że w decyzji pomógł jej kot, ukochane zwierzę córki.

„Wszyscy w domu bardzo go lubili - mówiła. - Tymczasem on nie znośił skrzypiec. Gdy je brałam do rąk - zaczynał warczeć jak pies, a przy pierwszym dźwięku z wrzaskiem uciekał pod szafę” 19.

W podjęciu ostatecznej decyzji pomogła jej zapewne I nagroda na Międzynarodowym Konkursie Kompozytorskim w Liege, którą otrzymała za IV Kwartet smyczkowy (1951). Grażyna uwierzyła wreszcie w siebie i swój talent.

Sukcesy kobiety jako kompozytora były niezrozumiałe dla wielu mężczyzn. Według nich kobieta mogła skomponować co najwyżej Modlitwę dziewicy, jak Tekla Bądarzewska, a nie poważny utwór symfoniczny. W efekcie niektórzy podejrzewali, że Bacewicz była tylko figurantką. Grażyna z rezygnacją przyznawała, iż tupet krytyków kompletnie ją zaskakuje:

„Bywają sytuacje znacznie gorsze i też trzeba milczeć. Jak tu na przykład bronić się, gdy poważny krytyk pisze, że: »Wiadomą jest rzeczą, że w cieniu Grażyny Bacewicz stoi mężczyzna, który pisze za nią wszystkie kompozycje«. Zdarzyło się to przed laty w Wiedniu po wykonaniu Koncertu fortepianowego, kiedy to Szpinalski był solistą. Jako człowiek nieprzeciętnie inteligentny i błyskotliwy mógł może - będąc tam na miejscu - sprawę sprostować, ale nie uczynił tego, za co byłam mu wdzięczna. Uważał, że tak jest śmieszniej, a ja, że nie należy robić wiele hałasu o nic” 20.

W porównaniu z takimi sytuacjami listy od fanów adresowane Dear Mister Bacewicz były naprawdę drobnostką.

U SZCZYTU

Współczesna muzyka poważna jest jednak trudna w odbiorze dla niewyrobionego słuchacza. Bacewicz spotykała się z uznaniem niewielkiej grupy melomanów, ale dla większości jej twórczość była całkowicie niezrozumiała. Również sam proces komponowania (przy fortepianie) bywał uciążliwy dla sąsiadów i jeden z nich, chcąc uchronić się przed irytującymi dźwiękami, na cały regulator nastawiał radio.

„[...] Czynień to dla ochrony - tłumaczył. - Bo, widzi pani, tutaj obok, przez ścianę [...] mieszka jakieś bydłę. Podobno to ktoś taki, co układa melodie, ale droga pani, cóż to za melodie!” 21.

Gdy Grażyna wyjaśniła, że to właśnie ona jest tym „bydłciem”, sąsiad poczuł dla niej współczucie. Uznał, że Bacewicz najwyraźniej nie potrafi skomponować nic normalnego i zaproponował pomoc swojego kolegi:

„Pewien mój znajomy, pracujący przy urządzeniach sanitarnych układa piękne melodie. Walczyki i poleczki, i smutne melodie, mówię pani, coś niebywałego. Ja go poproszę, to on może zgodzi się przyjść do pani” 22.

Grażyna nie potrzebowała oczywiście pomocy hydraulika, ale z czasem zaczęła komponować bez udziału instrumentu. Inna sprawa, że do pogardliwego traktowania swojej pracy przez niektórych zdążyła się już przyzwyczaić. Dobrą szkołę dały jej własne gosposie, które najczęściej nie potrafiły zrozumieć jej zawodu:

„Jedna z nich przyglądała mi się spod oka jakiś czas - może tydzień, może trochę dłużej, a następnie oświadczyła: - Bardzo się pani dziwię, bo o ile się nie mylę, pochodzi pani z rodziny, która mogła dać pani szkoły. Dlaczego pani z tego nie skorzystała, tylko wybrała jakieś granie? Też coś takiego!” 23.

Bacewicz była pracoholiczką, cała zatracala się w pracy. Czas miała dokładnie wyliczony, do pasji więc doprowadzały ją sytuacje, gdy traciła go niepotrzebnie. Musiała jednak uczestniczyć w wielu spotkaniach i konferencjach, a przy takich okazjach z reguły króluje pustosłowie.

„Bardzo walczyła o czas poświęcony komponowaniu - wspominała jej siostra. - Nie

znosiła na przykład gadulstwa. Przez całe lata była wiceprezesem Związku Kompozytorów i tam gadulstwo ją strasznie drażniło” 24.

W jej organizacji pracy było wręcz coś nieludzkiego, przypominała maszynę zaprogramowaną do komponowania. Na dziecko zdecydowała się chyba wyłącznie z powodu trwania wojny. Jej życie biegło wówczas zupełnie innymi torami: nie była osobą permanentnie zajętą. O następnym dziecku już nie myślała, uznała, że nie będzie mogła tego pogodzić z komponowaniem.

Mimo iż była kobietą dbającą o swój wygląd (a także niezwykle urodziwą), do minimum ograniczała czas potrzebny na przygotowanie się do koncertów. To, co innym artystom (nawet mężczyznom!) zabierało długie kwadranse, ona załatwiała w zaledwie kilka minut. Wydawać się może nieprawdopodobne, ale „prysznic, przebranie się, uczesanie i makijaż” trwały u niej zaledwie siedem i pół minuty. Niebawem zresztą skróciła ten czas do pięciu minut.

Nie lubiła wywiadów, publicznych występów. Jeździła wprawdzie po świecie, promując swoją muzykę, ale uważała to za zło konieczne. Publicznie sprawiała wrażenie osoby pogodnej i uprzejmej, ale zachowującej dystans i rezerwę. Czasami jednak w głębi duszy tęskniła do niekonwencjonalnych zachowań, na przykład podziwiała Austriaka Friedricha Gulde, który potrafił postąpić jak wirtuozi sprzed lat.

„Nie bez przyjemności wspominamy dziwne powiedzonka czy zachowanie naszych poprzedników. O nas niewiele, niestety, będzie do opowiadania.

Wyczyn Guldy - pianisty, który przerwał grę, ściągnął buty na oczach całej sali, rzucił je pod ścianę i mruknąwszy jako wyjaśnienie: »cisną mnie« - kontynuował grę w skarpetkach, należy już do rzadkości” 25.

Liczba partytur, które wyszły spod pióra Bacewicz, niejednego kompozytora wprawiała w kompleksy. Niektórzy zarzucali jej wręcz, że w pogoni za ilością nie dbała o jakość swoich dzieł.

„Można było istotnie odnieść wrażenie - twierdził kompozytor Witold Rudziński - że

musiała napisać kilka utworów mniej błyszczących, zanim przychodziło prawdziwe arcydzieło. Sądzę, że inaczej do tych szczytowych osiągnięć dojść by nie mogła. Ale warto może przy tym pamiętać, że te pozostałe dzieła byłyby ozdobą dorobku niejednego ze współczesnych twórców” 26.

Była autorką czterech symfonii, ośmiu innych utworów symfonicznych, siedmiu koncertów skrzypcowych, pięciu koncertów na inne instrumenty. Ponadto ponad kilkudziesięciu utworów kameralnych, wielu pieśni oraz kompozycji na skrzypce i fortepian. To jednak nie wszystko, miała na swoim koncie również operę radiową i utwory napisane specjalnie dla baletu. Choreografowie często sięgali po jej twórczość, wykorzystując również jej muzykę symfoniczną.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych stanęła przed dylematem: z jednej strony pociągała ją awangarda, z drugiej dobrze czuła się w dawnych neoklasycystycznych formach. Ostatecznie wybrała własną drogę.

„Droga kompromisu, czyli syntezy - zauważył Stefan Kisielewski. - Włączyć nowe eksperymentalne farby do swojej palety. Od przybytku przecież głowa nie boli” 27.

Pomimo wręcz taśmowej produkcji była niezwykle krytyczna wobec swojej twórczości. Niszczyła wstępne wersje kompozycji, z których nie była zadowolona, czasami miała okresy zwątpienia. Wtedy ratowała ją ukochana fuga f-moll Bacha, która towarzyszyła jej w trudnych chwilach. Utwór zawsze rozbrzmiewał jej w głowie i pomagał przetrwać kryzys.

Trudno to sobie wyobrazić, ale znajdowała czas również na inne zajęcia artystyczne. Napisała cztery powieści (pozostały w rękopisie), zbiór autobiograficznych opowiadań *Znak szczególny* oraz humorystyczno-satyryczną sztukę *Jerzyki, albo nie jestem ptakiem*. Ten ostatni utwór wysłała anonimowo na konkurs zorganizowany przez Teatr Ateneum, sztuka dostała wyróżnienie i kilka lat później zrealizowano ją w Teatrze Telewizji.

Miałem okazję przeczytać *Znak szczególny* i muszę przyznać, że kompozytorka miała znakomite pióro, jej opowiadania są doskonale pod względem warsztatowym. Ich tematykę uważam natomiast za nieco „salonową” i oderwaną od życia, ale chętnie poznałbym również

powieści Bacewicz. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie jej zaangażowanie w muzykę, miałyby szansę odnieść sukces w dziedzinie literatury.

W tym miejscu rodzi się pytanie, w jaki sposób Bacewicz znajdowała na to czas. Przecież od 1966 roku wykładała jeszcze kompozycję w Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie. Jak sama twierdziła, została niezwykle bogato obdarowana przez los.

„Natura - darząc mnie łaskawie zdolnościami kompozytorskimi - wyposażyla dodatkowo w coś, co pozwala na kultywowanie tych zdolności. Posiadam mianowicie maleńki niewidoczny motorek, dzięki któremu w dziesięć minut robię to, co inni w godzinę, dzięki niemu zamiast chodzić biegam, potrafię piętnaście listów napisać w pół godziny, nawet puls bije mi znacznie szybciej niż innym, a i urodziłam się w siódmym miesiącu” 28.

Posiadanie owego motorka miało jej umożliwić nieprawdopodobną aktywność zawodową, choć w codziennym życiu przysparzało czasami problemów. Ludzie z jej otoczenia, „widząc, że uwija się tak składnie”, mieli „podsuwać jej do załatwiania własne sprawy”. Rzeczywiście Bacewicz umiała poradzić sobie z wieloma problemami, ale nie znosiła urzędów państwowych i tam najczęściej wysługiwała się młodszą siostrą.

## KRES

W 1963 roku zmarł Andrzej Biernacki. Po śmierci męża kompozytorka jeszcze intensywniej oddała się pracy twórczej, zdarzało się, że komponując, nie sypiała przez dwie, trzy noce z rzędu. Wtedy również zaczęła pisać powieści i opowiadania, można przypuszczać, że szukała ucieczki od własnych myśli.

Czy jednak przyczyną „nie do końca udanego” małżeństwa były tylko jej pracoholizm i różnice charakterów? Nie wiadomo, najbliżsi byli w swoich wypowiedziach na ten temat niezwykle wstrzemięźliwi. Pojawiały się jednak różnego rodzaju niedomówienia, ważny wydaje się również fakt, że Andrzej i Grażyna nie spoczęli we wspólnej mogile. Grażyna przeżyła męża tylko o niecałe sześć lat i została samotnie pochowana na Powązkach Wojskowych.

Przyjaciółka Bacewicz, Eugenia Umińska, pisząc o niej wspomnieniowy tekst, w dość



intrygujący sposób scharakteryzowała jej sytuację rodzinną:

„Godziła przecież gigantyczną pracą twórczą, podróże i koncerty, obowiązki społeczne, kontakty z ludźmi i wreszcie intensywne życie rodzinne. Rzadko doprawdy istnieją w rodzinach tak głębokie i piękne więzy jak te, które łączyły Grażynę z jej rodzeństwem: siostrą Wandą, utalentowaną poetką, z bratem Kiejstutem, rektorem Łódzkiej PWSM, i Witoldem, kompozytorem i pianistą zamieszkałym w Ameryce. Najtkliwszym oczywiście uczuciem otaczała swą jedyną córkę, której pięknym talentem malarskim oboje rodzice tak bardzo się cieszyli” 29.

Dziwne się wydaje, że w orbicie „głębokich i pięknych więzów” rodzinnych zabrakło męża. Bacewicz zresztą twierdziła, że stan zakochania przeszkadza jej w pracy. To sformułowanie dość odległe od obiegowych opinii na temat przyczyn weny twórczej artystów.

„Wymigiwała się od wywiadów - wspominała jej siostra. - Nie lubiła mówić o swojej muzyce w każdym wypadku. O swoim życiu, o swoich sprawach osobistych. [...] Ale dla ludzi miała zawsze twarz uśmiechniętą, starała się” 30.

Jerzy Waldorff nazwał ją „słowiańską Sapho”. A przecież dla antycznej artystki muzyka była tylko dodatkiem do poezji. Czy tak znakomity erudyta jak Waldorff nie mógł wybrać innego porównania?

Grażyna Bacewicz, która nigdy nie potrafiła do końca otworzyć się przed mężem czy siostrą, dawała wiele osobom zupełnie dla siebie obcym.

„Bardzo wyjątkowa dobroć - pisała Maria Dziewulska - a może po prostu rzeczywiste interesowanie się innymi ludźmi: kolegami, muzykami, przyjaciółmi, uczniami, było głównym motorem jej »uspołecznienia«, 31.

Rzeczywiście pomagała, komu tylko mogła, używała swojego nazwiska do załatwiania różnych spraw, szczególnie zaś popierała młodych muzyków. Zachowywała się również lojalnie wobec kolegów kompozytorów, potrafiła wycofać swój utwór z konkursu, aby nie stwarzać niezdrowej konkurencji.

Już w latach pięćdziesiątych zaczęło szwankować jej zdrowie, buntował się organizm eksploatowany do granic możliwości. W grudniu 1953 roku pisała do Tadeusza Ochlewskiego:

„Wyjazd do Zakopanego stał się konieczny nie tylko dla rozjaśnienia myśli, ale także - dla fizycznego oprzytomnienia. Bo coś takiego się stało, że gdy tylko na chwilę usiądę - zaraz zasypiam. Na dłuższym referacie tak mocno zasnęłam, że koledzy próbowali rozmaitych forteli, aby mówca nie zauważył” 32.

Wprawdzie uważała, że komponowanie nie zabiera jej tyle sił co kariera skrzypaczki, to jednak „zapracowywała się na śmierć”. Mimo poważnych problemów zdrowotnych nie zmieniła trybu życia. Miała jednak złe przeczucia. Wyjeżdżając do Armenii, na fortepianie w swoim mieszkaniu zostawiła rozpoczętą partyturę baletu Pożądanie wraz ze wskazówkami umożliwiającymi jego dokończenie. Z Armenii wprawdzie wróciła, nie uciekła jednak przed przeznaczeniem.

„Wychodząc po koncercie z Filharmonii - pisał Jerzy Waldorff - Grażyna zaziębiła się, z czego się wywiązało błyskawicznie szybko obustronne, ciężkie zapalenie płuc. Po czterech dniach doszedł zawał serca, z najgorszych. Kiedy chorą przewieziono do kliniki, nie było już ratunku. Ona też o tym wiedziała. Czekwała śmierci, wiedząc, że już niczego oprócz niej oczekiwać nie może. Rozmawiała z bliskimi świadoma, że żegna się z nimi i z życiem. Wszystko razem trwało niespełna tydzień, po czym nastąpił zgon” 33.

Umierała pogodzona z losem, gdy po reanimacji na chwilę odzyskała przytomność, zapytała z wyrzutem: „Po coście mnie obudzili? Tak mi było dobrze”.

Grażyna Bacewicz zmarła w Warszawie 17 stycznia 1969 roku. Do ukończenia Pożądania pozostało jej jeszcze kilkanaście taktów.

Jej muzyka, tak ceniona za życia artystki, w następnych latach niemal zupełnie zniknęła z repertuaru koncertowego. Dopiero rok 2009 został ogłoszony rokiem Bacewicz i rozpoczął się renesans jej twórczości. Płyta z wyborem koncertów skrzypcowych nagrana przez Joannę Kurkovicz z towarzyszeniem Polskiej Orkiestry Radiowej spotkała się z

entuzjastycznym przyjęciem na świecie, zdobywając wiele nagród. Do popularyzacji twórczości Bacewicz włączył się również Krystian Zimerman, od lat gorący wielbiciel jej muzyki. Nagrana przez niego płyta również cieszy się dużym powodzeniem, co rokuje nadzieje na przywrócenie kompozytorce należnego jej miejsca w panteonie światowych twórców muzyki. Nie na darmo Stefan Kisielewski określił kiedyś jej Koncert na orkiestrę smyczkową mianem „koncertu brandenburskiego naszych czasów”. A Bacewicz kochała muzykę Bacha ponad wszystko.

„Już kiedyś, gdy było ze mną źle, ta muzyka mnie ratowała. Fala dźwięków obsesyjnie brzmiała w mojej głowie. Początek fugi f-moll Bacha. Zawsze ona. Stanowiła nitkę, której trzymałam się kurczowo, aby nie być wciągnięta na drugą stronę. Ciekawe, jak będzie w ostatnim momencie. Czy zostaniemy sobie wierne? Ona i ja” 34.

## **Zakończenie**

Pisząc tę książkę, nie miałem ambicji wyczerpania tematu żeńskich elit artystycznych epoki PRL. To zaledwie zapowiedź innych, bardziej szczegółowych publikacji poświęconych osobowościom filmu, telewizji czy też literatury. Będą to książki poświęcone twórcom obojga płci i mam nadzieję, że kiedyś uznam, iż udało mi się przedstawić życie polityczne i kulturalne czasów PRL w podobny sposób, jak zrobiłem to w stosunku do Drugiej Rzeczypospolitej. Jestem bowiem przekonany, że czasy PRL są bardzo niedoceniane. Polityka nie składała się wyłącznie z nudnych posiedzeń plenarnych PZPR, a życie towarzyskie artystów nie ograniczało się do libacji alkoholowych. Oba elementy oczywiście występowały, a PRL był siermiężny i szary, jednak nawet ta szarość miała swoje odcienie. Ich liczba może zadziwić nawet osoby, które dobrze pamiętają tę epokę.

## Przypisy

### PRZYPISY DO ROZDZIAŁU I

S. Kisielewski, *Abecadło Kisiela*, Warszawa 1990, s. 74.

S. Kisielewski, *Abecadło Kisiela*, Warszawa 1990, s. 74.

J. Głowacki, *Z głowy*, Warszawa 2004, s. 179.

[http://www.jerzyrobertnowak.com/artykuly/Nasz\\_Dziennik/2006/06.09.htm](http://www.jerzyrobertnowak.com/artykuly/Nasz_Dziennik/2006/06.09.htm)

[http://niniwa2.cba.pl/towarzysze\\_nieudanej\\_podrozy\\_06.htm](http://niniwa2.cba.pl/towarzysze_nieudanej_podrozy_06.htm)

J. Atlas, *Atlas towarzyski*, bdw, s. 139.

C. Prasek, *Życie towarzyskie w PRL*, Warszawa 2011, s. 60.

<http://scitagawa.com.pl/Sztuka/Muzyka/Miedzynarodowy-Festiwal-Piosenki-w-Sopocie>  
<http://sopot.naszemiasto.pl/archiwum/1010778,festiwal-wspomnienia-zza-kulis,id,t.html>

J. Atlas, *Atlas erotyczny*, Warszawa 1993, s. 75.

*Ibidem*, s. 72.

D. Olbrychski, *Anioły wokół głowy*, Warszawa 1992, s. 165.

J. Atlas, *Atlas erotyczny*, s. 73.

J. Atlas, *Atlas towarzyski*, s. 161.

C. Prasek, *op. cit.*, s. 206-207.

*Ibidem*, s. 205.

*Ibidem*, s. 226.

Z. Adrjański, *Pochody donikąd*, Warszawa 2009, s. 50.

J. Głowacki, *op. cit.*, s. 188.

J. Gruza, *Pasaż warszawski*, Warszawa 2004, s. 17.

A. Osiecka, *Szpetni czterdziestoletni*, Łódź 1985, s. 42.

*Ibidem*, s. 42.

J. Gruza, *op. cit.*, s. 13.

<http://wiadomosci.ngo.pl/wiadomosci/761771.html>

*Ibidem*.

<http://www.styl.pl/magazyn/wywiady/news-chcialem-oddac-dusze-diablu-nie-wzial,nId,325399>

J. Atlas, Atlas towarzyski, s. 9.

J. Głowacki, op. cit., s. 121.

Ibidem, s. 123.

Ibidem, s. 125.

W. Mann, RockMann, czyli jak nie zostałem saksofonistą, Kraków 2010, s. 81.

## PRZYPISY DO ROZDZIAŁU II

Za: B. Michalak Na zakręcie. Agnieszka Osiecka we wspomnieniach, Warszawa 2001, s. 15-16.

Ibidem, s. 18.

Za: Z. Turowska, Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką, Warszawa 2000, s. 12.

B. Michalak, op. cit., s. 22.

A. Osiecka, Szpetni czterdziestoletni, Łódź 1985, s. 109.

B. Michalak, op. cit., s. 31-32.

Za: Z. Turowska, op. cit., s. 34.

Ibidem, s. 38.

B. Michalak, op. cit., s. 35.

Ibidem, op. cit., s. 40.

Z. Turowska, op. cit., s. 93.

Ibidem, s. 93.

B. Michalak, op. cit., s. 46.

Ibidem, s. 46.

Ibidem, s. 49.

Ibidem, s. 49.

Za: B. Stanisławczyk, Miłosne gry Marka Hłaski, Poznań 2010, s. 110.

Ibidem, s. 111.

Ibidem, s. 114.

B. Michalak, op. cit., s. 185.

Za: B. Stanisławczyk, op. cit., s. 114.

A. Osiecka, Okularnicy, <http://teksty.org/agnieszka-osiecka,okularnicy,tekst-piosenki>

B. Michalak, op. cit., s. 174.

K. Kąkolewski, Jak umierają nieśmiertelni, Warszawa 1992, s. 9.

A. Bikont, Scenariusz życia, „Gazeta Wyborcza” 31.07.1999,  
[http://niniwa2.cba.pl/bikont\\_frykowski.htm](http://niniwa2.cba.pl/bikont_frykowski.htm)

Ibidem, s. 106.

[http://niniwa2.cba.pl/bikont\\_frykowski.htm](http://niniwa2.cba.pl/bikont_frykowski.htm)

Z. Turowska, op. cit., s. 101.

Ibidem., s. 103.

Ibidem, s. 105.

B. Michalak, op. cit., s. 61.

Z. Turowska, op. cit., s. 119.

Ibidem, s. 121.

B. Michalak, op. cit., s. 63.

Ibidem, s. 177.

Ibidem, s. 175.

G. Sroczyński, Z widokiem na twoje ucho, „Wysokie Obcasy” 18.10.2010,  
[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53662,8512237,Z\\_widokiem\\_na\\_twoje\\_uch  
o.html](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53662,8512237,Z_widokiem_na_twoje_uch_o.html)

Ibidem, s. 176.

Z. Turowska, op. cit., s. 107.

M. Rakowski, Dzienniki polityczne 1963-1966, Warszawa 1999, s. 127.

M. Rakowski., Dzienniki polityczne 1967-1968, Warszawa 1999, s. 25.

M. Rakowski, Dzienniki Polityczne 1969-1971, Warszawa 2001, s. 363.

Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory listy na wyczerpanym papierze, Warszawa  
2010, s. 10.

Ibidem, s. 21.

Ibidem, s. 48.

Ibidem, s. 48-49.

Ibidem, s. 109.

Ibidem, s. 159.

Ibidem, s. 7.

M. Rakowski, Dzienniki polityczne 1969-1971, s. 363.

Ibidem, s. 363.

D. Passent, Passa, Warszawa 2012, s. 324-325.

Z. Turowska, op. cit., s. 168.

M. Rakowski, Dzienniki polityczne 1969-1971, s. 370.

J. Urban, Alfabet Urbana. Od UA do Z, Warszawa 1990,  
s. 146.

D. Passent, op. cit., s. 329.

B. Michalak, op. cit., s. 180.

J. Urban, op. cit., s. 143.

Ibidem, s. 143.

[http://wyborcza.pl/dda/1,110613,8726115,Coreczko\\_\\_nie\\_ma\\_sprawy.html](http://wyborcza.pl/dda/1,110613,8726115,Coreczko__nie_ma_sprawy.html)

<http://niniwa2.cba.pl/warszawka-osieckaagnieszka.html>

[http://wyborcza.pl/dda/1,110613,8726115,Coreczko\\_\\_nie\\_ma\\_sprawy.html](http://wyborcza.pl/dda/1,110613,8726115,Coreczko__nie_ma_sprawy.html)

B. Michalak, op. cit., s. 166.

Ibidem, s. 165.

D. Passent, op. cit., s. 329.

<http://gogaga.pl/?mod=magazyn&action=artykul&id=106&p=3>

[http://wyborcza.pl/dda/1,110613,8726115,Coreczko\\_\\_nie\\_ma\\_sprawy.html](http://wyborcza.pl/dda/1,110613,8726115,Coreczko__nie_ma_sprawy.html)

B. Michalak, op. cit., s. 193.

Ibidem, s. 181.

Po prostu Agnieszka. W 75. rocznicę urodzin Agnieszki Osieckiej. Studia i materiały,  
red. I. Borkowski, Wrocław 2011, s. 29.

Ibidem, s. 126.

Z. Turowska, op. cit., s. 257.

Ibidem, s. 258.

B. Michalak, op. cit., s. 182.

Ibidem, s. 132.

Z. Turowska, op. cit., s. 262.

Ibidem, s. 258.

B. Michalak, op. cit., s. 134.

Ibidem, s. 94.

<http://niniwa2.cba.pl/warszawka-osieckaagnieszka.html>

J. Urban, op. cit., s. 144.

### PRZYPISY DO ROZDZIAŁU III

A. German, Wróc do Sorrento?... Zielona Góra 2002, s. 89.

Ibidem, s. 92.

<http://chort.square7.ch/Pis/AGerman.pdf>

Ibidem.

A. German, Wróc... s. 98.



<http://www.kp.ru/daily/25637/802013/>

A. German, O sobie, autobiografia na CD, płyta 1, nr 3.

Za: M. Pryzwan (oprac.), Tańcząca Eurydyka, Warszawa 2008, s. 25.

Za: M. Pryzwan (oprac.), Największy elf świata, Warszawa 1999 s. 237.

Za: M. Pryzwan, Tańcząca... s. 46.

Za: Ibidem, s. 97.

Za: Ibidem, s. 96.

Za: M. Pryzwan, Największy... s. 192.

A. German, Wróc... s. 102-103.

Ibidem, s. 105.

<http://www.annagerman.senat.org/Eurydyka/SpadoniGerman.html>

Za: M. Pryzwan, Tańcząca... s. 75.

Ibidem, s. 107.

A. German, Wróc... s. 11.

Ibidem, s. 57.

Ibidem, s. 107-108.

Ibidem, s. 61.

M. Pryzwan, Największy... s. 202.

Ibidem, s. 16.

Ibidem, s. 119.

<http://m.onet.pl/rozrywka/muzyka,9jdt0>

Za: M. Pryzwan, Tańcząca... s. 142-143.

Za: M. Pryzwan, Największy... s. 55.

<http://www.kp.ru/daily/25637/802013/>

Za: M. Pryzwan, Tańcząca... s. 161.

Ibidem, s. 196.

Ibidem, s. 199-200.

Ibidem, s. 200.

<http://m.onet.pl/rozrywka/muzyka,9jdt0>

#### PRZYPISY DO ROZDZIAŁU IV

K. Kutz, Portrety godziwe, Kraków 2004, s. 71.

P. Gacek, Kalina Jędrusik. Muzykalność na całe życie, Lublin 1994, s. 19.

Za: D. Michalski, Kalina Jędrusik, Warszawa 2010, s. 78.

<http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/2029020,96856,6894162.html>

K. Kutz, op. cit., s. 73.

Ibidem, s. 127.

[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co\\_ja\\_\\_Jezus\\_Chrystus\\_jestem\\_.html](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co_ja__Jezus_Chrystus_jestem_.html)

P. Gacek, op. cit., s. 49.

Ibidem, s. 188.

D. Michalski, op. cit., s. 591.

Ibidem, s. 594.

[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co\\_ja\\_\\_Jezus\\_Chrystus\\_jestem\\_.html](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co_ja__Jezus_Chrystus_jestem_.html)

[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co\\_ja\\_\\_Jezus\\_Chrystus\\_jestem\\_.html?as=3](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co_ja__Jezus_Chrystus_jestem_.html?as=3)

D. Michalski, op. cit., s. 425.

Ibidem, s. 513.

A. Osiecka, Laleczka i chłopiec, „Polityka” 1999, nr 32.

K. Kutz, op. cit., s. 71-72.

A. Osiecka, Szpetni czterdziestoletni, Łódź 1985, s. 27.

[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co\\_ja\\_\\_Jezus\\_Chrystus\\_jestem\\_.html?as=3](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co_ja__Jezus_Chrystus_jestem_.html?as=3)

<http://www.przeglad-tygodnik.pl/pl/artykul/kalina-polskim-maglu>

Osiecka, Laleczka i chłopiec, „Polityka” 1999, nr 32.

[http://www.ikmag.pl/miesiecznik/kobiety\\_niezapomniane/kalina\\_jedrusik\\_pierwsza\\_madonna\\_prlu.html](http://www.ikmag.pl/miesiecznik/kobiety_niezapomniane/kalina_jedrusik_pierwsza_madonna_prlu.html)

Ibidem.

K. Kutz, op. cit., s. 71.

[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co\\_ja\\_\\_Jezus\\_Chrystus\\_jestem\\_.html?as=3](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co_ja__Jezus_Chrystus_jestem_.html?as=3)

[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co\\_ja\\_\\_Jezus\\_Chrystus\\_jestem\\_.html?as=3](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co_ja__Jezus_Chrystus_jestem_.html?as=3)

[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co\\_ja\\_\\_Jezus\\_Chrystus\\_jestem\\_.html?as=3](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,6894162,Co_ja__Jezus_Chrystus_jestem_.html?as=3)

K. Świerczyńska, Awantura o Kalinę,  
<http://www.wprost.pl/ar/314104/Awantura-o-Kaline/?pg=0>.

<http://www.wprost.pl/ar/314104/Awantura-o-Kaline/?pg=0>

## PRZYPISY DO ROZDZIAŁU V

Za: D. Michalski, Powróćmy jak za dawnych lat... Warszawa 2007, s. 198.

Ibidem, s. 202.

Ibidem, s. 208.

M. Zimińska-Sygietyńska, Nie żyłam samotnie, Warszawa 1985, s. 125.

Ibidem, s. 54.

Ibidem, s. 74.

Ibidem, s. 112.

Ibidem, s. 109.

Ibidem, s. 123.

Ibidem, s. 172-173.

Wspomnienia więźniów Pawiaka, Warszawa 1964, s. 184.

J. Waldorff, Moje cienie, Warszawa 1979, s. 161.

M. Zimińska-Sygietyńska, op. cit., s. 207.

Za: Ibidem, s. 318.

Za: A. Mizikowska, Tadeusz Sygietyński i Jego Mazowsze, Warszawa 2004, s. 55-56.

M. Zimińska-Sygietyńska, Druga miłość mego życia, Warszawa 1990, s. 120.

Ibidem, s. 120.

Ibidem, s. 121.

Za: M. Zimińska-Sygietyńska, Nie żyłam... s. 329.

M. Zimińska-Sygietyńska, Druga... s. 85-86.

Ibidem, s. 88.

Ibidem, s. 90.

Ibidem, s. 98.

Ibidem, s. 101.

Ibidem, s. 108.

Ibidem, s. 329-330.

Za: Ibidem, s. 147.

Ibidem, s. 149.

Ibidem, s. 151.

A. Mizikowska, op. cit., s. 92.

Ibidem, s. 131.

Ibidem, s. 153.

Ibidem, s. 143.

M, Zimińska-Sygietyńska, Druga... s. 206.

A. Mizikowska, op. cit., s. 162.

Ibidem, s. 171-172.

Za: M. Zimińska-Sygietyńska, Druga... s. 217.

A. Mizikowska, op. cit., s. 119-120.

Ibidem, s. 148-149.

M. Zimińska-Sygietyńska, Druga... s. 272

A. Mizikowska, op. cit., s. 197.

Ibidem, s. 107.

Za: M. Zimińska-Sygietyńska, Druga... s. 332.

#### PRZYPISY DO ROZDZIAŁU VI

Za: I. Komendołowicz, Elka, Kraków 2012, s. 50.

Za: A. Bikont, Srebrna papierośnica i czarna suczka,  
[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,111418,8116427,Srebrna\\_papierosnica\\_i\\_czarna\\_suczka.html](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,111418,8116427,Srebrna_papierosnica_i_czarna_suczka.html)

Z. Włoczewski, Elżbieta Czyżewska, „Przyjaciółka” 26/1990.

R. Kosiński, Głowy Stołeczne. Elżbieta Czyżewska, „Życie Literackie” 8/1965.

Za: I. Komendołowicz, op. cit., s. 144.

Za: Ibidem, s. 40.

Za: Ibidem, s. 54.

[http://www.ikmag.pl/miesiecznik/kobiety\\_niezapomniane/elzbieta\\_czyzewska\\_niezastapiona.html](http://www.ikmag.pl/miesiecznik/kobiety_niezapomniane/elzbieta_czyzewska_niezastapiona.html)

Ibidem.

Za: A. Bikont, op. cit.

<http://www.filmtrack.pl/elzbieta-czyzewska-czyli-ofiara-marca-1968/>

Za: A. Bikont, op. cit.

Za: Ibidem.

Za: Ibidem.

J. Lenard, Uroda zeszyła na mnie z ekranu, „Film” 13/1987.

Za: A. Bikont, op. cit.

Za: I. Komendołowicz, op. cit., s. 195.

Za: A. Bikont, op. cit.

Za: I. Komendołowicz, op. cit., s. 229-230.

Za: Ibidem, s. 335.

Za: Z. Turowska, Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką, Warszawa 2008, s. 241.

Za: I. Komendołowicz, op. cit., s. 72.

Za: A. Bikont, op. cit.

Za: Ibidem.

Za: I. Komendołowicz, op. cit., s. 383.

## PRZYPISY DO ROZDZIAŁU VII

Za: A. Jakubowska, Portret wielokrotny dzieła Aliny Szapocznikow, Poznań 2008.

Za: I. Kurz, Niechęć do lukru,  
<http://www.dwutygodnik.com/artykul/3971-niechec-do-lukru.html>

D. Jarecka, Alina Szapocznikow zdjęła z siebie skórę,  
[http://wyborcza.pl/1,112588,12640419,Alina\\_Szapocznikow\\_zdjela\\_z\\_siebie\\_skore.html#ixz2FsQ5F3yW](http://wyborcza.pl/1,112588,12640419,Alina_Szapocznikow_zdjela_z_siebie_skore.html#ixz2FsQ5F3yW)

Za: A. Jakubowska, op. cit., s. 57.

Za: Ibidem, s. 17.

Za: I. Kurz, op. cit.

Za: M. Migacz, Alina Szapocznikow. Polska rzeźbiarka w najważniejszym muzeum na świecie,  
<http://kultura.newsweek.pl/alina-szapocznikow-polska-rzezbiarka-w-najwazniejszym-muzeum-na-swiecie,96863,2,1.html>

Ibidem.

Ibidem.

Ibidem.

Ibidem.

Za: M. Kitowska-Łysiak, Alina Szapocznikow,  
[http://www.culture.pl/baza-sztuki-pelna-tresc/-/eo\\_event\\_asset\\_publisher/eAN5/content/alina-szapocznikow](http://www.culture.pl/baza-sztuki-pelna-tresc/-/eo_event_asset_publisher/eAN5/content/alina-szapocznikow)

M. Migacz, op. cit.

Ibidem.

Ibidem.

Za: M. Kitowska-Łysiak, op. cit.

Ł. Radwan, Sfera całkowicie erogenna,  
<http://www.wprost.pl/ar/60295/Sfera-calkowicie-erogenna/?I=1121>

<http://rynekisztuka.pl/2012/10/10/alina-szapocznikow-codziennosc-schwyтана-w-pula-pke-tworzywa/>

Ł. Glazur, Szapocznikow. Stawka większa niż śmierć,  
<http://78.24.161.56/pl/aktualnosci/kultura/1251314-szapocznikow-stawka-wieksza-niz-smierc.html>

Za: Ibidem.

Za: J. Gola, Katalog rzeźb Aliny Szapocznikow, Kraków 2001, s. 28.

Za: I. Kurz, op. cit.

#### PRZYPISY DO ROZDZIAŁU VIII

Za: M. Pryzwan, Ja minę, ty miniesz... Wspomnienia o Halinie Poświatowskiej, Warszawa 2008, s. 9.

Za: I. Kiec, Halina Poświatowska, Poznań 1997, s. 12.

Za: M. Pryzwan, op. cit., s. 38-39.

<http://kultura.onet.pl/literatura/artykuly/halina-poswiatowska-kiedy-umre-kochanie,1,5275498,artykul.html>

Za: M. Pryzwan, op. cit., s. 29-30.

Za: Ibidem, s. 19.

Za: Ibidem, s. 23.

Za: Ibidem, s. 93.

Za: Kaskaderzy literatury, red. E. Kolbus, Łódź 1988, s. 175.

Za: Ibidem, s. 175.

Za: I. Kiec, op. cit., s. 15.

[http://www.koniczynka.art.pl/index.php?option=com\\_content&task=view&id=416&Itemid=92](http://www.koniczynka.art.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=416&Itemid=92)

I. Kiec, op. cit., s. 54.

Ibidem, s. 54.

[http://www.koniczynka.art.pl/index.php?option=com\\_content&task=view&id=469&Itemid=92](http://www.koniczynka.art.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=469&Itemid=92)

Ibidem.

Ibidem.

Za: G. Borkowska, Nierozważna i nieromantyczna, Kraków 2001, s. 74.

Za: Ibidem, s. 76.

za: Ibidem, s.64-65

Za: Ibidem, s. 65-66.

Za: I. Kiec, op. cit., s. 23.

Za: Ibidem, s. 24.

Za: Ibidem, s. 26-27.

Za: Ibidem, s. 26.

Za: M. Pryzwan, op. cit., s. 66.

Za: I. Kiec, op. cit., s. 28.

Za: M. Szulczyńska, Nie popełniłam zdrady. Rzecz o Halinie Poświatowskiej, Kraków 1990, s. 260.

Za: K. Karaskiewicz, Halina Poświatowska w zwierciadle swej kobiecości, Warszawa 2008, s. 51-52.

Za: Ibidem, s. 105.

Za: Ibidem, s. 132.

Za: Ibidem, s. 132.

Za: M. Pryzwan, op. cit., s. 175.

Za: G. Borkowska, op. cit., s. 100.

Za: M. Pryzwan, op. cit., s.181.

Za: Ibidem, s. 13.

Za: Ibidem, s. 19.

#### PRZYPISY DO ROZDZIAŁU IX

Dla ludzi zawsze mam twarz pogodną. Grażyna Bacewicz Telewizja Polska SA 1999,  
<http://www.youtube.com/watch?v=0HAGaACyt94>

G. Bacewicz, Znak szczególny, Warszawa 1974, s. 5.

Ibidem, s. 7.

Dla ludzi... op. cit.

K. Droba, Vytautas Bacevicius w Ameryce, czyli artysta w klatce,  
<http://m.onet.pl/rozrywka/muzyka,3xemh>

J. Iwaszkiewicz, Książka moich wspomnień, Warszawa 1994, s. 221.

Dla ludzi... op. cit.

G. Bacewicz, op. cit., s. 78.

Ibidem, s. 78.

J. Borowicz, Moi profesorowie,

<http://www.oil.org.pl/xml/oil/oil68/gazeta/numery/n2008/n200810/n20081036>

„Ruch Muzyczny” 6/1969.

Dla ludzi... op. cit.

Ibidem.

G. Bacewicz, op. cit., s. 43

„Ruch Muzyczny”, op. cit.,

Dla ludzi... op. cit.

G. Bacewicz, op. cit., s. 25.

J. Waldorff, Ciach go smykiem, Kraków 1972, s. 374-375.

G. Bacewicz, op. cit., s. 75.

Ibidem, s. 38.

Ibidem, s. 122.

Ibidem, s. 123.

Ibidem, s. 73.

Dla ludzi... op. cit.

G. Bacewicz, op. cit., s. 11.

W. Rudziński, Dźwięki i rozdźwięki, Warszawa 1986, s. 337.

Dla ludzi... op. cit.

G. Bacewicz, op. cit., s. 25-26.

„Ruch Muzyczny”, op. cit.

Dla ludzi... op. cit.

„Ruch Muzyczny”, op. cit.

Ibidem.

J. Waldorff, op. cit., s. 377-378.

Dla ludzi... op. cit.



## WAŻNIEJSZA BIBLIOGRAFIA

Adrjański Z., Pochody donikąd, Warszawa 2009.

Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory listy na wyczerpanym papierze, Warszawa 2010.

Andrzejewska K., Urban... Byłam jego żoną, Gdańsk 1993.

Anna German - Tajny bięłogo angięła,  
<http://www.annagerman.senat.org/Eurydyka/SpadoniGerman.html>

Atlas J., Atlas erotyczny, Warszawa 1993.

Atlas J., Atlas towarzyski, bdw.

Bacewicz G., Znak szczególny, Warszawa 1974.

Baryszewa I., Iliczow I., Anna German wozila iz Rossji w Polsce dragcennosti i czesno, <http://www.kp.ru/daily/25637/802013/>

Biały B., Chciałem oddać duszę diabłu, nie chciałem,  
<http://www.styl.pl/magazyn/wywiady/news-chcialem-oddac-dusze-diablu-nie-wzial,nId,325399,nPack,3>

Bielas J., Elżbieta Czyżewska,  
[http://www.ikmag.pl/miesiecznik/kobiety\\_niezapomniane/elzbieta\\_czyzewska\\_niezastapiona.html](http://www.ikmag.pl/miesiecznik/kobiety_niezapomniane/elzbieta_czyzewska_niezastapiona.html)

Bielas J., Kalina Jędrusik. Pierwsza madonna PRL-u,  
[http://www.ikmag.pl/miesiecznik/kobiety\\_niezapomniane/kalina\\_jedrusik\\_pierwsza\\_madonna\\_prlu.html](http://www.ikmag.pl/miesiecznik/kobiety_niezapomniane/kalina_jedrusik_pierwsza_madonna_prlu.html)

Bielas K., Wielki comeback,  
[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53581,6027202,Wielki\\_comeback.html](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53581,6027202,Wielki_comeback.html)

Bikont A., Scenariusz życia, „Gazeta Wyborcza” 31.07.1999,  
[http://niniwa2.cba.pl/bikont\\_frykowski.htm](http://niniwa2.cba.pl/bikont_frykowski.htm)

Bikont A., Srebrna papierośnica i czarna suczka,  
[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,111418,8116427,Srebrna\\_papierosnica\\_i\\_czarna\\_suczka.html](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,111418,8116427,Srebrna_papierosnica_i_czarna_suczka.html)

Bikont A., Szczęsna J., Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu, Warszawa 2006.

Bikont A., Szczęsna J., O Nowej Hucie to poemat,  
[http://niniwa2.cba.pl/towarzysze\\_nieudanej\\_podrozy\\_06.htm](http://niniwa2.cba.pl/towarzysze_nieudanej_podrozy_06.htm)

- Borkowska G., *Nierozważna i nieromantyczna*, Kraków 2001.
- Borowicz J., *Moi profesorowie*,  
<http://www.oil.org.pl/xml/oil/oil68/gazeta/numery/n2008/n200810/n20081036>
- Dąbrowska M., *Dzienniki*, t. 1-13, Warszawa 2009.
- Dla ludzi zawsze mam twarz pogodną*. Grażyna Bacewicz, Telewizja Polska SA 1999,  
<http://www.youtube.com/watch?v=0HAGaACyt94>
- Droba K., *Vytautas Bacevicius w Ameryce, czyli artysta w klatce*,  
<http://m.onet.pl/rozrywka/muzyka,3xemh>
- Festiwal. Wspomnienia z za kulis*,  
<http://sopot.naszemiasto.pl/archiwum/1010778,festiwal-wspomnienia-zza-kulis,id,t.html>
- Gacek P., *Kalina Jędrusik. Muzykalność na całe życie*, Lublin 1994.
- Gałczyńska K., *Splatało się, zmierzchało. Wspomnienia*, Warszawa 1995.
- Gajda D., *Mazurska L., Halina Poświatowska: kiedy umrę, kochanie*,  
<http://kultura.onet.pl/literatura/artykuly/halina-poswiatowska-kiedy-umre-kochanie,1,5275498,artykul.html>
- German A., *O sobie. Autobiografia*, 2 płyty CD, Warszawa 2008.
- German A., *Wróć do Sorrento?...* Zielona Góra 2002.
- Glazur Ł., *Szapocznikow. Stawka większa niż śmierć*,  
<http://78.24.161.56/pl/aktualnosci/kultura/1251314-szapocznikow-stawka-wieksza-niz-smierc.html>
- Głowacki J., *Z głowy*, Warszawa 2004.
- Gola J., *Katalog rzeźb Aliny Szapocznikow*, Kraków 2001.
- Gruza J., *Pasaż warszawski*, Warszawa 2004.
- Iwaskiewicz J., *Książka moich wspomnień*, Kraków 1983.
- Jakubowska A., *Portret wielokrotny dzieła Aliny Szapocznikow*, Poznań 2008.
- Jarecka D., *Alina Szapocznikow zdjęła z siebie skórę*,  
[http://wyborcza.pl/1,112588,12640419,Alina\\_Szapocznikow\\_zdjela\\_z\\_siebie\\_skore.html#ixz22FsQ5F3yW](http://wyborcza.pl/1,112588,12640419,Alina_Szapocznikow_zdjela_z_siebie_skore.html#ixz22FsQ5F3yW)
- Kalina w polskim maglu*,  
<http://www.przegląd-tygodnik.pl/pl/artykul/kalina-polskim-maglu>
- Karaskiewicz K., *Halina Poświatowska w zwierciadle swej kobiecości*, Warszawa 2008.
- Kąkolewski K., *Jak umierają nieśmiertelni*, Warszawa 1992.
- Kiec I., *Halina Poświatowska*, Poznań 1997.

- Kisielewski S., Abecadło Kisiela, Warszawa 1990.
- Kisielewski S., Dzienniki, Warszawa 1996.
- Kitowska-Łysiak M., Alina Szapocznikow,  
[http://www.culture.pl/baza-sztuki-pelna-tresc/-/eo\\_event\\_asset\\_publisher/eAN5/content/alina-szapocznikow](http://www.culture.pl/baza-sztuki-pelna-tresc/-/eo_event_asset_publisher/eAN5/content/alina-szapocznikow)
- Kolbus E., (red.) Kaskaderzy literatury, Łódź 1988.
- Komendolowicz I., Elka, Kraków 2012.
- Kontrkulturowe kawiarnie Warszawy, Kameralna,  
<http://wiadomosci.ngo.pl/wiadomosci/761771.html>
- Kosiński Z., Głowy Stołeczne. Elżbieta Czyżewska, „Życie Literackie” 8/1965.
- Kowalska A., Dzienniki 1927-1969, Warszawa 2008.
- Krzywicka I., Wyznania gorszycielki, Warszawa 1995.
- Kurz I., Niechęć do lukru,  
<http://www.dwutygodnik.com/arttykul/3971-niechec-do-lukru.html>
- Kutz K., Portrety godziwe, Kraków 2004
- Łuszczyna M., Kabaret wiecznego niepokoju,  
<http://partnerstwo.onet.pl/1569132,3499,1,artykul.html>
- Mann W., RockMann, Kraków 2010.
- Mazurek R., Zaremba P., Sylwester z Gomułą i studia na Kubie - dolce vita PRL-u,  
<http://wiadomosci.dziennik.pl/opinie/artykuly/196978,sylwester-z-gomulka-i-studia-na-kubie-dolce-vita-prl-u.html>
- Michalak B., Na zakręcie. Agnieszka Osiecka we wspomnieniach, Warszawa 2001.
- Michalski D., Kalina Jędrusik, Warszawa 2010.
- Michalski D., Powróćmy jak za dawnych lat... Warszawa 2007.
- Migacz M., Alina Szapocznikow. Polska rzeźbiarka w najważniejszym muzeum na świecie,  
<http://kultura.newsweek.pl/alina-szapocznikow-polska-rzezbiarka-w-najwazniejszym-muzeum-na-swiecie,96863,2,1.html>
- Mizikowska A., Tadeusz Sygietyński i Jego Mazowsze, Warszawa 2004.
- Nic tak dobrze nie robi pisarzowi jak upokorzenia. Z Januszem Głowackim rozmawiają Katarzyna Bielas i Jacek Szczerba, „Gazeta Wyborcza” 9.10.1998.
- Nowak J., Stalińscy w literaturze,  
[http://www.jerzyrobertnowak.com/artykuly/Nasz\\_Dziennik/2006/06.09.htm](http://www.jerzyrobertnowak.com/artykuly/Nasz_Dziennik/2006/06.09.htm)
- Ogórek M., Pierwsze damy, <http://wyborcza.pl/1,81388,2954829.html>

- Olbrychski D., Anioły wokół głowy, Warszawa 1992.
- Osiecka A., Laleczka i chłopiec, „Polityka” 32/1999.
- Osiecka A., Szpetni czterdziestoletni, Łódź 1985.
- Ostałowska L., Smoleński P., To nie mój pies, ale moje łóżko,  
<http://niniwa2.cba.pl/warszawka-osieckaagnieszka.htm>
- Passent D., Passa, Warszawa 2012.
- Pieszczchowicz J., Spór o Halinę Poświatowską,  
[http://www.koniczynka.art.pl/index.php?option=com\\_content&task=view&id=416&Itemid=92](http://www.koniczynka.art.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=416&Itemid=92)
- Piotrowicz P., Anna German zakwitła nie tylko różą,  
<http://m.onet.pl/rozrywka/muzyka,9jdt0>
- Po prostu Agnieszka. W 75. rocznicę urodzin Agnieszki Osieckiej. Studia i materiały,  
Borkowski I. (red.), Wrocław 2011.
- Prasek C., Życie towarzyskie w PRL, Warszawa 2011.
- Pryzwan M. (red.), Ja minę, ty miniesz... Wspomnienia o Halinie Poświatowskiej,  
Warszawa 2008.
- Pryzwan M. (oprac.), Największy elf świata, Warszawa 1999.
- Pryzwan M. (oprac.), Tańcząca Eurydyka, Warszawa 2008.
- Radwan Ł., Sfera całkowicie erogenna,  
<http://www.wprost.pl/ar/60295/Sfera-calkowicie-erogenna/?I=1121>
- Rakowski M., Dzienniki polityczne, t. 1-10, Warszawa 1998-2005.
- „Ruch Muzyczny” 6/1969.
- Rudziński W., Dźwięki i rozdźwięki, Warszawa 1986.
- Shore M., Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem, Warszawa 2008.
- Sokorski W., Adieu burdel, czyli pamiętnik intymny, Warszawa 1992.
- Sokorski W., Romans z komuną. Zwierzenia intymne, bdw.
- Sokorski W., Wspomnienia, Warszawa 1990.
- Sokorski W., Wyznania zdrajcy: wywiad-rzeka z Włodzimierzem Sokorskim,  
Warszawa 1991.
- Sroczyński G., Córeczko, nie ma sprawy,  
[http://wyborcza.pl/dda/1,110613,8726115,Coreczko\\_\\_nie\\_ma\\_sprawy.html](http://wyborcza.pl/dda/1,110613,8726115,Coreczko__nie_ma_sprawy.html)
- Sroczyński G., Śledztwo w sprawie kapcia,  
[http://wyborcza.pl/1,75480,5585434,Sledztwo\\_w\\_sprawie\\_kapcia.html?as=4](http://wyborcza.pl/1,75480,5585434,Sledztwo_w_sprawie_kapcia.html?as=4)

Sroczyński G., Z widokiem na twoje ucho, „Wysokie Obcasy” 18.10.2010,  
[http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53662,8512237,Z\\_widokiem\\_na\\_twoje\\_uch\\_o.html](http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53662,8512237,Z_widokiem_na_twoje_uch_o.html)

Stanisławczyk B., Miłosne gry Marka Hłaski, Poznań 2010.

Szułczyńska M., Nie popełniłam zdrady. Rzec o Halinie Poświatowskiej, Kraków 1990.

Szymański W., Uroki dworu (rzec o zniewalaniu), Kraków 1994.

Szczerba, J., Co ja, Jezus Chrystus jestem?  
<http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/2029020,96856,6894162.html>

Świerczyńska K., Awantura o Kalinę,  
<http://www.wprost.pl/ar/314104/Awantura-o-Kaline/?pg=0>

Turowska Z., Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką, Warszawa 2000.

Urban J., Alfabet Urbana, Warszawa 1990.

Urban J., Jajakobyły. Spowiedź życia Jerzego Urbana, Warszawa 1992.

Urbanek M., Broniewski: miłość, wódka, polityka, Warszawa 2011.

Vorfahren von Anna Viktoria German, <http://chort.square7.ch/Pis/AGerman.pdf>

Waldorff J., Ciach go smykiem, Kraków 1972.

Waldorff J., Moje cienie, Warszawa 1979.

Wieczorkiewicz P., Błazejowska J., Przez Polskę Ludową na przełaj i na przekór, Warszawa 2011.

Włoczewski Z., Elżbieta Czyżewska, „Przyjaciółka” 26/1990.

Wróbel K., Alina Szapocznikow - codzienność schwymana w pułapkę tworzywa,  
<http://rynekisztuka.pl/2012/10/10/alina-szapocznikow-codziennosc-schwytana-w-pulapke-tworzywa/>

Wspomnienia więźniów Pawiaka, Warszawa 1964.

Wywiady: Agata Passent,  
<http://gogaga.pl/?mod=magazyn&action=artykul&id=106&p=3>

Zimińska-Sygietyńska M., Druga miłość mego życia, Warszawa 1990.

Zimińska-Sygietyńska M., Nie żyłam samotnie, Warszawa 1985.